

Woods Sherryl

Zdażyć przed wigilią

W objęciach świętego Mikołaja

Kiedy w dużej galerii handlowej gubi się synek Amy Riley, z pomocą zrozpaczonej matce przychodzi święty Mikołaj. Jego rolę przypadkowo odgrywa policjant Nick DiCaprio. Amy szybko się przekonuje, że ten duży facet w czerwonej czapie i z białą brodą jest nie tylko dobroczyńcą dla dzieci, ale też bardzo pociągającym mężczyzną...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Amy Riley, z temperaturą 39°C, resztkami owsianki na twarzy, nie umyтыми włosami, wrzeszczącym niemowlęciem i pięcioletnim synkiem, patrzącym na nią z ogromnym wyrzutem, miała ochotę usiąść i zapłakać. Święta nie zapowiadały się dobrze.

- Mamo, mówiłaś, że pojedziemy dziś do centrum handlowego i zobaczymy świętego Mikołaja! - marudził Josh. - Przecież obiecałaś!

- Wiem, kochanie, ale jestem chora. - Amy starała się zachować spokój. - Przepraszam cię.

- Ale dziś jest Wigilia - nalegał malec, nie przejmując się stanem zdrowia matki. - Musimy tam dziś pojechać. Jeśli nie pojedziemy, święty Mikołaj nie dowie się, co ma nam przynieść. Nawet nie zna naszego adresu. Co będzie, jeśli zawiezie nasze prezenty do Michigan, gdzie nas już nie ma

10

- Nie zawiezie - zapewniała Amy.
- A skąd o tym wiesz?
- Bo wysłałam do niego list - powiedziała zdesperowana.
- A jeśli go nie dostał¹?- Listy często giną.
- Dostał go - zapewniła Amy, myśląc o prezentach, które ukryła w szafie. Jutro rano przekona swego synka-niedowiarka, że mówi prawdę, lecz dziś będzie musiał uwierzyć jej na słowo.

Z powodu kosztów przeprowadzki Amy nie mogła wydać w tym roku zbyt wiele pieniędzy. Chciała jednak, by Josh dostał od świętego Mikołaja przynajmniej kilka paczuszek, obok tych od dziadków i prezentu od taty, zakupionego przez nią na wypadek, gdyby Ned nie pofatygował się, żeby coś przysłać. Jeśli nie zdarzy się cud i nic nie nadejdzie wieczorną pocztą, okaże się, że Amy słusznie zarzuca byłemu mężowi brak zainteresowania dziećmi.

Dziś od samego rana musiała przekonywać Josha, że to nie z jego winy rozwiodła się z tatą i że nie przez niego wyprowadziła się z dziećmi - z nim i jego maleńką siostrzyczką - na przedmieścia miasta Charlotte w stanie Karolina Północna, daleko od rodziny i przyjaciół, pozostawionych w Michigan. Wszyscy usiłowali ją przekonać, by przełożyła wyjazd na po świętach, lecz Amy nie mogła znieść myśli o spędzeniu jednej minuty dłużej w tym samym mieście co jej były

11

mąż. Zapewne w przyszłym roku czas zagoi rany i dzieci spędzą święta z jej rodzicami, ale teraz nie wchodziło w grę ani pozostanie tam jeszcze przez tydzień, ani nawet zorganizowanie krótkiego wyjazdu z powrotem do Michigan na święta. Amy nie miała na to ani ochoty, ani pieniędzy.

Powiedziała sobie, że wszystko się ułoży za rok, gdy będzie miała za sobą kilkanaście miesięcy pracy w oddziale tego samego banku, w którym była zatrudniona wcześniej. Gdy otrzymała ofertę tej pracy, wydawała się jej darem zesłanym z niebios - była nie tylko sposobem na nowy start życiowy, ale dawała również pewną niezależność finansową na najbliższą przyszłość.

Tego ranka żałowała jednak swej pospiesznej decyzji. Nie miała pieniędzy i czuła się osamotniona. Była daleko od domu, a tu nie znalazła jeszcze wsparcia. Ale znacznie silniej przeżywał tę sytuację Josh, który czuł się oszukany z powodu spędzania świąt z dala od rodziny.

Amy pocieszała się, że Josh - chłopiec bardzo otwarty - szybko nawiąże nowe kontakty w przedszkolu. Za kilka tygodni z pewnością zapomni o swoich dzisiejszych zmartwieniach. Ale trzeba będzie jakoś dotrwać do tego czasu.

- Nienawidzę tego miejsca - powiedział z naciskiem Josh, wyrażając opinię, którą znała aż nadto dobrze. Nie było dnia w ciągu ostatniego tygodnia, by chłopiec nie powiedział czegoś w tym stylu.

12

- Będzie lepiej - zapewniła Amy, kładąc spokojne już niemowlę do kojca.

Wzięła synka na kolana i objęła go.

- Kiedyś- - zapytał żałośnie, tuląc się do matki w rzadko ostatnio okazywanym geście czułości.

- Niedługo - odparła z przekonaniem i obiecała sobie, że zrobi wszystko, by tak się stało.

- W tym głupim mieście nie ma nawet śniegu. W domu zawsze mieliśmy śnieg na święta i tata zabierał mnie na sanki... - Ciężko westchnął. - Tęsknię za tatą.

- Wiem, kochanie, że tęsknisz. Jestem pewna, że on też za tobą tęskni - powiedziała bez przekonania.

Ned zbyt niecierpliwie czekał, by jak najszybciej wyjechali i by mógł rozpocząć nowe życie przy boku innej kobiety i z dzieckiem, które było już w drodze, zanim zakończyła się sprawa rozwodowa z Amy. Jego rozmowy telefoniczne z synkiem na ogół nie trwały dłużej niż kilka minut, a nawet i te krótkie kontakty stawały się coraz rzadsze. Ned należał do facetów hołdujących powiedzeniu, że „co z oczu, to i z serca”, a więc także i z myśli. Tak właśnie zaangażował się w romans ze swoją obecną partnerką, którą poznał podczas podróży służbowej. Nie myślał o Amy ani o ich małżeństwie w czasie swych licznych rozjazdów.

Amy postanowiła nie roztrząsać dziś spraw związanych z byłym mężem. Chociaż czuła się

13

okropnie, chciała zrobić wszystko, co w jej mocy, by Josh zapamiętał tę pierwszą Gwiazdkę w nowym domu. Emma była jeszcze za mała, by zauważyć coś więcej niż lampki płonące na ich wątlej choince, ale Josh z pewnością potrzebował licznych wrażeń. Musiał uwierzyć, że życie w Karolinie Północnej będzie kiedyś takie samo, a może nawet lepsze niż to dawne w Michigan.

Zmierzyła jego ciemnobrązowe włosy, które już dawno powinny być ostrzyżone.

- Później upieczemy ciasteczka - powiedziała. -Wysłuchamy wszystkich kołęd z płyty, wieczorem przyrządę czekoladę na gorąco z mnóstwem bakalii, a w telewizji obejrzymy jakiś film o Bożym Narodzeniu. Co ty na to?

- Dobrze - powiedział bez przekonania. - Ale to nie będzie prawdziwa Gwiazdka, jeśli nie zobaczę świętego Mikołaja. Zawsze jeździliśmy w Wigilię do jakiegoś centrum handlowego, by go spotkać.

Amy stłumiła westchnienie. Tak właśnie kończyło się wpajanie dzieciom tradycji rodzinnych. Trzymają się ich potem kurczowo, nawet w zmienionej sytuacji. Ale spotkanie ze świętym Mikołajem, na czym tak Joshowi zależało, to w gruncie rzeczy bardzo niewielka prośba do spełnienia. Nie żąda przecież dziesiątków prezentów. Nie ma dużych wymagań. Pomaga nawet przy Emmie tyle, ile potrafi. Chętnie kołysze ją do snu w wózku, a nawet pokazuje jej obrazki ze

14

swojej książeczki, opowiadając przy tym różne dramatyczne historie. Jest wspaniałym starszym braciszkiem i wielką pociechą dla Amy.

Jak długo jeszcze będzie chciał wspinać się na kolana świętego Mikołaja? Jak długo jeszcze będzie w niego wierzył?

A gdyby tak wzięła jeszcze ze dwie tabletki aspiryny i gorący prysznic, może dałaby radę pojechać do jakiegoś centrum handlowego? Sama myśl o tłumach klientów przyprawiała ją o zawrót głowy. Lecz gdy po raz kolejny spojrzała w oczy swojego synka i dojrzała w nich zawód, podjęła decyzję.

- Czy zostaniesz tu przez chwilę i przypilnujesz siostry? - zapytała. - Postaraj się ją zabawić.

- Jak to?

- Wezmę prysznic - rzekła krótko, by znów nie czynić mu obietnic, których nie mogłaby dotrzymać.

Oczy Josha rozbłysły, gdy pojął, co to może oznaczać.

- Czyli pojedziemy zobaczyć świętego Mikołaja?- zapytał podniecony.

- Być może - odparła Amy wymijająco. - Jeśli poczuje się lepiej.

- Na pewno lepiej się poczujesz. - Josh zarzucił jej ręce na szyję i mocno się do niej przytulił.

Uklęknął obok kojca i popatrzył przez siatkę na Emmę.

15

- Pojedziemy zobaczyć świętego Mikołaja, Em. Spodoba ci się. To taki miły staruszek, który woła bardzo głośno „Ho-ho-ho!” - powiedział Josh i trzymając się za brzuch, zademonstrował siostrze okrzyk świętego Mikołaja. - On jest cały ubrany na czerwono i trzeba mu powiedzieć, co by się chciało dostać na Gwiazdkę. Jeśli byłaś grzeczna przez cały rok, on przyniesie ci to, czego pragniesz. Mikołaj jest najlepszy na świecie. Oczywiście zaraz po mamie - dorzucił i uśmiechnął się do siostrzyczki.

Amy też uśmiechnęła się do swojego małego dyplomaty. Jak mogłaby nie spełnić jego najgorętszej prośby, zwłaszcza w Wigilię Bożego Narodzenia? Miała jedynie nadzieję, że w centrum handlowym, a szczególnie w obecności świętego Mikołaja, nagle nie zrobi jej się słabo. W końcu ciągle miała 39 stopni gorączki.

To nie był dobry tydzień dla Nicka DiCaprio. W ogóle jego życie było do niczego. Psycholog policyjny, zatrudniony w jego komisariacie, poinformował przełożonych, że Nick jest przemęczony, ma kłopoty z panowaniem nad swoimi nerwami i że wysyłanie go do dawnych zadań w najbliższej przyszłości byłoby poważnym błędem.

Też mi coś! Każdy miałby kłopoty z opanowaniem własnych nerwów, gdyby musiał biernie stać obok kompletnie obłąkanego mężczyzny, terroryzującego własne dziecko, by wyrównać

porachunki z byłą żoną. Nick miał wtedy ochotę chwycić za głowy tych policjantów z jednostki specjalnej, którzy nie pozwolili mu interweniować, i tłuc nimi jedną o drugą. Nie wyobrażał sobie, że opowiedzenie tej historii psychologowi będzie miało takie konsekwencje.

Jakby cały ten psychologiczny bełkot nie dość go jeszcze sfrustrował, dziś była na dodatek Wigilia Bożego Narodzenia. Wszyscy wokół wpadli w szał świątecznych zakupów. Pomyślał, że jeśli usłyszy jeszcze jedną kolędę, wsadzi głowę do piecyka i odkręci gaz. Albo upije się do utraty przytomności. Tak, to drugie rozwiązanie było lepsze i bardziej wyszło mu na zdrowie. Ten kretyn psycholog pewnie by się ucieszył, gdyby wiedział, jakie autodestrukcyjne pomysły przychodzą jego pacjentowi do głowy.

Gdy zadzwonił telefon, Nick go zignorował. Nie było na całym świecie człowieka, z którym chciałby tego ranka porozmawiać. A w ogóle najczęściej było takich, których chciałby za wszelką cenę uniknąć, zwłaszcza członków swojej rodziny. Prawie wszyscy dali się ponieść jakiemuś niepohamowanemu świątecznemu nastrojowi.

Włączyła się automatyczna sekretarka.

- Nick, odbierz telefon! - W aparacie odezwał się nie znoszący sprzeciwu, wzburzony głos jego młodszej siostry. - Do licha, wiem, że tam jesteś! Odbierz! Wszystko mi się wali!

Nick westchnął. Kiedy Trish była w takim stanie, wszyscy musieli cierpieć razem z nią. Wiedział, że jeśli natychmiast nie odbierze tego telefonu, za chwilę siostra będzie waliła pięścią w jego drzwi. Albo, co gorsza, wejdzie do środka, posługując się kluczem, który jej kiedyś dał na wypadek jakiejś nagłej sytuacji. Wtargnie tu, przewracając do góry nogami jego świat, ignorując jego własne problemy.

- O co chodzić - warknął, podnosząc słuchawkę.

- Dzięki Bogu - powiedziała z ulgą w głosie, nie zwracając uwagi na jego kwaśny nastrój. - Nick, jesteś mi natychmiast potrzebny w centrum handlowym!

- Po moim trupie! - odburknął. - Chyba zwariowałaś!

Nie miał zamiaru tłuc się piętnaście kilometrów tylko dlatego, że Trish była odpowiedzialna za imprezy organizowane w centrum handlowym w Wigilię Bożego Narodzenia. Nie dałby się na to namówić, nawet gdyby był w świetnym nastroju. A dziś taki wyjazd mógłby obudzić w nim mordercze instynkty.

- Nie zwariowałam - odparła. - Jestem w beznadziejnej sytuacji. Święty Mikołaj odwołał swój dyżur z powodu choroby. Moim zdaniem po prostu odechciało mu się przyjeżdżać, gdy wyrzwał przez okno i zobaczył, jaka paskudna dziś pogoda. Wolał zostać w domu przed płonącym

kominkiem. Ale najważniejsze jest to, że dziś Wigilia, a ja nie mam świętego Mikołaja.

- To zatrudnij innego - powiedział z niechęcią w głosie. - Muszę kończyć.

- Nie waż się odkładać słuchawki, braciszku! Jeśli to zrobisz, przysięgam, że opowiem rodzicom tę historię o twoim przemęczeniu.

Nick zawahał się. Jedyłą rzeczą gorszą od użalającej się mu nad głową Trish byłoby zaznajomienie ich rodziców z jego historią. I tak nie byli szczególnie zadowoleni, gdy podjął decyzję, że zostanie policjantem. Potraktowaliby sprawę tego tak zwanego „przemęczenia” jako doskonały pretekst, by móc suszyć mu głowę na temat rozstania się z policją na dobre. Jeśli jego siostra była irytująco natarczywa i nudna, to nadopiekuńcza matka umiała doprowadzić go niemal do obłędu.

- A pytałaś Roba? - zasugerował, myśląc o ich starszym bracie. - Byłby świetnym Mikołajem. Poza tym uwielbia święta.

- Rob i Susan biorą dzieci i jadą dziś ścinać choinkę. Tak robią w każdą Wigilię, nie pamiętasz?

Nick jęknął. Jak mógł o tym zapomnieć? Rok temu pojechał z nimi. Wziął wolny dzień, gdyż każdy członek rodziny, nie wyłączając rocznej Annie, miał prawo głosu, a nie było takiej choinki, co do której wszyscy byliby zgodni. Nie rozumiał zresztą, jak liczone głos Annie, skoro potrafiła wymówić tylko jedno słowo - „mama”. O pięć-

następ podjął wtedy dwa postanowienia - że nigdy nie wprowadzi żadnego nowego zwyczaju świątecznego i że nigdy nie założy rodziny.

- A co ze Stephenem? - zapytał z nadzieją w głosie. Jego młodszy brat nigdy nie uznawał żadnych tradycji. Rodziny też nie założył. Był właściwie czarną owcą rodziny DiCaprio, ale Trish umiała go przekonać, gdyż jako jedyna rozumiała jego potrzebę buntu. W zamian Stephen robił dla niej rzeczy, do których nikt inny nie potrafiłby go nakłonić. Udawało się jej nawet zmusić go do uczestniczenia w posiłkach świątecznych i tolerowania nadskakującej mu matki.

- Rozmawiałam ze Stephenem, ale ma kaca. Nie wydaje mi się, by był to najodpowiedniejszy stan dla świętego Mikołaja.

- Dobra - rzekł Nick, żałując, że nie upił się poprzedniego dnia. - Co konkretnie chcesz, żebyś zrobił"? - zapytał z rezygnacją.

- A czy to nie jest jasne? Chcę, żebyś wystąpił w roli świętego Mikołaja - powiedziała przymilnie Trish, czując, że odniosła zwycięstwo. - To nic trudnego. Powiesz dzieciakom parę razy „Ho-ho-ho!” i wysłuchasz, co chciałyby dostać. Tylko niczego im nie obiecuj i pozwól się sfotografować z nimi. To wszystko.

- Jak długo to potrwa?

- Musisz tu dotrzeć jak najszybciej, a nasze centrum handlowe zamyka się o szóstej wieczorem.

To zaledwie kilka godzin, Nick. Co w tym straszego?- Daj spokój, Trish. To nie w moim stylu. Powinien to robić ktoś inny - próbował jeszcze się wykręcić. - Czy nie istnieją agencje wynajmujące świętych Mikołajów?

- Oszalałeś? Dziś jest Wigilia. Wszyscy wykwalifikowani święci Mikołaje już pracują. Nie mam czasu szukać po całej Karolinie Północnej tych, którzy jeszcze zostali. I dlaczego miałabym ich szukać, jeśli ty nie masz dziś niczego do roboty?-Proszę cię, Nick. Umiesz rozmawiać z dziećmi.

Też kiedyś uważał, że ma dobry kontakt z dziećmi. Doskonale pełnił funkcję stryjka dzieci Roba. Zabierał chłopców na mecze baseballowe, a nawet ze dwa razy niańczył małą Annie. Ale po tym, co stało się z piegowatym Tylerem Hamiltonem niecały miesiąc temu, Nick już sobie nie ufał i wolał nie zbliżać się do dzieci. Nie chciał nawet spędzać świąt ze swoimi bratankami, w każdym razie nie bez czyjejś pomocy.

Mimo tych wątpliwości, podświadomie odczuwał jakąś potrzebę odpokutowania za tamto wydarzenie. Nie mógł wtedy wiele zrobić, by pomóc Tylerowi, może więc dzisiejszy dzień naprawiłby starą krzywdę?

Po chwili pomyślał, że będzie to raczej rodzaj spłacenia długu. To jakiś kosmiczny paradoks, by facet, który ani trochę nie czuje ducha świąt,

spędził cały dzień udając, że go czuje, tylko po to, by przypodobać się gromadzie nienasyconych bachorów.

- Będiesz moją dłużniczką - powiedział w końcu.

- Nie ma mowy! - odparła. - To będzie miła odmiana.

- Nie rozumiem.

- Mogę wymienić całą masę przysług, jakie ci wyświadczyłam, mój drogi, poczynając od twojej wymarzonej randki z Jenny Davis.

- Co*?- Chyba nie załatwiłaś mi tej randki! - zaprotestował, wspominając rudą nastolatkę, za którą szalał, mając siedemnaście lat.

- Owszem, między innymi. Przecież nie umówiłaby się z tobą, gdybym jej nie opowiedziała, jakim jesteś superchłopakiem. Poza tym obiecałam, że pożyczę jej kaszmirowy sweterek i dam nową płytę Kenny'ego Chesneya, jeśli zechce się z tobą umówić na randkę.

- A więc przekupiłaś ją? - zapytał, kręcąc z niedowierzaniem głową. To była jedna z najbardziej upokarzających nowin, jakie ostatnio usłyszał.

- Zrobiłabym znacznie więcej dla mojego ukochanego brata.

- Na twoim miejscu nie wracałbym do tej sprawy. Wiesz przecież, jak źle się skończyła - mruknął. Jenny, z którą spotykał się przez cały ostatni rok szkoły średniej, rzuciła go w przeddzień

matury. Był to jego pierwszy zawód miłosny w długiej serii niepowodzeń z kobietami. Przynajmniej Trish nie maczała palców w żadnej z jego kolejnych porażek. Pozostałych nieudanych wyborów dokonywał samodzielnie.

- Nie przejmuj się, Nick. Lista spraw, które dla ciebie załatwiłam, stale się wydłuża.

Przyczepiłam ją obok mojego biurka, by sięgać do niej w przypadkach takich jak ten -

powiedziała słodkim głosem. - Do zobaczenia za godzinę. Przyjedź do mojego biura. Mam tu strój świętego Mikołaja. Nie będziesz żałował.

- Tortura - wymamrotał. - To będzie tortura. - Słuchami

- Nic takiego. Do zobaczenia za godzinę.

- Kocham cię, Nick.

Zazwyczaj odpowiadał jej tymi samymi słowami, lecz tym razem nie miał na to najmniejszej ochoty.

ROZDZIAŁ DRUGI

Po wzięciu prysznic, wysuszeniu włosów, zapakowaniu dzieci do samochodu i kilku nieudanych próbach znalezienia centrum handlowego King's Mall, Amy zajechała wreszcie na całkowicie wypełniony parking. Stojące w sznurze samochody próbowały wyjechać, inne, którym wreszcie udało się wjechać, w żółwym tempie sunęły alejkami parkingu, bezskutecznie szukając miejsc. Niebo pokryte było wielkimi, ciemnymi chmurami, niemal zupełnie przesłaniającymi słońce. Amy zastanawiała się, czy zwiastują deszcz, czy śnieg. Tak czy inaczej, było tu dla niej zbyt ponuro.

Rok temu, choć była wtedy w ósmym miesiącu męczącej ciąży z Emmą, cieszyła się perspektywą nadchodzących świąt. Teraz jednak była przygnębiona, a pogoda wcale nie poprawiała jej nastroju.

- Tam! - wykrzyknął siedzący z tyłu Josh. - Mamo, widzisz tę panią z zakupami^ Zaraz wyjedzie! Możemy tam podjechać.

Amy odszukała wzrokiem obładowaną zakupami kobietę, idącą sąsiednią alejką.

- Kochanie, na to miejsce poluje co najmniej dziesięć samochodów-wyjaśniła spokojnie. - Ale nie martw się, w końcu i my gdzieś zaparkujemy. Zawsze tak jest w Wigilię. Po prostu musimy cierpliwie poczekać na swoją kolejkę.

- A może świętego Mikołaja wcale tu nie maś - spytał zaniepokojony. - No, bo przecież jest w Michigan, prawda? Nie może być w dwóch miejscach jednocześnie.

- Jest tu na pewno. Specjalnie dzwoniłam w tej sprawie.

- A może w Wigilię wyjeżdża wcześniej? Musi przecież odwiedzić dzieci na całym świecie. Z tatą zawsze jeździliśmy rano, żeby go zobaczyć. I przy okazji kupowaliśmy ci prezenty. Amy uśmiechnęła się pod nosem na myśl o obawach synka. Ów niepokój odziedziczył po niej. Miała wiele innych, znacznie lepszych cech, które wolałaby mu przekazać.

- Co do tego też się upewniłam - uspokoiła synka. - Święty Mikołaj będzie tu do zamknięcia centrum, czyli do szóstej wieczorem.

- A która jest godzina?

- Wpół do trzeciej. Mamy mnóstwo czasu.

- Wcale nie tak dużo, jeśli szybko nie znajdziemy miejsca - rzekł rezolutnie.

Amy musiała przyznać mu rację. Sama miała

obawy, czy w ogóle uda im się zaparkować. Ludzi ogarnął jakiś szal. Ponieważ dwa samochody czekały z dwóch stron na zwolnienie się jednego miejsca, kierowca opuszczający parking nie mógł wyjechać.

- W Michigan ludzie byli miłsi - stwierdził Josh.

- Nieprawda, kochanie. Ci ludzie też są uprzejmi. Tylko w Wigilię wszyscy są trochę zdenerwowani.

Nagle na szybę spadła wielka kropla deszczu. Amy czuła, że jej lekkie przeziębienie lada chwila zamieni się w zapalenie płuc.

- Święty Mikołaj ich nie odwiedzi - powiedział. - A już na pewno nie tych, którzy używają brzydkich słów. O, popatrz, tamten pan mówi coś brzydkiego i zrobił to, czego ty mi zabraniasz. Pokazał tamtej pani środkowy palec.

Amy nie była zachwycona, że jej pięcioletni syn często widywał ten gest. Ned lubił używać go za kierownicą. Przynajmniej miała dzięki temu wiele okazji, by wytłumaczyć Joshowi, że nie należy tego robić.

- Nie zwracaj na to uwagi. Ludzie dają się ponosić emocjom w takiej sytuacji - wyjaśniła, kiedy akurat przed nią zwolniło się miejsce. Kobieta za kierownicą wycofała się z taki sposób, by to właśnie Amy udało się zaparkować. Odjeżdżając, pomachała przyjaźnie ręką.

- Widzisz, kochanie, ta pani była bardzo miła.

Teraz włóżmy twoją siostrzyczkę do wózka i chodźmy szybko do świętego Mikołaja, zanim zacznie padać.

Rozłożenie wózka i umieszczenie w nim Emmy zajęło sporo czasu. Dziewczynka uwielbiała być noszona. Nie cierpiała natomiast wózka. Gdy się ją do niego wkładało, krzyczała wniebogłosy i wierzgała nóżkami. Kiedy jednak ktoś pchał wózek, milkła, a na jej buzi pojawiał się błogi uśmiech. Amy trudno było uwierzyć, że przed chwilą wydawała rozzwierające krzyki. Taka właśnie była Emma. Potrafiła błyskawicznie zmieniać nastrój. Kiedy znaleźli się przed wejściem do centrum handlowego, Amy spojrzała Joshowi prosto w oczy.

- Nie wolno ci się oddalać, rozumiesz? - rzekła surowo. - Nie znasz tego miejsca, musisz więc być tuż koło mnie i trzymać mnie za rękę!

- Ależ, mammo! - zaprotestował. - Przecież nie jestem małym dzieckiem!

- Jeśli mi tego nie obiecasz, natychmiast wrócimy do domu, jasneś - powiedziała najbardziej zasadniczym tonem, na jaki umiała się zdobyć. - Nie chcę, żebyś w Wigilię się zgubił.

Josh przewrócił oczami, ale posłusznie wziął ją za rękę. Kiedy weszli do środka, nie pozwolił jej nawet na chwilę zatrzymać się przy sklepach z butami, bielizną, sukniemi wieczorowymi, telefonami komórkowymi i biżuterią. Amy z rozbawieniem rozpoznawała dokładnie takie same sklepy,

jakie znała z Michigan. Nawet układ całego centrum handlowego był podobny. Być może właśnie dlatego Josh doskonale wiedział, dokąd iść.

Kiedy chciała zatrzymać się przez chwilę przed witryną sklepu z zabawkami, Josh pobieżnie rzucił okiem na gry, po czym zaczął szarpać ją za rękę.

- Chodźmy, mamó - ponaglał ją. - Święty Mikołaj na pewno jest tam! Widzisz tych wszystkich ludzi? Wiem, że tu jest. Pospieszmy się!

- Kochanie, nie masz co się tak spieszyć, przecież on nigdzie nie pójdzie.

- Musimy stanąć w kolejce - nie ustępował.

- A na pewno jest bardzo długa.

Zanim Amy zdążyła odpowiedzieć, Josh dostrzegł Mikołaja.

- Jest! - wykrzyknął. - Widzisz go, mamó? Stoi tam, między choinkami! I ma nawet sanie!

- dodał z zachwytem. - Ale fajnie! Takiego Mikołaja nie widziałem nawet w Michigan. Czy wzięłaś aparat? - Musimy wysłać zdjęcia tacie!

Jego podniecenie udzieliło się też małej Emmie. Dziewczynka była zachwycona feerią barw i świateł.

- Muszę tam iść - oznajmił Josh, puścił rękę Amy i wtopił się w tłum otaczający świętego Mikołaja.

Chwilę później nie było po nim śladu. W mgnieniu oka radość Amy ustąpiła miejsca panice. Niewiele myśląc, wzięła Emmę na ręce i ruszyła przed

siebie, zostawiając wózek. Przepychała się przez tłum, wykrzykując, jak w amoku, imię synka.

Większość osób nie zwracała uwagi na jej dramatyczne wołanie. W końcu jakaś młoda kobieta jednak zatrzymała się koło niej.

- Co się stałoś - spytała zaniepokojona, kładąc rękę na ramieniu Amy. - Czy mogę pani jakoś pomóc?

Amy była tak zdenerwowana, że nie potrafiła wydobyć z siebie ani słowa.

- Proszę najpierw dojsć do siebie - poradziła kobieta. - Kiedy będzie pani gotowa, proszę mi wszystko opowiedzieć. Nazywam się Trish DiCaprio - przedstawiła się, wskazując identyfikator. - Jestem pracownikiem tego centrum handlowego. Co się stało?

- Mój syn... - wyszeptała Amy z trudem. - Zobaczył świętego Mikołaja, pobiegł przed siebie i nie mogę go znaleźć. Jest tu tylu ludzi, a ja nie znam nikogo. Poza tym przyjechaliśmy tu pierwszy raz. - Amy zdawała sobie sprawę, że jej opowieść jest bardzo chaotyczna, ale nie była w stanie mówić bardziej składnie.

- Kiedy syn zniknął pani z oczu?

- Najwyżej minutę temu.

- To znaczy, że nie mógł daleko odejść. Wszystko będzie w porządku - zapewniła Trish. - Ten święty Mikołaj to mój brat. Z zawodu jest policjantem. Dziś wyjątkowo występuje w roli

świętego Mikołaja, zresztą na moją prośbę. Nawalił mi ten, który miał dziś wystąpić w tej roli. Nick na pewno będzie wiedział, co robić w tej sytuacji. Zaraz z nim porozmawiam i na pewno szybko odnajdziemy pani syna. Czy może tu pani chwilę poczekać? Pójdę po niego. Amy gorliwie pokiwała głową. Trzymała Emmę tak kurczowo, że dziewczynka zaczęła kwilić. Nagle pojawiła się obok jakaś kobieta, prowadząca jej wózek. Amy spojrzała na nią zdumiona, zastanawiając się, gdzie go zostawiła.

- Widziałam, jak pani synek gdzieś pobiegł i jak ruszyła pani za nim, zostawiając wózek - rzekła nieznajoma ciepłym głosem. - Czy wszystko w porządku? Może postać tu z panią, dopóki nie wróci pracownica tego centrum?

Amy poczuła, że do jej oczu napływają łzy wzruszenia.

- Dziękuję pani za odprowadzenie mojego wózka. Ruszyłam za synkiem tak szybko, że zupełnie zapomniałam o wózku.

- To zrozumiałe, chciała pani dogonić synka. Jak mu na imię?

- Josh.

- Naprawdę? - spytała z uśmiechem. - Mój syn też ma na imię Josh. Ale jest już całkiem dorosły. - Pokręciła głową. - Moje dzieci też mi tak znikwały, gdy były małe. Ale proszę mi wierzyć, zawsze się znajdowały. Teraz mają własne dzieci,

które robią im dokładnie takie same numery. Nic na to nie można poradzić, trzeba tylko umieć zachować spokój - rzekła, gładząc Amy po ramieniu. - Niech się pani nie martwi. Synek na pewno zaraz wróci. Przypuszczam, że znajdzie panią, zanim zaczną go szukać. Kobieta mówiła z takim przekonaniem, że Amy poczuła się trochę uspokojona.

- Bardzo dziękuję, doceniam pani propozycję, ale jeśli musi pani dokończyć zakupy, to sobie poradzę.

- Mam dużo czasu - odparła. - A tak w ogóle, to nazywam się Maylene Kinney. Poczekam z panią na tę kobietę. Słyszałam, że mieszka pani w Charlotte od niedawna.

Amy skinęła głową.

- A jak pani na imię?

- Amy Riley.

- No to możemy sobie mówić po imieniu. Witaj w Charlotte, Amy. Zdaję sobie sprawę, że nie jest to najlepszy początek pobytu w nowym miejscu, ale kiedyś jeszcze będziesz się z tego śmiała - rzekła. - Może nie nastąpi to szybko, ale gdy twój syn dorośnie i sam dochowa się takiego urwisa, na pewno będziesz wspominała tę historię z rozbawieniem.

Kojący głos Maylene, jej akcent, typowy dla mieszkańców południowej części Stanów i przyjacielska troska sprawiły, że Amy opanowała

swoją panikę. Cały czas jednak nerwowo rozglądała się za synkiem. Myślała, że powinna aktywnie szukać Josha, zamiast stać w miejscu i wypatrywać go w tłumie. Zawsze pilnowała, by był w zasięgu jej wzroku i trzymał ją za rękę, zwłaszcza w nowym otoczeniu. To, czego tak bardzo się obawiała, stało się rzeczywistością.

Zaczęła sobie wyobrażać najgorsze, a przed oczami stanęły jej wszystkie straszne historie, o których czytała. Nie była już w stanie powstrzymać łez. Emma zareagowała na niepokój matki głośnym płaczem. Maylene położyła rękę na ramieniu Amy i wyszeptała kilka kojących słów.

- Nie mogę tak tu stać i płakać - wydusiła z siebie w końcu Amy. - Muszę sama zacząć szukać mojego synka.

- Zaraz zaczniesz go szukać - odpowiedziała Maylene. - Za kilka chwil ta pani z obsługi centrum handlowego przyprowadzi kogoś, kto ci pomoże. I na pewno ten ktoś będzie wiedział, jak ci pomóc. Na co zdałyby się twoje chaotyczne poszukiwania? Jeszcze sama mogłabyś się zgubić.

Amy przyznała jej w duchu rację. Głęboko westchnęła i z wdzięcznością przyjęła od niej opakowanie chusteczek higienicznych.

- Masz rację, powinnam zachować rozsądek - powiedziała cicho, choć jeszcze nigdy w życiu nie ogarnęło jej poczucie takiej bezsilności.

Nick czuł, że zwariuje, jeśli jeszcze raz będzie musiał wykrzyknąć „Ho-ho-ho!”. Od dziewiątej rano zabawiał dzieci w tym pociesznym czerwonym, powypychanym poduszkami stroju. Sztuczna broda drażniła mu skórę twarzy, a zbyt duża czapka bez przerwy opadała na oczy. Nie wydawało mu się prawdopodobne, by ktokolwiek z obecnych w centrum handlowym wierzył, że naprawdę jest świętym Mikołajem. Nawet najmłodsze dzieci patrzyły na niego podejrzliwie.

Mimo to kolejka do niego wydawała się nie mieć końca. Od momentu, kiedy zasiadł w tych wyjątkowo niewygodnych saniach, nie miał ani chwili przerwy. Przestał się dziwić, że człowiek, który miał udawać dziś świętego Mikołaja, nie stawiał się w pracy.

Nickowi udało się wypić łyk coli i zjeść dwa herbatniki, zanim Trish nie wyrwała mu ich z rąk, by mógł pozować do zdjęcia z jakimś mężczyzną i jego trzema nastoletnimi synami. Był tak głodny, że miał ochotę sięgnąć do worka ze słodyczami dla dzieci i zjeść kilka cukierków. Poza tym oczy bolały go od nieustannie błyskających mu prosto w twarz fleszy. Każde z rodziców pragnęło go uwiecznić ze swą pociechą.

Pozytywne jedynie było to, że udawanie świętego Mikołaja nie wymagało od niego talentów aktorskich. Jego kwestie szczęśliwie ograniczały się do radosnego wykrzykiwania: „Wesołych

Świąt!" i pytanie dzieci, co chciałyby dostać na Gwiazdkę, a następnie upewniania się, czy na to zasłużyły. Uważał nawet, że wychodzi mu to całkiem nieźle. Do tej pory nie przestraszył jeszcze żadnego malucha.

- Jeśli będziesz nadal taka grzeczna - mówił do nieśmiałej dziewczynki, siedzącej mu na kolanach. - I jeśli będziesz spełniała prośby mamy i taty, święty Mikołaj przyniesie ci tę lalkę, którą chcesz dostać.

Dziewczynka otworzyła szeroko swe niebieskie oczy.

- Naprawdę? - spytała tak zaskoczona, że Nick zaczął się zastanawiać, czy nie powiedział czegoś, w co trudno jej było uwierzyć. Przypomniawszy sobie słowa siostry: „Tylko niczego im nie obiecuj”. Dlaczego właściwie nie zastosował się do jej prośby? Zaniepokojony spojrzał na matkę dziewczynki, ale odetchnął z ulgą widząc, że ta porozumiewawczo do niego mruga. Na szczęście nie wprowadził dziewczynki w błąd.

Nagle u jego boku pojawiła się Trish, której nie widział od chwili, gdy kilka godzin wcześniej posadziła go na stanowisku świętego Mikołaja. Natychmiast zauważył, że na jej twarzy nie ma cienia uśmiechu odzwierciedlającego świąteczną atmosferę. Była blada i wyraźnie zdenerwowana.

- Czy coś się stało? - spytał. Trish nachyliła się ku niemu.

- Mamy problem - wyszeptała. - Właśnie jakaś przerażona matka zgłosiła mi zaginięcie swojego syna.

Nick poczuł, że robi mu się słabo.

- To poinformuj ochroniarzy i zadzwoń na policję.

- Ochrona już wie - rzekła Trish. - Ale martwię się o tę kobietę. Ona może tu za chwilę zemdleć. Trzeba ją zapewnić, że robimy wszystko, co w naszej mocy, by odnaleźć jej synka. Może mógłbyś jakoś pomóc? Byłabym dużo spokojniejsza, gdybyś się włączył w tę akcję. Przecież wiesz, jak się zachowywać w takich sytuacjach. Wolałabym nie wzywać policji, dopóki nie będzie to naprawdę konieczne.

- Ale dlaczego?

- Po prostu wolałabym tego nie robić. Nick spojrzał na nią surowo.

- Chyba nie z obawy, że sprawa trafi wtedy do telewizji?

- Nie patrz tak na mnie, Nicky - rzekła zmieszana. - Do moich obowiązków należy troska o wizerunek centrum handlowego King's Mall.

Nick natychmiast pomyślał o sprawie Tylera Hamiltona sprzed zaledwie miesiąca. Tamta zakończyła się tragicznie. Poza tym Nick dobrze wiedział, jak podobne wydarzenia przedstawiano w mediach. Już zbyt wiele razy widział swoją

twarz na pierwszych stronach gazet i w wieczornych wiadomościach.

- To niech ochroniarze się tym zajmą. Pozwól im raz w życiu być bohaterami - powiedział stanowczo, nie starając się ukryć niechęci do jakiegokolwiek interwencji. Dziwił się, że Trish nie zdaje sobie sprawy, iż to, o co go prosi, byłoby dla niego zbyt trudne. Tym razem nie zamierzał się zastanawiać, ile przysług jest jej winien.

- Ale ja już jej powiedziałam, że jesteś policjantem - nalegała. - Wiem, że nie jesteś w tej chwili na służbie, ale trzeba pomóc tej kobiecie. Jest naprawdę przerażona. Postaw się w jej sytuacji, Nicky. Dziś Wigilia, a jej synek właśnie zapadł się pod ziemię. Niedawno przeprowadziła się tu z dziećmi, jest więc całkiem sama. Wcale się nie dziwię, że wpadła w panikę. Proszę cię, zrób coś. Bądź profesjonalistą. Zadaj jej odpowiednie pytania, zorganizuj ekipę, która zacznie go szukać. To ją uspokoi, dopóki synek się nie odnajdzie. To na pewno nie potrwa długo.

Nick nie podzielał optymizmu siostry. W tak wielkim tłumie ludzi, robiących gorączkowo ostatnie świąteczne zakupy, mało kto zwróciłby uwagę na małego, zagubionego chłopca. Znowu poczuł nerwowy ból brzucha. Sięgnął do kieszeni po tabletki uspokajające, które zawsze nosił ze sobą. Ale zapomniał, niestety, przełożyć je do stroju świętego Mikołaja.

- A co z tymi, którzy stoją w kolejce do mnie? - spytał. Z dwojga złego wolał zamienić po parę zdań z każdym z setki dzieci, niż rozmawiać ze zdesperowaną matką, której dziecko zaginęło w tłumie.

- Powiem im, że święty Mikołaj musi sobie zrobić przerwę - rzekła Trish bez wahania. - To się zdarza, nie będą niczego podejrzewali.

Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakiego używała w dzieciństwie, gdy pragnęła nakłonić któregoś z braci do spełnienia swojej zachcianki. Niemal zawsze działało to na Stephena, a i Nick w końcu jej ustępował.

Nick milczał, ale Trish nie poddawała się.

- Ochrona zaraz tu będzie, ale ja chciałabym, by do akcji włączył się policjant z prawdziwego zdarzenia. Przecież sam tak o sobie mówisz. Proszę cię, Nicky - błagała.

Nick pomyślał, że w porównaniu z przeciętnym ochroniarzem z centrum handlowego ma dużo większe kwalifikacje. Po krótkim wahaniu stwierdził, że powinien ustąpić. Nawet gdyby nie chodziło o pomoc siostrze, musiałby się zgodzić. Został wychowany tak, by pomagać innym w potrzebie. Nauka w szkole policyjnej tylko utwierdziła go w tym przekonaniu. Nawet jeśli ostatnio cierpiał na wypalenie zawodowe i był w nie najlepszym stanie psychicznym, nie zmienił swoich zasad.

- Jeśli uda ci się wyprowadzić mnie stąd

w taki sposób, by te dzieci nie wpadły w histerię, to zajmę się tą kobietą i pomogę jej szukać synka - rzekł, spoglądając surowo na siostrę. - Gdybyśmy nie znaleźli go w ciągu najbliższych trzydziestu minut, chciałbym, by stawili się tu wszyscy policjanci z Charlotte. I nic mnie nie obchodzi, jak wpłynie to na wizerunek waszego centrum handlowego.

Trish zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w policzek.

- Dziękuję ci, Nicky. Zaraz ogłoszę, że musisz sobie zrobić przerwę i zaprowadzę cię do tej kobiety.

Nick uznał, że spełnił tego dnia wyjątkowo dużo dobrych uczynków. Być może wreszcie spłacił w ten sposób dług wdzięczności wobec siostry? Gdyby mu się poszczęściło, to po znalezieniu chłopca mógłby wyjść z centrum handlowego i nie musiałby życzyć wesołych świąt ani jednemu dziecku więcej.

Kiedy zastanawiał się, jak to rozegrać, zobaczył rozczarowane twarze maluchów i ich rodziców na wieść o tym, że święty Mikołaj będzie miał przerwę. Zrozumiał, że nie uda mu się przeprowadzić tego planu.

Może i był najbardziej nieudolnym świętym Mikołajem, jakiego widział świat, ale nie mógł zawieść tych dzieci. Spojrzał do góry, prosząc niebiosą, by miały go w swojej opiece.

ROZDZIAŁ TRZECI

Czekając na tę kobietę - chyba miała na imię Trish - Amy tak głośno wołała Josha, że prawie całkiem ochrypła. Maylene Kinney ostrzegła ją, że to nic nie da, a jedynie nadweręży jej struny głosowe.

- Dzieci słyszą tylko to, co chcą usłyszeć - przekonywała Maylene. - Lepiej oszczędzaj głos, żebyś mogła mu powiedzieć, jak bardzo go kochasz, gdy się odnajdzie.

- Teraz jestem na niego naprawdę wściekła!

- powiedziała Amy, lecz w głębi duszy czuła, że Maylene ma rację. Mimo zdenerwowania i złości, Amy nie mogła doczekać się chwili, gdy weźmie swego synka w ramiona.

Jak to możliwe, że tak szybko straciła go z oczu? Wiedziała dokładnie, gdzie zmierzał

- chciał zobaczyć świętego Mikołaja. Josh musiał tu gdzieś być, w tym tłumie półprzytomnych klientów i niecierpliwych dzieci. Ale nie było po

nim śladu, a mijające chwile wydawały się Amy wiecznością.

Wreszcie pojawiła się ta młoda, przejęta sytuacją kobieta, która rozmawiała z Amy kilka minut temu. Przyszła w towarzystwie świętego Mikołaja - wysokiego mężczyzny, mierzącego co najmniej metr osiemdziesiąt i dość otyłego, zapewne na skutek wypchania jego stroju licznymi poduszkami. Amy nie mogła ocenić jego wieku przez białe, przyprawione włosy i taką samą brodę. Lecz jeśli Trish była jego siostrą, mężczyzna nie mógł być stary. Miał zapewne koło trzydziestki, czyli mniej więcej tyle lat, co Amy. Może też miał dzieci i rozumiał jej rozpacz?

- To jest mój brat - rzekła Trish, zwracając się do Amy. - Niech nie zwiedzie cię jego kostium. Jest naprawdę świetnym detektywem i pomoże ci odnaleźć syna. Na pewno lada moment będziecie razem.

Amy spojrzała w ciemne oczy świętego Mikołaja przez okrągłe szkiełka jego śmiesznych okularów i poczuła, że przenika ją dziwny dreszcz, zupełnie w tej sytuacji nieestosowny. Miała ochotę zarzucić ręce na szyję temu mężczyźnie, oferującemu jej pomoc w odnalezieniu Josha. W końcu święty Mikołaj to symbol wszelkiego dobra i nadziei na tym świecie. A ten człowiek był w dodatku doświadczonego detektywem, uosabiał więc cechy, których tak bardzo teraz potrzebowała.

- Jestem Nick DiCaprio - powiedział z powagą, jakiej nie oczekuje się zazwyczaj od jowialnego i wesołego świętego Mikołaja.

- Święty Nick? - Nie mogła powstrzymać się od żartu.

- Niezupełnie - odparł, a przez jego twarz przemknął cień uśmiechu. - Trish pilnie potrzebowała kogoś w ostatniej chwili i wreszcie, po długich siostrzanych namowach i drobnym szantażu, zgodziłem się wystąpić w roli świętego Mikołaja. Proszę mi wierzyć, trudno byłoby mnie wziąć za któregoś ze świętych.

- Już nie bądź taki skromny, Nicky - rzekła Trish, trącając go łokciem. - Masz wiele cech świętego. - Uśmiechnęła się do Amy i dodała: - Po pierwsze, Nick to jeden z ostatnich naprawdę porządnych facetów. Poza tym jest bardzo przystojny, chociaż teraz tego nie widać. Wpada w oko każdej kobiecie! No i jest w świetnej formie fizycznej!

- Myślę, że pani jest bardziej zainteresowana moimi kwalifikacjami zawodowymi - rzekł, marszcząc brwi święty Mikołaj, a raczej Nick, czym przerwał siostrze wyliczanie swych kolejnych męskich zalet.

- Już wspominałam, że jesteś świetnym policjantem - odparła Trish. - Otrzymał mnóstwo pochwał. Jeśli ktokolwiek znajdzie twojego synka....

41

- Proszę mi o nim opowiedzieć - przerwał sucho Nick. Czuł się nieswojo, chociaż siostra chwaliła go teraz za osiągnięcia zawodowe. - Trish, pożycz mi swój notes. Jak się pani nazywa? - Amy Riley.

- A chłopiec?- Josh Riley.

- Ile ma lat?

- Pięć.

- Jego wzrost, kolor włosów?

Amy pragnęła jak najszybciej skończyć te formalności, gdyż coraz bardziej niepokoiła się o Joshua. Wiedziała, że Nickowi potrzebne są te dane, ale dlaczego nie rozpoczęli jeszcze poszukiwań? - Josh mógł się teraz znajdować na drugim końcu centrum handlowego.

- Jak był ubrany?

Z rosnącym niepokojem Amy zwięźle opisała czerwoną kurtkę, dzinsy i koszulkę z wizerunkiem Spidermana, którą Josh założył dziś rano, a także jego czerwono-zielony szalik.

- Być może sądzi pani, że tracimy czas - rzekł Nick, jakby czytał w jej myślach. - Ale ponieważ biegają tu dziś tysiące dzieci, by znaleźć pani syna, musimy przede wszystkim wiedzieć, jak wygląda. Jeśli przekazemy pracownikom ochrony dobry rysopis chłopca, oszczędzimy w sumie dużo czasu.

- Mam jego zdjęcie - powiedziała Amy, wyjmując pospiesznie z torebki ostatnio wykonaną szkolną fotografię syna. Zrobiono ją ze dwa miesiące temu, tuż przed ich wyjazdem z Michigan. Wzruszenie ścisnęło jej gardło na widok szczerego uśmiechu Josha i sterczącego na jego głowie kosmyka niesfornych włosów, których nigdy nie można było przygładzić ani żelem, ani brylantyną.
- Teraz jego włosy są dłuższe, chociaż zdjęcie wykonano nie tak dawno temu - powiedziała, wręczając je Nickowi.
- Ładny dzieciak - ocenił Nick. - Trish, jak daleko słyhać głos zainstalowanego tu systemu nagłaśniającego?
- Tylko w najbliższym sąsiedztwie. - odparła. - Niektóre duże sklepy mają tu swoje własne urządzenia. Mogłabym napisać komunikat i poprosić, żeby został natychmiast głośno odczytany.
- Zrób tak, proszę. Niech twój komunikat będzie jak najprostszy. Poproś, by Josh Riley zgłosił się do świętego Mikołaja - rzucił kątem oka na Amy. - Czy myśli pani, że to przyciągnie jego uwagę?
- Z pewnością - odpowiedziała Amy z przekonaniem. - Tak bardzo pragnął pana zobaczyć. Pana, czyli świętego Mikołaja. Dlatego tak natychmiast popędził przed siebie. Jego zdaniem szłam zbyt wolno. Chciał zobaczyć pana z bliska, a potem ustawić się w kolejce.

43

- Czy sprawdziła pani kolejkę? - zapytał.

- Na całej długości. Nie ma go w niej. Nie rozumiem, dlaczego się oddalił.

- Bo tak postępują mali chłopcy - wyjaśnił Nick. - Łatwo zaprzątnąć ich uwagę jakąś nową sprawą i często wykazują zbyt wielką odwagę, co wcale nie wychodzi im na dobre. Spróbuj więc nadać ten komunikat, Trish, i postaraj się wciągnąć do współpracy wszystkie sklepy mieszczące się na terenie tego centrum handlowego.

Kilkakrotnie nadawane apele nie przyniosły jednak skutku i Josh się nie pojawił. Amy spojrzała na świętego Mikołaja. Mimo przygotowanej brody i charakterystyki, która miała mu nadać pogodny wyraz twarzy, widać było, że jest zaniepokojony.

- On zaginął, prawda? - szepnęła zduszonym głosem.

Nick skinął głową, lecz jednocześnie wziął rękę Amy w swoją dłoń i pokrzepiająco ją uścisnął.

- Ale proszę w żadnym wypadku nie wpadać w panikę, pani Riley.

- Mam na imię Amy - sprostowała.

- Dobrze, Amy. Nie trać nadziei. Znajdziemy twojego syna.

- Oczywiście, że znajdziecie - potwierdziła Maylene.

Kobieta odezwała się po raz pierwszy od przyjścia Nicka. Amy wiedziała, że Maylene pozostała

w pobliżu na wypadek, gdyby była potrzebna. Ale nie narzucała się. Amy była jej wdzięczna, że nie odeszła. Dzięki niej czuła się mniej samotna.

- Chyba znam twoją matkę, Nick - powiedziała Maylene.- Należymy do tego samego Zrzeszenia Czerwonych Kapeluszy - rzekła, uśmiechając się do Amy. - Laura DiCaprio chętnie chwali się swoim synem... świetnym policjantem. Jest bardzo z ciebie dumna, Nick. Zdumienie Nicka było równie wielkie, jak wcześniej jego irytacja z powodu pochwał wygłaszanych przez siostrę.

- Czy nie byłeś przypadkiem zaangażowany w tę niedawno przeprowadzoną, nagłośnioną przez media akcję? - zapytała Maylene, marszcząc czoło i wyraźnie usiłując przypomnieć sobie szczegóły tej sprawy.

- Nie mówmy o tym - uciał Nick. Maylene wydawała się speszona jego ostrą reakcją, ale po chwili musiała sobie coś uświadomić, gdyż skinęła głową i rzekła:

- Przepraszam. Masz rację, nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Teraz musisz skupić uwagę na odnalezieniu Josha.

- Otóż to - powiedział Nick i spojrzał z sympatią na Amy. - Wszystko w porządku!

- Poczuję się dużo lepiej, gdy odnajdziemy Josha.

- To już nie potrwa długo - uspokoił ją.

45

- Sprowadzę tu paru chłopaków z ochrony. Poszukiwanie powinno być przeprowadzone systematycznie. Jeśli ochrona przeczesze całe centrum handlowe, natychmiast odnajdziemy twojego synka.

To dziwne, że Amy wierzyła mu. Było coś budzącego zaufanie w słowach detektywa, który zechciał poświęcić swój czas, przeznaczony na odgrywanie roli świętego Mikołaja wśród robiących ostatnie zakupy, rozgorączkowanych klientów i ich nadmiernie pobudzonych dzieci. Bardzo dobrze świadczyło o nim to, że postanowił pomóc swojej siostrze w czasie świąt, większość mężczyzn stroni od takich miejsc. Wprawdzie wspomniał coś o tym, że Trish musiała posunąć się do szantażu, by uzyskać jego pomoc, ale zawsze...

Uścisk jego silnej, męskiej dłoni sprawił, że Amy odrobinę się odprężyła. Nawet jeśli Nick nie miał szczególnej ochoty wystąpić w roli świętego Mikołaja, może był chociaż w stanie odnaleźć jej synka?

Gdy przybyła dwunastoosobowa grupa pracowników ochrony, Nick wiedział już, że Josha Riley nie ma w pobliżu stanowiska świętego Mikołaja. Część z tych ludzi była mniej doświadczona, zatrudniona tylko na okres świąt. Nick, który już teraz doskonale orientował się

w układzie centrum handlowego, pospiesznie zorganizował ekipę poszukiwawczą. Pokazał jej członkom zdjęcie chłopca, powiedział, jak był ubrany, i skierował ich do takich miejsc, które mogłyby przyciągnąć uwagę żadnego wrażeń pięciolatka.

Nick miał przez cały czas świadomość, że Amy patrzy na niego z niepokojem swoimi wielkimi oczami. Dokładnie tak samo wpatrywała się w niego matka Tylera Hamiltona - ona też wierzyła, że Nick pomoże jej odzyskać syna. Nick wzdrygnął się na samo wspomnienie tamtego przykrego zdarzenia, którego Maylene Kinney o mało nie ujawniła i to w najbardziej nieodpowiednim momencie. Całe szczęście, że chwilowo zawiodła ją pamięć. A gdy przypomniała sobie całą sprawę, gładko wybrnęła z sytuacji. Amy zaś była zbyt przejęta zaginięciem Josha, by cokolwiek zauważyć. Nick byłby bardzo niezadowolony, gdyby zapytała, dlaczego ostatnio zajmowały się nim media.

Nick dobrze wiedział, że teraz żadne z nich nie powinno wracać do tamtej tragedii. Amy musiała mieć do niego zaufanie. A on powinien skoncentrować uwagę na tej matce i na jej synku i nie dopuszczać nawet myśli, że za tą sprawą kryje się coś więcej niż po prostu zagubione w tłumie dziecko. Cokolwiek innego mogłoby doprowadzić do sytuacji, której nie byłby w stanie spros-

tać. Nie znaczyło to wcale, że nie rozumiał konieczności pilnego odnalezienia Josha, zanim jego matka całkiem oszaleje ze strachu lub zanim stanie się coś gorszego. Miejsca przyciągające tłumy dzieci wabią również ludzi, których te dzieci mogłyby stać się ofiarami. Gdy pracownicy ochrony ruszyli na poszukiwania, Nick wrócił do Amy.

- Jeśli się zgodzisz, wezmę niemowlę na ręce, a wózek zostawimy pod opieką Trish - zaproponował.

Słodka Emma, z różową kokardką w swoich blond loczkach, uśmiechnęła się do Nicka w taki sposób, że niemal zabolalo go serce.

- Cóż to za anioleczek? - zapytał, odwzajemniając uśmiech dziewczynki.

- To Emma. Ma jedenaście miesięcy. Czy jesteś pewien, że chcesz ją wziąć na ręce? - Mogę ją nosić.

- Nie sprawi mi to kłopotu - odparł. - Moja bratanica jest niewiele starsza.

Delikatnie poklepał Emmę po plecach i wziął ją na ręce. Była zadowolona. Nick także znajdował coś szczególnego w bliskim kontakcie z niemowlęciem. Czuł delikatny zapach dziecięcych kosmetyków i miły ciężar na klatce piersiowej. W takich chwilach tęsknił za czymś nieuchwytnym, czego brakowało w jego życiu.

By opanować to obezwładniające go odczucie, zadał Amy konkretne pytanie.

- Czy jest w tym centrum handlowym jakiś sklep, który twój synek szczególnie lubi? - zapytał.

- Jesteśmy tu pierwszy raz - potrząsnęła głową Amy- Przeprowadziliśmy się do tego miasta zaledwie parę tygodni temu i powoli je poznajemy. Nawet dokładnie nie wiedziałam, gdzie jest to centrum i nie mogłam do niego trafić. Chyba nie powinnam była tu przyjeżdżać, ale to nasza tradycja rodzinna, że w Wigilię dzieci widzą świętego Mikołaja. Nie chciałam sprawić przykrości Joshowi. To i tak dla niego trudne, że jego ojciec został w Michigan.

- Jesteś rozwiedziona? - zapytał Nick, rzucając okiem na jej serdeczny palec, na którym nie było obrączki.

Skinęła głową i niepokój Nicka wzrósł.

- Czy jesteś pewna, że twój mąż jest w Michigan? - zapytał głosem pełnym napięcia,

- Oczywiście. A dlaczego pytasz? - Amy była nieco zmieszana.

- A jakie ustalono warunki opieki?

- Ja otrzymałam pełne prawa rodzicielskie. Josh spędzi z ojcem lato. A jaki to ma związek ze sprawą?

- Czy twój mąż chętnie przystał na te warunki?

- Chciał jak najszybciej się od nas uwolnić - wyjaśniła Amy.- Ale po co zadajesz te wszyst-

kie pytania na temat mojego byłego męża? On nie ma z tym nic wspólnego!

Nick spojrzał na Amy przenikliwie.

- Czy jesteś pewna, że nie chciałby odebrać ci Josha?

- Nigdy w życiu! - stwierdziła kategorycznie. - Powiedziałam przecież, że był zadowolony z naszego wyjazdu, bo chciał jak najszybciej przenieść się do nowej żony. Nie wiem, do czego zmierzasz.

Nick pamiętał, że Mitzi Hamilton też nie wierzyła, by jej były mąż mógł porwać ich syna. Tracili wtedy cenny czas, poszukując kogoś obcego, gdy tymczasem Tylera porwał jego własny ojciec, pragnąc zemścić się na byłej żonie. Skąd, do licha, Nick miał wiedzieć, czy Amy Riley naprawdę przedstawia mu sytuację?

Spojrzał jej głęboko w oczy i próbował wyczytać z nich prawdę. Wydawała się nieco zmieszana, może nawet zaniepokojona jego pytaniami, ale była z nim chyba szczerą.

- Czy jesteś absolutnie pewna, że twój były mąż nie zmienił zdania i nie przyjechał tu po Josha?

- W stu procentach - odparła Amy. - Jeśli chcesz, zadzwonię do niego - mówiąc to wyjęła z torebki telefon komórkowy.

- Zrób to - zarządził Nick- Ale zadzwoń na jego telefon stacjonarny, a nie na komórkę.

- Dlaczego?

50 - Bo jeśli zadzwonisz na komórkę, nie będziesz wiedziała, gdzie ją odbiera.

Chciałbym się upewnić, że naprawdę jest w Michigan.

Amy była zdziwiona uporem Nicka, ale wybrała numer stacjonarny w Michigan.

- Ned? - odezwała się w końcu. - Tu Amy. - Jej wzrok spotkał się ze spojrzeniem Nicka. - Ja...

- zawiesiła głos, gdyż nagle zdała sobie sprawę, że musi jakoś usprawiedliwić ten telefon.

Nie bardzo miała ochotę opowiadać byłemu mężowi, że zaginął ich syn- Zastanawiałam się, czy wysłałeś Joshowi prezent gwiazdkowy - rzekła po chwili wahania. - Nic jeszcze nie nadeszło.

Nick odczuł ogromną ulgę, dowiadując się, że ojciec Josha nie jest zamieszany w to zniknięcie. Dalszego ciągu tej krótkiej rozmowy wysłuchał tylko jednym uchem.

- Zadowolony? - zapytała Amy, wkładając telefon do torebki.

- Przepraszam, ale musiałem się upewnić, Amy.

- Powinnam chyba wiedzieć, dlaczego było to takie ważne.

- To rutynowe postępowanie - powiedział, potrząsając głową.

- Nie bardzo chce mi się w to wierzyć - odparła, wpatrując się w niego przenikliwie.

Niedowierzenie Amy sprawiło Nickowi przykrość, ale wiedział, że udzielanie jej szczegółowych wyjaśnień pogorszyłoby tylko sytuację.

- Musisz mieć do mnie zaufanie - rzekł.

- Chyba nie mam innego wyjścia - mruknęła. Ich spojrzenia ponownie się spotkały. - i co teraz?

Nick próbował sobie wyobrazić, jakby się zachował w Wigilię Bożego Narodzenia, gdyby miał pięć lat.

- Czy Josh nie miałby ochoty pójść do sklepu, by kupić prezent swojemu tacie?

- Nie sądzę - odparła Amy marszcząc brwi. - Wysłaliśmy prezent w zeszłym tygodniu.

- A może dla ciebie? Nie poszedłby do sklepu, by w ostatniej chwili kupić ci prezent?

W jej oczach, mających niezwykłą barwę bursztynu, zalśniły łzy.

- Raczej nie. Nie ma pieniędzy. Jedyne, czego dziś pragnął, to zobaczyć świętego Mikołaja. Nie chciał nawet tracić czasu na oglądanie witryny sklepu z zabawkami. Był rano bardzo zmartwiony, gdy powiedziała, że nie czuję się na siłach, by wychodzić z domu. Jego rozczarowanie sprawiło mi taką przykrość, że mimo wszystko ubrałam się i pojechałam z dziećmi. Powinnam była zostać w domu. Mogłam przewidzieć, że coś się wydarzy - powiedziała, a strumienie łez popłynęły jej po policzkach.

- Daj spokój, Amy. Skąd miałaś wiedzieć, że zdarzy się coś takiego? Przestań się oskarżać. To nie twoja wina.

- Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego nie przybiegł prosto tutaj? Przysięgam, że nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobił.

- Tak to już z dziećmi jest. Zawsze robią coś pierwszy raz. Moi bratankowie też bez przerwy zaskakują czymś swoich rodziców.

- To samo mówiła Maylene - Amy rozejrzała się wokół. - A gdzież ona jest? Chyba sobie poszła, a ja nawet nie złożyłam jej życzeń świątecznych. Była dla mnie taka miła.

Nick spojrzał na Amy z podziwem. Żadna kobieta nie martwiłaby się o niezłożenie komuś życzeń, gdy sama znajdowała się w bardzo trudnej sytuacji.

- Przecież ona wie, że twoje myśli zaprzęta coś innego. Poza tym znasz jej imię i nazwisko. Będziesz mogła zadzwonić do niej wieczorem i powiedzieć, że Josh jest w domu cały i zdrowy.

- Myślisz, że tak będzie ?

- Jestem tego pewien - rzekł, ponieważ nie mógł powiedzieć niczego innego. Uznał, że będzie dość czasu na to, by zmierzyć się z rzeczywistością, gdyby chłopiec nie odnalazł się w ciągu najbliższych kilku minut.

Nagle na twarzy Amy ponownie odmalował się ogromny niepokój.

- Czy nie myślisz, że Josh mógłby wyjść na zewnątrz, by próbować odnaleźć samochód ?

Nick miał nadzieję, że chłopiec tego nie uczy-

nil. Na parkingu znacznie łatwiej porwać dziecko, nie mówiąc już o nieuważnych kierowcach, pragnących za wszelką cenę znaleźć wolne miejsce, by zaparkować samochód.

- A jak ty myślisz? - zapytał.

- Chyba tego nie zrobił. Zaprzętała go wyłącznie myśl o świętym Mikołaju. Ale gdzież on się podział?- Przecież widział, gdzie jesteś.

- To zupełnie co innego zobaczyć z pewnej odległości stanowisko świętego Mikołaja. Ale im Josh był bliżej, tym mniej widział. Tak to bywa z dziećmi. Są nieustraszone. Biegają przed siebie i po chwili gubią się w tłumie.

- Powinnam była mocniej go trzymać - lamentowała. - Mówiłam mu, żeby nie puszczał mojej ręki.

- Nie mam wątpliwości, że tak było - starał się ją uspokoić. - Mam pomysł. Zróbmy mały spacer.

- Spacer? - zapytała zdumiona. - W jakim celu?- Przecież to tutaj skieruje swoje kroki. Powiedziałam ci, że jedyne, czego pragnął, to zobaczyć świętego Mikołaja.

- I właśnie dlatego pójdziemy się przejść. Łatwiej będzie mu dostrzec świętego Mikołaja. Gdy szedłem dziś rano przez centrum handlowe, dzieci otaczały mnie ze wszystkich stron, jakbym był przyciągającym je magnesem. Jeśli Joshowi tak bardzo zależy na spotkaniu świętego Mikołaja, być może zauważy nasz korowód i odnajdzie nas.

- A jeśli wróci tutaj, myśląc, że siedzisz na swoim miejscu? - zapytała z niepokojem.

- Chciał jak najszybciej ustawić się w kolejce.

- Ale tego nie zrobił, co oznacza, że coś innego przyciągnęło jego uwagę.

Nick zwrócił się ku swojej siostrze, która właśnie wróciła po nadaniu komunikatu o zaginięciu chłopca i skontaktowaniu się ze sklepami w tej sprawie.

- Trish też będzie go wypatrywała - dodał.

- Prawda, siostrzo?

- Oczywiście - odparła z przekonaniem Trish.

- Zatrzymam jego zdjęcie, by nie był przestraszony, gdy się do niego odezwę. Czy masz swoją komórkę, Nick?

Skinął potakująco głową.

- Zadzwoń do ciebie, gdy tylko się pojawi

- rzekła Trish, patrząc życzliwie na Amy.

Nick zastanawiał się nad intencjami swojej siostry. Wiedział, że jest kobietą ciepłą i wielkoduszną, ale nie bardzo rozumiał, dlaczego akceptuje jego plan spaceru, przekreślający jej pomysł urządzenia stanowiska, w którym dzieci będą fotografowały się ze świętym Mikołajem. Przecież dziś rano była taka zdeterminowana, by znaleźć kogoś, kto wystąpiłby w tej roli. Doszedł do wniosku, że wobec rozwoju wypadków stłumiła swoje własne pragnienia.

- Czy gdyby nasza nieobecność przedłużała się, sprawi ci to kłopot? - zapytał.

Trish spojrzała na bladą twarz Amy i potrząsnęła głową.

- Nie, ta sprawa jest najważniejsza - rzekła. - Poradzę sobie. Jeśli ktoś będzie narzekał, powiem, że święty Mikołaj utknął w windzie.

Nick uśmiechnął się, myśląc z podziwem o inwencji siostry. Właśnie ta cecha doskonale kwalifikowała Trish do wykonywanej przez nią pracy.

- To dobry pomysł - powiedział. W tej samej chwili Emma pociągnęła go mocno za brodę.

-Hola, hola, kochanie! - zaprotestował, próbując wydobyć kosmyk brody z maleńkiej piąstki. - Nie ujawniaj tak na oczach wszystkich mojego przebrania. Dzieci byłyby bardzo złe, widząc, że dały się nabrać na fałszywego świętego Mikołaja.

Po wargach Amy przemknął cień uśmiechu, lecz w jej oczach pozostał strach. Tak bardzo próbowała wziąć się w garść, lecz zdawała sobie sprawę, że jej sytuacja jest tragiczna. Była w obcym mieście, tuż po rozwodzie, jej syn zaginął w Wigilię Bożego Narodzenia, a ten policjant zadawał jej całą masę krępujących pytań.

Nick podziwiał siłę woli, z jaką Amy starała się zachować spokój.

W tym momencie spojrzała na niego wzrokiem pełnym nadziei. Było jasne, że Amy liczy na Nicka. Po prostu ufa mu, iż znajdzie jej syna.

Widząc tę ufność w oczach Amy, Nick miał ochotę czym prędzej oddać jej Emmę i po prostu

uciec, ale wiedział, że nie może tego zrobić. Trish powierzyła mu to zadanie i musiał doprowadzić je do końca - dla niej, dla Amy, a może nawet dla samego siebie.

Instynkt podpowiadał mu, że Amy Riley mogłaby się nim zainteresować, gdyby okoliczności były inne. Natychmiast jednak odepchnął od siebie tę zbłąkaną myśl. Nie mógł przecież podrywać kobiety, której pomagał odnaleźć dziecko.

- Dokąd idziemy? - zapytała, gdy ruszyli wolnym krokiem, przeciskając się przez tłum gęsto wypełniający centrum handlowe.

- Wszędzie i nigdzie - odparł. - Naszym celem jest przyciągnięcie uwagi jak największej liczby ludzi. Może dzięki temu Josh nas odnajdzie.

Ten plan nie odznaczał się szczególną finezją, lecz Nick był zwolennikiem najprostszych taktyk, jakie można było zastosować. Dlaczego więc nie poszukać zagubionego dziecka, które pragnie spotkać świętego Mikołaja, stawiając tegoż na jego drodze?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zgodnie z przewidywaniami Nicka, strój świętego Mikołaja działał na dzieci jak magnes. Gdy Nick kroczył wraz z Amy przez centrum handlowe, bez przerwy otaczały ich gromady maluchów. Amy zastanawiała się, czy pod peruką i sztuczną brodą kryje się mężczyzna, który działa jak magnes również na kobiety. Trish kilkakrotnie robiła takie aluzje, a sam Nick nie wydawał się zmieszany tym, że jest w centrum uwagi.

Nie peszyły Nicka ani lgnące do niego dzieci, ani to, że Emma próbowała oderwać mu brodę. Choć narzekał, że został zmuszony do odgrywania roli świętego Mikołaja, bez trudu odpowiadał na najróżniejsze pytania maluchów lub komentował ich pełne fascynacji milczenie. Schylał się do każdego dziecka i słuchał uważnie, co ma mu do powiedzenia, jak gdyby ono właśnie było najważniejsze na świecie. Amy obserwowała ze wzruszeniem radość maluchów po tych krótkich

spotkaniach ze świętym Mikołajem. Mimo uwagi, jaką poświęcał każdemu z nich, Nick nie przestawał omiatać wzrokiem tłumu.

- Czy masz dzieci? - spytała, korzystając z momentu, kiedy wokół Nicka zrobiło się nieco luźniej.

Odniosła wrażenie, że się nieco zjeżył.

- Nie - odpowiedział krótko. - A dlaczego pytasz?

- Tak po prostu. Masz wspaniałe podejście do Emmy i do wszystkich innych dzieci, które cię bez przerwy zatrzymują - wyjaśniła. - Jestem naprawdę pod wrażeniem. Chyba trudno wyprowadzić cię z równowagi.

- Po prostu mam do odegrania konkretną rolę - odparł zdawkowo. - Zniszczyłbym reputację świętego Mikołaja, gdybym był gburem. Dlaczego miałbym psuć tym Bogu ducha winnym dzieciom radość tylko dlatego, że nie jestem w świątecznym nastroju?

Amy nie była usatysfakcjonowana tą odpowiedzią. Przypuszczała, że Nick po prostu nie chce się przyznać, iż obcowanie z dziećmi sprawia mu wielką przyjemność. Nie rozumiała jednak, dlaczego nie może jej tego powiedzieć.

- Ale mówiłeś, że masz bratanicę?

- Owszem, nasz starszy brat ma trzech synków i córeczkę.

- I to właśnie ona jest w wieku Emmy?

59

- Trochę starsza - rzekł, patrząc na Amy przenikliwie. - Po co zadajesz mi tyle pytań?

Wzruszyła ramionami.

- Po prostu staram się nawiązać rozmowę. Chciałabym przez chwilę przestać myśleć o tym, że wciąż nie znaleźliśmy Josha.

Wyteńczyła wzrok, szukając synka w tłumie, ale nie widziała żadnego chłopca, który przypominałby Josha zabłąkanego w centrum handlowym.

- Nie ukrywam, że bardzo się niepokoję - wyznała. Po chwili podzieliła się z Nickiem swoją największą obawą. - A co będzie, jeśli go nie znajdziemy?

Nick uśmiechnął się krzepiąco. Ten jego uśmiech coraz mniej się jej podobał, maskował bowiem jedynie obawy Nicka. Kiedy spoglądała na niego zniechęcona, widziała malujący się na jego twarzy niepokój.

- Nie mów mi, że Josh na pewno za chwilę się znajdzie - rzekła ostro. - Jakoś na razie go tu nie widać.

- Amy, proszę cię, nie poddawaj się tak łatwo. Dopiero niedawno zaczęliśmy go szukać.

Amy spojrzała na zegarek i stwierdziła, że ten koszmar trwa zaledwie od trzydziestu kilku minut. A miała wrażenie, że od paru godzin. Rzuciła okiem na Nicka. Poczowała nieuchwytną więź z tym przebrany za świętego Mikołaja mężczyzną. Owa więź wydała jej się silniejsza niż ta,

która łączyła ją z mężem pod koniec małżeństwa. A może to ta sytuacja wywołała u niej tak silne emocje? Może nie powinna wyciągać z nich pochopnych wniosków?

- Z pewnością masz rację, ale dla mnie to wieczność. Co nie znaczy, że zamierzam się poddawać - rzekła bojowo. - A swoją drogą, twoje pouczające uwagi działają mi trochę na nerwy.

- Bardzo cię przepraszam - powiedział. W jego oczach dostrzegła trudny do określenia żal. Głęboko westchnęła.

- To ja cię przepraszam. Wiem, że robisz wszystko, co możesz. Ale po prostu się boję.

- To zupełnie naturalne. Masz do tego pełne prawo. Uwierz mi, Amy, odnajdziemy go. Amy, słysząc chichot niemowlęcia, odwróciła się. Zobaczyła, że Emma próbuje zedrzyć świętemu Mikołajowi czapkę z głowy. Choć Nick w ostatniej chwili wykazał refleks, nie zdążył ukryć kosmyka ciemnych włosów, który wysunął się spod jego białej peruki.

- Czy na pewno nie chcesz, bym ją od ciebie wzięła? - spytała Amy. - Chyba cię rozprasza.

- Nie martw się, jej tu bardzo dobrze - zapewnił. - A poza tym stanowi rodzaj przynęty.

- Jak to przynęty?

- Siedząc u mnie na rękach, jest tak widoczna, że Josh bez trudu ją dostrzeże. Jeśli choć trochę znam się na psychice dzieci, sądzę, że nie będzie

zachwycony, iż siostra dotarła do świętego Mikołaja wcześniej niż on. Amy przyznała mu rację.

- Musisz być doskonałym śledczym.

To spostrzeżenie wyraźnie zbiło go z tropu. Nie po raz pierwszy sprawiał wrażenie zdetonowanego, a nawet zirytowanego uwagami Amy na temat swojej pracy. Amy nie mogła zrozumieć tej reakcji. Czyżby był aż tak skromny? A może niedawno stało się coś, co sprawiło, że zaczął wątpić w siebie? Może miało to coś wspólnego z tą głośną sprawą, o której wspomniała Maylene? Amy zauważyła, że twarz Nicka stężała, kiedy Maylene o niej napomknęła.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz? - spytał. - Przecież jeszcze nie odnaleźliśmy twojego synka.

Reakcja Nicka jedynie potwierdziła teorię Amy, że wszelkie uwagi na temat pracy wprawiają go w dziwny stan. Chciała spytać, co się za tym kryje, ale w końcu ugryzła się w język.

- To prawda, ale wydajesz mi się człowiekiem bardzo byстрыm i doskonale znającym psychikę innych - powiedziała. - A przynajmniej świetnie potrafisz przewidzieć zachowania mojego syna. Wiesz, co myśli, chociaż nie widziałeś go na oczy.

Na krótką chwilę ponury wyraz twarzy Nicka ustąpił miejsca uśmiechowi. Jego oczy błysnęły spod śmiesznych, drucianych okularów.

- Po prostu pamiętam, jaki byłem, mając tyle lat,

co Josh. Między Trish, którą poznałaś, a mną jest pewnie taka sama różnica wieku jak między Joshem a Emmą. Nie byłem zachwycony, kiedy przyszła na świat. Wystarczali mi dwaj bracia. A tu nagle pojawiła się siostra! Nie byłem na to przygotowany.

- Ależ Josh kocha Emmę - zapewniła Amy. - Doskonale spisuje się w roli starszego brata.

- Na pierwszy rzut oka pewnie tak - odrzekł Nick. - Ale przypuszczam, że pojawienie się Emmy przewróciło jego świat do góry nogami.

- Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, byś ty stał się mniej pewny siebie po przyjsciu na świat siostry.

- Miałem pięć lat - wyjaśnił Nick, wzruszając ramionami. - Nie trzeba było wiele, by mój świat stanął na głowie. Dobrze wiedziałem, że rodzice pragnęli mieć córeczkę. Potem nagle, obok setek samochodzików i robotów, pojawiły się w domu lalki, sukieneczki, a dominującym kolorem stał się różowy. Moim zdaniem było go stanowczo za dużo.

Amy uśmiechnęła się pod nosem.

- A jak zareagowali twoi bracia? Czy też byli zazdrośni, czy tylko ty tak przyjąłeś siostrę?

- Rob, czyli najstarszy z nas, nawet nie mrugnął okiem, gdy Trish pojawiła się w domu. Miał wtedy dziewięć lat, pasjonował się sportem i pewnie nawet nie zauważył nowego członka rodziny. Stephen, najmłodszy z nas trzech, też specjalnie

się siostrą nie przejął. Całkowicie ją ignorował, choć patrząc na to z dzisiejszej perspektywy, zastanawiam się, czy właśnie w tym okresie nie wystąpił jego pierwszy bunt. Może chciał w ten sposób zwrócić na siebie uwagę?

- A jak ty na nią zareagowałeś?

- Z jednej strony byłem zafascynowany tą istotką ubraną w same różowości, ale jednocześnie szczerze jej nie lubiłem, gdyż całkowicie zawładnęła mamą. Nie czułem się tak po narodzinach Stephena - uśmiechnął się gorzko. - Pewnie chodziło o to, że była dziewczynką.

Amy spojrzała na niego z rozbawieniem.

- A teraz w jakich jesteście stosunkach? Dalej darzysz ją mieszanymi uczuciami?

- Tak, ale przecież ta księżniczka rządzi nami wszystkimi. Czy myślisz, że gdyby było inaczej, zgodziłbym się odgrywać rolę świętego Mikołaja?

- Nie sądzę... - przyznała mu rację. - Chyba że bardzo dobrze ci za to zapłacą.

- Nie dostanę ani grosza. Robię siostrze przysługę - powiedział. - Nazwijmy to przysługą, choć może powinienem dodać, że zostałem do tego w pewien sposób zmuszony.

- Szantażowała cię?

- Obawiam się, że tak - rzekł Nick, kiwając głową.

- Czy mógłbyś mi to wyjaśnić?

- Nie teraz.

- Wobec tego będę nadal uważała, że Trish owinęła cię wokół palca - odrzekła Amy. - Co zresztą dobrze o tobie świadczy.

- Ze jestem mięczakiem?

- Nie, że kochasz swoją siostrę. A czy z pozostałymi członkami rodziny też jesteś tak blisko związany?

- Owszem - przyznał. - Spędzam dużo czasu z rodzicami, by mama mogła mi suszyć głowę na temat mojego zawodu. Bardzo martwi ją to, że zostałem policjantem, więc staram się widywać z nią jak najczęściej, by wiedziała, że ciągle nieźle się trzymam. Ale czasem trudno mi znieść jej komentarze na temat mojej pracy.

- I dlatego tak bardzo się zdziwiłeś, gdy Maylene powiedziała, że mama chwali się dokoła, iż jej syn jest policjantem? - wywnioskowała.

- Tak. Nigdy nie wyobrażałem sobie, bym mógł wykonywać jakiś inny zawód, ale rodzice robili wszystko, by odwieść mnie od tego pomysłu. Choć pracuję w policji od prawie dziesięciu lat, przy każdej okazji sugerują, bym rozważył zmianę zawodu. Moje nieliczne skargi na cokolwiek, co ma związek z pracą, to woda na ich młyn. Moja siostrzyczka też to wykorzystała, wabiąc mnie tu dzisiaj.

Amy spojrzała na niego badawczo.

- W jaki sposób? Czy ma to związek z tym szantażem?

Nick uśmiechnął się, choć chyba żałował, że dał się wciągnąć w tę rozmowę.

- Może kiedyś ci to wyjaśnię - powiedział. - Ale nie dziś. Teraz musimy zająć się szukaniem twojego syna.

Amy przyznała mu rację. Kiedy powoli przemierzali ogromne przestrzenie centrum handlowego, rozglądała się na wszystkie strony, szukając Josha wśród niezliczonych dzieci wpatrzonych z zachwytem w świętego Mikołaja. Gdzie jest Josh? Dlaczego nikt go jeszcze nie znalazł?- Dlaczego sam nie przybiegł do świętego Mikołaja?

Nagle zadzwonił telefon komórkowy. Nick odebrał go i rozejrzał się wokół, jakby chciał dokładnie ustalić, gdzie jest.

- Dobra - rzekł w końcu i wyjaśnił, w której części budynku się znajduje. - Już tam idziemy.

- Co się dzieje? - spytała Amy, czując, że serce bije jej coraz szybciej.

- Ochrona znalazła chłopca błąkającego się po centrum handlowym. Mały mówi, że ma na imię Josh.

Amy była bliska omdlenia.

- Czy nic mu nie dolega?

- Podobno płacze i jest trochę przerażony, ale poza tym ma się dobrze.

- A gdzie jest?

- W zupełnie innym skrzydle centrum handlowego. Ochrona przyjedzie po nas meleksem

i zawiezie nas do niego. Proponuję, byśmy wyszli im naprzeciw.

Niewiele myśląc, Amy ruszyła we wskazanym przez Nicka kierunku.

- Poczekaj! - krzyknął, doganiając ją. - Nie zapominaj, że ochroniarz będzie rozglądał się za mną, nie za tobą.

- Masz rację - przyznała. - Przepraszam. Nick musnął ją po ramieniu.

- Nic się nie stało. O proszę, oto on. Meleks zatrzymał się tuż przy nich. Amy usiadła koło kierowcy, zaś Nick, trzymając Emmę na rękach, usadowił się z tyłu.

- Czy był pan przy odnalezieniu chłopca? - spytał ochroniarza.

- Nie. Dostałem tylko polecenie, by po państwa przyjechać.

Meleks poruszał się bardzo powoli. Na dodatek musiał się bez przerwy zatrzymywać, gdyż na drodze stawały zafascynowane świętym Mikołajem dzieci. Amy kilkakrotnie miała ochotę wysiąść i sama pobiec dalej, ale opanowała to pragnienie. Nick miał rację, mówiąc, że ochroniarz wie, dokąd ich zawieźć. A ona tego nie wie. Gdyby teraz się zgubiła, straciłaby kolejne cenne minuty.

Serce biło jej jak młot. Czowała, że już długo nie wytrzyma tego napięcia. Nick spostrzegł jej niepokój.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - rzekł.

Meleks nagle skręcił w lewo w długi korytarz, a następnie zwolnił.

Amy nieprzytomnie szukała wzrokiem Josha, lecz zamiast niego zobaczyła zmierzającego w jej kierunku młodego pracownika ochrony. Miał zatroskaną minę.

- Tak mi przykro - powiedział, unikając jej wzroku.

- Co się stało? - spytała niecierpliwie. Czuła, że robi jej się słabo. - Znowu uciekł?

- Proszę nam natychmiast powiedzieć, co się dzieje! - zażądał Nick.

Ochroniarz pokręcił głową.

- Okazało się, że to inny chłopiec - wyjaśnił przejęty. - Też miał na imię Josh, ale tuż po moim telefonie do pana pojawili się jego rodzice. - Przelotnie spojrzął na Amy i odwrócił wzrok. - Tak mi przykro, proszę pani. Już poinformowałem ochroniarzy, że mają wznowić poszukiwania. Na szczęście zorientowaliśmy się po kilku minutach.

Wydawało się, że Amy całkiem straciła nadzieję. Łzy zaczęły płynąć strumieniami po jej policzkach. Wstrząsały nią łkania. Nie zauważyła nawet, że Nick podał Emmę zaskoczonemu ochroniarzowi. Stał obok Amy i przytulił ją do siebie.

- Proszę cię, Amy - wyszeptał. - Wiem, że jesteś silna. Nie rozklejaj się teraz, bardzo cię proszę. Wszystko będzie w porządku. To było po prostu nieporozumienie.

- Wiem - odpowiedziała cicho, starając się stłumić łzy. Nie była jednak w stanie ani przestać szlochać, ani odepchnąć Nicka, na którym wsparła się całym ciałem. Wcale nie miał racji, mówiąc, że jest silna. Czuła, że przed wznowieniem poszukiwań musi przejąć trochę sił od niego. - Zaraz się uspokoję - dodała.

- Wszystko będzie dobrze - pocieszał, gładząc ją po plecach, tak jak parę minut wcześniej Emmę. Nie było w tym geście niczego dwuznacznego. Miał on jedynie uspokoić Amy. Ponieważ jednak minęło tak dużo czasu od dnia, kiedy po raz ostatni ktoś ją przytulał, Amy zapragnęła, by ta chwila jeszcze trwała.

W czasie sprawy rozwodowej ani razu nie szukała oparcia w rodzinie czy przyjaciółach. Chciała, by wszyscy widzieli, jak sama radzi sobie z trudną sytuacją. Ale dzisiejsze wydarzenia całkowicie wytrąciły ją z równowagi. Nie miała już sił, potrzebowała wsparcia drugiej osoby. Nick, człowiek zupełnie obcy, którego poznała zaledwie kilkadziesiąt minut wcześniej, nagle zapełnił tę okropną lukę w jej życiu. Pragnęła jeszcze przez chwilę pozostać blisko niego.

Przytulając się do jego piersi, poczuła kombinację ulotnych zapachów: wody po goleniu, miętowego płynu do ust, a także środka przeciwmolowego, pochodzącego bez wątpienia ze stroju świętego Mikołaja. Aksamitna faktura tego

ubrania była bardzo przyjemna w dotyku i Amy zapragnęła dotknąć również sztucznej brody Nicka. Przypomniały jej się słowa starej kolędy, opowiadającej o pewnej mamie, która całuje świętego Mikołaja.

- No proszę. Cóż ja widzę? - spytał Nick, delikatnie unosząc głowę Amy i patrząc jej w oczy. Amy zarumieniła się.

- O czym mówisz? - zapytała zmieszana.

- O twoim uśmiechu - wyjaśnił. - Jeszcze dwie minuty temu płakałaś rzewnymi łzami.

- Coś mi się przypomniało - powiedziała wykrętnie. - To nic ważnego.

Nick nie odrywał od niej oczu. Działo się między nimi coś trudnego do określenia.

- To jest ważne, skoro wywołało znów uśmiech na twoich ustach - szepnął.

Amy nie chciała, by mówił o jej ustach, by na nie patrzył, a nawet, by o nich myślał.

Próbowała za wszelką cenę odwrócić jego uwagę od swojej osoby.

- Po prostu pomyślałam, że Josh nie będzie mógł odjechać tej przejażdżki meleksem.

Nick nie wydawał się usatysfakcjonowany tą odpowiedzią, ale nie nalegał.

- Dopilnujemy, by i on się przejechał. Czy jesteś gotowa wznowić poszukiwania?

Amy wytarła łzy ostatnią chusteczką od Maylene i zmusiła się do uśmiechu.

- Oczywiście - odparła. Gdy dostrzegła wil-

gotne plamy, jakie zostawiła na stroju świętego Mikołaja, skrzywiła się. - Bardzo cię przepraszam.

- Nic się nie stało. Przecież to za chwilę wyschnie bez śladu.

Kiedy Nick odebrał Emmę od ochroniarza, Amy położyła mu rękę na ramieniu. Poczowała skurcz jego mięśni.

- Przepraszam, że spowodowałam tyle zamieszania - powiedziała cicho.

- Ależ nie ma za co - odparł. Wydawało się, że myślami jest daleko. - Tylko nie marnujemy już więcej czasu, zgoda?

Zaskoczona nagłą zmianą jego nastroju, Amy przytaknęła ruchem głowy. Starła się dotrzymać kroku Nickowi, wyrrywającemu do przodu z Emmą na rękach. Amy chciała wierzyć, że pewnego dnia lepiej zrozumie tego człowieka i nagłe wahania jego nastroju. Ale teraz na pewno nie będzie tego roztrząsać. Czy kiedykolwiek pojmie, dlaczego Nick czasami tak dziwnie się zachowuje?

Nick miał kompletny zamęt w głowie. Oto parę chwil wcześniej trzymał w swoich ramionach kobietę, której, jak mu się zdawało, ta bliskość wcale nie przeszkadzała. Miał świadomość, że jeśli nie znajdzie jej syna w ciągu najbliższych kilku minut, Amy będzie miała do niego żal do końca życia. Podobnie jak mama Tylera Hamiltona, która z pewnością nie powiedziałaaby o nim ani jednego

dobrego słowa. I nie bez powodu. Nick zawiódł bowiem zarówno ją samą, jak i jej małego synka. Historia Amy Riley powoli zaczynała mu przypominać tamtą. Nick odnosił wrażenie, że stacza się po równi pochyłej w głęboką przepaść.

Zdawał sobie sprawę, że sprzeczne emocje, jakie targają Amy, są dla niej trudne do zniesienia. Najpierw jej ogromna radość, że synek się odnalazł, a potem rozpacz, że doszło do pomyłki. Serce mu się krajało, gdy patrzył, jak nadzieja znika z jej twarzy i w jednej chwili ponownie przeradza się w desperację.

- Wróćmy na chwilę do stanowiska świętego Mikołaja - zasugerował, modląc się w duchu, by czekały tam na nich jakieś dobre wieści. Trish wprawdzie zapewniła, że da im znać, gdy tylko Josh się odnajdzie, ale Nickowi zaczynało brakować pomysłów na to, gdzie mogliby jeszcze szukać chłopca. Coraz częściej rysował mu się przed oczami najczarniejszy scenariusz. Nick wiedział, że w którymś momencie będzie musiał wziąć go pod uwagę.

- Ty tu decydujesz- odrzekła Amy z rezygnacją. , Nick nawet nie starał się wymyślić jakiegoś niewinnego kłamstwa, by podtrzymać ją na duchu. Ale Amy doskonale przecież wiedziała, że im dłużej nie ma Josha, tym większe może grozić mu niebezpieczeństwo. Poza tym sam był już dość zaniepokojony i coraz trudniej zdobywał się na

wymuszoną beztroskę. Przejmował się tą sytuacją niemal tak samo jak Amy.

Chwilę później *znaleźli* się obok stanowiska świętego Mikołaja. Trish natychmiast ich dostrzegła i wyszła im naprzeciw, by nie zbliżali się zbyt blisko do oczekujących i nie wzbudzali niepotrzebnego zamieszania. Zaniepokojona spoglądała raz na Amy, raz na brata.

- I co? Nadal nie? - spytała.

- Na razie nic - uciął krótko.

- Strasznie mi przykro z powodu tego fałszywego alarmu - rzekła Trish, zwracając się do Amy. - Wyobrażam sobie, w jakim jesteś stanie. Może chciałabyś się odświeżyć? Albo coś zjeść czy czegoś się napić? Mogłabyś na chwilę położyć się w moim biurze. Nick kontynuowałby w tym czasie poszukiwania.

- Dziękuję, ale niczego mi nie potrzeba - zapewniła Amy. - Muszę go dalej szukać. - Po chwili zwróciła się do Nicka. - Ale czy ty nie powinieneś wrócić na swoje stanowisko? Świętego Mikołaja nie ma tu już tak długo, że dzieci tracą cierpliwość, co z pewnością doprowadza ich rodziców do białej gorączki.

- Wrócę do pracy dopiero wtedy, gdy znajdziemy Josha - rzekł dobitnie.

- Ale spójrz, jaka długa uformowała się kolejka - naciskała Amy, wskazując na kilkusetmetrowy sznur oczekujących.

- Nie martw się, jakoś to przeżyją - powiedział i spojrzał wymownie na siostrę. - Jestem pewien, Trish, że gdybyś jeszcze trochę bardziej wypchała strój świętego Mikołaja, doskonale sprawdziłabyś się w tej roli.

Nick miał nadzieję, że Amy będzie ubawiona tym pomysłem i tak też zareagowała. Jej śmiech sprawił, że i jemu poprawił się humor.

- Ja wcale nie żartuję - dodał, uśmiechając się do Amy.

Trish skrzywiła się.

- Nie licz na to, braciszku. Za chwilę znajdziesz zapewne Josha, a potem wrócisz na swoje stanowisko, gdzie do zamknięcia centrum będziesz pełnił rolę świętego Mikołaja. Gdybym nie wiedziała, że Amy ma syna i że jest bardzo zaniepokojona jego zniknięciem, podejrzewałabym, że ukartowałeś z nią to wszystko, by wymigać się od swojej powinności. Amy spojrzała na Trish ze zdziwieniem.

- Czy myślisz, że byłby gotów zrobić coś takiego?

- - Bez mrugnięcia okiem - rzekła Trish z przekonaniem. - Mogłabym ci opowiedzieć niejedną historię o moim bracie.

Nick miał już dosyć tej rozmowy.

- Amy nie ma czasu na wysłuchiwanie twoich opowieści o tym, jak okropnie się do ciebie

odnosiłem i jaki byłem nieznośny przez te wszystkie lata. Nie zapominaj, że zaginął jej syn. Amy spoważniała, lecz jeszcze przez chwilę, odchodząc z Nickiem, oglądała się przez ramię za Trish.

- Kiedyś chętnie tych historii wysłucham - powiedziała.

- Z przyjemnością ci je opowiem - odrzekła nielojalna siostra Nicka.

Nick pokręcił głową z niedowierzaniem. Gdyby miał na to jakiś wpływ, nie dopuściłby do kolejnego, nawet krótkiego spotkania tych dwóch kobiet. Nie wiedział zresztą, czy Trish rzeczywiście zamierza opowiedzieć Amy te historie, czy tylko się z nim przekomarza.

Nick już nieraz widział ten szczególny błysk w oku siostry - po raz pierwszy przy okazji Jenny Davis, z którą Trish próbowała go wyswatać. Ale te swaty nigdy jej nie wychodziły.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nick wziął Amy pod rękę i ruszył naprzód, ale się zawahał. Choć bardzo tego nie chciał, musiał załatwić pewną sprawę. Już i tak zbyt długo zwlekał, a odkładanie jej choćby na chwilę byłoby wyjątkowo nieodpowiedzialne. Nick wyobrażał sobie, co powiedzieliby jego przełożeni, gdyby poszukiwania zaginionego chłopca zakończyły się fiaskiem tylko dlatego, że on próbował coś sobie udowodnić. Powinien przestać myśleć o swojej nadwerżonej ostatnio dumie i podjąć najlepszą w tej sytuacji decyzję.

- Czy mogłabyś tu chwilę zaczekać? - zapytał Amy, przekazując jej Emmę. - Zapomniałem powiedzieć o czymś Trish.

- Oczywiście - odparła, biorąc na ręce niezadowoloną dziewczynkę.

Nick, pokrzepiony tą reakcją Emmy, zaczął ponownie przedzierać się przez tłum. Gdy odnalazł siostrę, miał jednak bardzo zatroskaną minę. Trish wyczuła jego przygnębienie.

- Co się stało? - spytała, patrząc z niepokojem na brata.

- Nie chciałem mówić tego przy Amy, ale uważam, że najwyższa pora zawiadomić policję

-wyjaśnił. - Nie podoba mi się to, że ciągle nie ma żadnych wieści o chłopcu. Nawet w Wigilię, dzień tak gorączkowych zakupów, ktoś powinien był zauważyć błąkające się po centrum dziecko i zawiadomić ochronę.

- Nie myślisz chyba, że...

- Na razie nie wyciągam żadnych wniosków - przerwał jej Nick. - Być może Josh jest odważnym chłopcem, który nie boi się błąkać bez opieki w nieznanym mu otoczeniu, lecz wydaje mi się to mało prawdopodobne. Dzieci na ogół zaczynają się martwić, jeśli na dłuższą chwilę tracą rodziców z oczu. Nie chciałbym dodatkowo niepokoić Amy, ale czułbym się lepiej, gdyby do akcji wkroczyli inni policjanci. Warto byłoby wysłać paru z nich na parking, by zwrócili uwagę, czy nie dzieje się tam nic podejrzanego.

- Masz rację - przyznała Trish, widząc, że sprawa jest poważna. - Zaraz zadzwonię na policję.

- Powiedz im, że jestem jedynym policjantem na miejscu zdarzenia i że przydałoby mi się wsparcie.

Trish pokiwała głową, wydając z kieszeni telefon komórkowy.

Nickowi było przykro, że stawia siostrę w kło-

potliwej sytuacji. Wiedział, jak bardzo zależy jej na tej pracy i jak zaginięcie dziecka w Wigilię Bożego Narodzenia zaszkodzi reputacji centrum handlowego. Ale odnalezienie Josha było sprawą najważniejszą. Nick nie tracił jeszcze nadziei, że ta historia szczęśliwie się zakończy.

- Wiem, że chciałaś uniknąć rozgłosu, Trish, ale nie mogę ryzykować. Chyba to rozumiesz.

- Oczywiście - zapewniła. - To jasne, że odnalezienie Josha jest znacznie ważniejsze niż renoma naszego centrum handlowego. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby coś mu się stało, dlatego że nie podjęliśmy na czas odpowiednich działań.

- Dokładnie to samo mam na uwadze - zgodził się Nick.

Trish spojrzała na brata badawczo.

- Jak sobie z tym radzisz? Wiem, że to dla ciebie niełatwe. Bardzo przepraszam, że cię w to wrobiłam. Może będziesz mógł oddać sprawę w ręce policjantów, gdy tu przyjadą?

- Nie ma mowy - rzekł stanowczo. - Amy na mnie liczy.

- Właśnie to mnie martwi - powiedziała łagodnie. - Wiem, jak bardzo nie chciałbyś jej zawieść.

- Poradzę sobie - zapewnił. - Bylebyśmy tylko odnaleźli chłopca.

Amy, z Emmą na rękach, starała się zachować cierpliwość, czekając na powrót Nicka.

Pocieszała

się myślą, że inni też szukają Josha. Wolałyby jednak mieć poczucie, że sama również coś robi, by go odnaleźć.

- Przepraszam, że to trwało tak długo - rzekł Nick, gdy wreszcie się pojawił. - Spróbujmy poszukać go w tym korytarzu po lewej stronie. Jeszcze tam nie byliśmy.

- Pewnie twoja siostra denerwuje się, że święty Mikołaj zniknął w tym najważniejszym przedświątecznym dniu. Może mogłabym sama poszukać Joshaś

- Chyba już to ustaliliśmy. Nadal uważam, że razem mamy większe szanse na znalezienie twojego syna. Czy masz przy sobie jakieś zdjęcie Josha?- Moglibyśmy pokazać je kilku sprzedawcom. Może widzieli go, gdy próbował robić zakupy?- Dziecko w tym wieku, chodzące bez opieki po sklepie, nie może pozostać niezauważone.

- Chyba nie miał przy sobie żadnych pieniędzy - powiedziała cicho, choć plan Nicka wydał jej się całkiem sensowny.

- A skąd wiesz, ile udało mu się zaoszczędzić¹? Czy Josh nie jest chłopcem myślącym o innych¹?

Amy przypomniała sobie śniadanie, przygotowane dla niej przez Josha na Dzień Matki, i kolorową bryłę z gliny z odciskiem jego dłoni, którą dostała od Josha na urodziny.

- Stara się - rzekła.

- Może po prostu zobaczył coś, co postanowił

ci kupić?- Czy mówiłaś mu ostatnio o czymś, co chciałabyś mieć?

Amy zaprzeczyła ruchem głowy.

- O niczym nie wspominałaś? - spytał z niedowierzaniem. Trudno mu było uwierzyć, że nigdy nie wyrażała swoich pragnień.

- Nie, gdyż byłam zajęta organizowaniem naszego życia w Charlotte - odpowiedziała, wzruszając ramionami. - A poza tym nigdy specjalnie nie zależało mi na dobrach materialnych.

- A nie mówiłaś mu, że widziała? ostatnio jakąś bluzkę czy kolczyki?

Amy spojrzała na swe wytarte dżinsy i znoszony czerwony sweter, który nosiła od co najmniej czterech lat.

- Nie mogę powiedzieć, bym szczególnie podążała za modą. Do pracy ubieram się w lepsze rzeczy niż te, ale i tak nie mam w szafie niczego szczególnie eleganckiego. Parę kostiumów i bluzek. Nie wyobrażam sobie, by Josh kupował mi jakieś ciuchy.

Nick spojrzał na zmieszaną Amy.

- Dla mnie wyglądasz bardzo dobrze - zapewnił, patrząc na jej wełniany sweter. Po chwili z zażenowaniem odwrócił wzrok - No dobrze, jeśli nie ubrania, to może poszedł kupić ci słodycze? Czy masz słabość do czekolady?

Amy roześmiała się.

- A znasz kobietę, która by nie miałaś Ale nie

muszę jeść jakiejs wykwintnej czekolady. Wystarczy mi tabliczka z najbliższego sklepiku. Poza tym i tak nie stać nas na żadne luksusy.

- Być może Josh zobaczył jedną z tych świątecznych, złotych bombonierek i zapragnął ci ją kupić, nie bacząc na cenę - powiedział, kierując się do sklepu ze słodyczami.

Amy z ociąganiem poszła za nim. W sklepie poczuła wspaniały aromat czekolady. Z przyjemnością spoglądała na piramidy najróżniejszych czekoladek i pralinek oraz stopy elegancko opakowanych bombonierek. Czowała, jak ślinka leci jej do ust, choć przed chwilą zapewniała Nicka, że wykwintne czekoladki zupełnie jej nie interesują. Ostatnim razem jadła takie pyszności przed ślubem, gdy Ned przyniósł jej małe pudełeczko czekoladek na walentynki. Był to jeden z bardzo niewielu miłych gestów, na jakie się zdobył.

Była tak zaabsorbowana czytaniem opisów poszczególnych czekoladek, że nie zauważyła, iż Nick rozmawia ze sprzedawczynią i pokazuje jej zdjęcie Josha. Dopiero gdy wyszli ze sklepu, dostrzegła złote pudełeczko, które trzymał w ręku.

- To dla ciebie - rzekł, wręczając jej pakunek. - Musisz się wzmocnić.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Ale przecież mówiłam ci, że nie muszę jeść najdroższych czekoladek.

Nick uśmiechnął się.

- Może i nie musisz, ale widziałem, jak wpatrywałaś się w nie w sklepie. Miałem ochotę coś ci kupić.

Cudowny aromat był zbyt kuszący, by odmówić przyjęcia prezentu. Amy otworzyła opakowanie i znalazła w nim cztery różne czekoladki. Zanim wybrała jedną z nich, napawała się przez chwilę ich aromatem.

Nick patrzył na nią z rozbawieniem.

- Podobno smakują jeszcze lepiej niż pachną - zażartował.

Podsunęła mu pudełeczko.

- Poczęstuj się, proszę - zaproponowała uprzejmie.

- Nie mogę odejmować ci od ust takich smakołyków - odrzekł ze śmiechem.

- Przecież sama ci je zaproponowałam - zauważyła, lecz nie czekając na odpowiedź, wycofała pudełeczko.

- To prawda, ale twój groźny wzrok nie zachęca do zjedzenia choćby jednej czekoladki.

Zakłopotana Amy ponownie wyciągnęła ku niemu opakowanie.

- Ależ naprawdę, poczęstuj się - namawiała.

- Dziękuję, nie. Wystarczy mi, że będę mógł patrzeć, jak ty się nimi delektujesz.

Amy nie udało się zamaskować ulgi, jaką odczuła, widząc, że wszystkie czekoladki są dla niej. Sięgnęła do pudełeczka i wybrała najciemniejszą

z nich. Jeśli dobrze zapamiętała opis, powinna być ona wypełniona masą malinową. Amy powoli odgryzła kawałek i zamknęła oczy, rozkoszując się cudownym smakiem owocowego nadzienia, które rozlało się na jej języku.

- O Boże! - szepnęła niemal w uniesieniu. Kiedy otworzyła oczy, spostrzegła, że Nick się jej przygląda. Był rozmarzony.

- O czym myślisz? - spytała.

- Po prostu zastanawiałem się, jak by to było... - przerwał w połowie zdania. - Zresztą nieważne. Musimy dalej szukać Josha.

- Nick?

Chwycił ją za rękę.

- Chodźmy - ponaglił. - Jest jeszcze bardzo wiele sklepów, do których musimy wejść.

Ruszył tak szybko, że Amy musiała niemal biec, by dotrzymać mu kroku. Emma podskakiwała radośnie w jego ramionach, zachwycona tą niespodziewaną zabawą. Nick wpadł z impetem do kilku sklepów, ale potem znów zwolnił tempo.

Amy patrzyła na niego z rezygnacją.

- Mam wrażenie, że szukamy zupełnie na oślep. Przecież Josh może być naprawdę w każdym miejscu.

- Czy mówiłaś mu, co ma robić, gdyby się zgubi? - spytał, nie bacząc na jej uwagę.

- Tak, kazałam mu znaleźć ochroniarza lub policjanta i zostać z nim do czasu, gdy się pojawię.

- Myślisz, że zastosowałby się do tych rad, gdyby stracił cię z oczu? Czy kiedykolwiek wcześniej się zgubił?

- Nie, nigdy. Zawsze trzyma się blisko mnie.

- A czy sądzisz, że nawiązałby rozmowę z nieznanymi

- Nie, chyba że byłby to policjant albo ktoś inny w mundurze. Bywały już takie sytuacje. Postępował wtedy zgodnie z tym, co wcześniej wpajaliśmy mu. Nigdy nie wpuszcza do domu nikogo nieznanego. I na pewno nie wsiadłby do samochodu z kimś obcym. Zawsze pyta mnie o zgodę, nawet jeśli chcą podwieźć go do domu rodzice jego kolegów.

Nick pokiwał głową.

- To dobrze. A czy zacząłby krzyczeć, gdyby ktoś starał się go do czegoś nakłonić?

- Z pewnością! - rzekła z przekonaniem. Wiedziała, że Josh stawiałby opór, gdyby chciano go porwać.- Wiesz co, Nick? Zaczynam wierzyć w twoją teorię, że po prostu poszedł zrobić zakupy. Pewnie nawet nie zdaje sobie sprawy, że się zgubił, a do tego zupełnie stracił poczucie czasu. Masz rację, że jakaś rzecz w którymś ze sklepów przykuła jego uwagę i wszedł do niego bez zastanowienia. Może nawet nie dla mnie kupuje prezent, lecz dla Emmy. Widziałam tu gdzieś sklep z artykułami dla niemowląt. Poza tym przy wejściu do centrum jest duży sklep z zabawkami.

Nick uśmiechnął się do Amy krzepiaćco.

- Miejmy nadzieję, że tak było. Przejdźmy się do tych sklepów, o których wspominasz. Jeśli rzeczywiście coś przyciągnęło jego uwagę, może niedługo pojawić się przy stanowisku świętego Mikołaja.

- No właśnie! Na pewno tak zrobi! - przytaknęła gorliwie, zadowolona, że znów odzyskała nadzieję.

Nie znaleźli jednak Josha w żadnym z tych sklepów. Zrezygnowani przeszli do innego skrzydła centrum handlowego. Dochodzące z głośników beztrudkie melodie świąteczne były niestosownym tłem do ich ponurych nastrojów.

- Jak trafiłaś do Charlotte? - spytał Nick, gdy mijali witrynę sklepu z pamiątkami.

Patrząc na wymyślne dekoracje, przedstawiające pokryte śniegiem miasteczko, po którym poruszały się figurki świętych Mikołajów i reniferów, Amy żałowała, że Josh tego nie widzi.

- Po rozwodzie znalazłam się w bardzo trudnej sytuacji - zaczęła. - Pracowałam w banku, którego główna siedziba mieści się właśnie tu, w Charlotte. Mój szef, wiedząc, co wydarzyło się w moim życiu, zapytał, czy byłabym zainteresowana przeniesieniem się tutaj. Bez wahania się zgodziłam.

- Czy Josh jest zadowolony z przeprowadzki?

- Nie. Tęskni za ojcem. Staram się nie ujawniać przed nim niechęci do mojego byłego męża.

Uważam, że nie powinno się wplątywać Bogu ducha winnych dzieci w sprawy dotyczące ich rodziców.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. Nie masz pojęcia, jak często jestem świadkiem wykorzystywania dzieci do rozgrywek między rodzicami. To właśnie dzieci najbardziej cierpią - rzekł i spojrzał Amy w oczy. - Ale trochę mnie dziwi, że twój były mąż tak łatwo zgodził się, byś zabrała ze sobą dzieci. Teraz są tak daleko od niego.

- On nie zasługuje na miłość, jaką Josh go darzy - rzekła gorzko. - Był nie najgorszym ojcem, gdy mieszkaliśmy razem. Ale teraz ożenił się ponownie i wkrótce znów będzie ojcem. Ma nowe życie, w którym dla naszych dzieci nie ma miejsca. Uznałam, że na dłuższą metę będzie im lepiej tu, w Karolinie Północnej, niż w Michigan, gdzie dotkliwiej odczuwałyby brak zainteresowania ze strony ojca.

- Widzę, że ten twój były mąż to lepszy numer - skwitował.

- Rzeczywiście trudno mi o nim powiedzieć coś dobrego - przyznała. - Ale dał mi dwoje wspaniałych dzieci, więc nie mogę go nienawidzić. - Spojrzała na Nicka. - A czemu wcześniej sądziłeś, że mój były mąż mógłby być zamieszany w zniknięcie Josha?

- Bo tak się czasami zdarza po rozwodzie - odparł. - Opiekę nad dziećmi ustala sąd, ale

rodzice nie zawsze zgadzają się z wyrokiem. Niekiedy strona, której nie przyznano opieki, postanawia wziąć sprawę w swoje ręce.

Ta odpowiedź nie zadowoliła Amy. Poza tym Nick unikał jej wzroku, co nasuwało podejrzenie, że nie ma ochoty tego roztrząsać.

- Czy miałeś do czynienia z takimi sprawami?- Owszem, parę razy - potwierdził, starając się ukryć zdenerwowanie.

- Czy były przykre? - naciskała.

- Nawet bardzo, ale nie mówmy o tym, proszę. Twój były mąż jest w Michigan, więc przynajmniej możemy wykluczyć, że ma coś wspólnego ze zniknięciem Josha.

Amy zorientowała się, że Nick pragnie zakończyć tę rozmowę, ale to tylko nasiliło jej ciekawość. Zanim zdążyła zadać kolejne pytanie, Nick zręcznie zmienił temat.

- Chyba niełatwa jest przeprowadzka w nowe miejsce tuż przed świętami, prawda? - spytał.

- Zwłaszcza z małymi dziećmi.

Amy spojrzała na niego przenikliwie, ale postanowiła nie wracać już do przerwane go wątku.

- Dopiero dziś tak naprawdę zdałam sobie sprawę, jakie to trudne - przyznała. - W każdą Wigilię Josh jeździł ze swym ojcem zobaczyć świętego Mikołaja. Stało się to tradycją rodzinną, zwłaszcza dla Josha. Potem szliśmy do kościoła na mszę, a stamtąd do domu, gdzie piliśmy gorącą

czekoladę. Wykładaliśmy też ciasteczka na wielki półmisek i nalewaliśmy mleko do dużej szklanki dla świętego Mikołaja. Później oglądaliśmy świąteczne filmy w telewizji, dopóki Josh nie zasnął. Wtedy Ned zanosił go na górę do łóżka, a potem kładliśmy prezenty pod choinką. Kończyliśmy wieczór, zjadając ciasteczka.

- A co z mlekiem?- Nie piliście go?-Amy skrzywiła się.

- Ciepłe mleko?- To obrzydliwe! Wylewaliśmy je i stawialiśmy na stole pustą szklankę obok pustego półmiska. - Ciężko westchnęła. - Ciekawe, jak w tym roku będą wyglądały nasze tradycje świąteczne...

- Wymyślicie nowe - rzekł Nick z uśmiechem.

- Ale zachowacie te sprawdzone, na przykład spotkanie ze świętym Mikołajem w centrum handlowym - zawahał się, a po chwili dodał:

- Gdybyś miała ochotę, mogłabyś przyprowadzić dzieci i pójść do kościoła razem z moimi rodzicami. Ja się tam nie wybierałem, ale pójdę, jeśli uznasz, że Josh ucieszyłby się z jeszcze jednej podtrzymanej tradycji.

Amy spojrzała na niego, zaskoczona zarówno samą propozycją, jak i pewnością Nicka, że Josh wkrótce się odnajdzie.

- Naprawdę byłbyś gotów to zrobić? Nawet nie znasz Josha. A po tej dzisiejszej historii nie możesz myśleć życzliwie ani o nim, ani o mnie.

- Po prostu się zgubił. Przecież nie popełnił przestępstwa - rzekł Nick. - A jeśli chodzi o ciebie, to tylko dowiodłaś, że jesteś kochającą matką. Nawet najlepsze matki nie są w stanie zapobiec sytuacjom, w których ich dzieci nagle zapadają się pod ziemię.

- Miło mi to słyszeć. I bardzo ci dziękuję za tę propozycję, ale nie chciałabym, żebyś specjalnie dla nas zmieniał swoje plany. Mówisz, że nie wybierasz się do kościoła. Co więc zamierzałeś robić?

- Nic szczególnego - odparł. Amy spojrzała na niego zaskoczona.

- Chciałeś samotnie spędzić Wigilię?

- Niektórzy tak robią - rzekł bez przekonania.

- Wielkie rzeczy!

- Jestem pewna, że wolałbyś spędzać Wigilię z rodziną.

- Właśnie dlatego zaprosiłem cię do kościoła

- wyjaśnił z wymuszonym uśmiechem. - Moi rodzice na pewno bardzo by się ucieszyli.

Poza tym dochodzę do wniosku, że pójście do kościoła miałoby na mnie równie dobry wpływ, jak na Josha. Chyba też powinienem postąpić zgodnie z tradycją.

Spojrzała na niego badawczo.

- Dlaczego?

- Bo muszę się trochę wyciszyć - odpowiedział krótko.

Amy czuła, że wkrótce wyjaśni tajemnicę Nicka. Był dla niej tak dobry, że pragnęła mu się jakoś odwdzięczyć.

- Nie chciałabym się wtrącać, Nick - rzekła. - Ale myślę, że moglibyśmy szczerze porozmawiać. Odnoszę wrażenie, że ukrywasz coś przede mną od chwili, gdy zaczęliśmy szukać Josha.

Przez moment Amy sądziła, że Nick otworzy się przed nią i opowie jej o wszystkim, ale on nagle zbladł i gwałtownie się odwrócił, jakby chciał przed kimś uciec.

- Nick! - zawołała zaskoczona jego dziwnym zachowaniem. - Co się stało? Czy zobaczyłeś kogoś, z kim nie masz ochoty się spotkać?

- Sprawdźmy, czy nie ma tu Josha - rzekł ostro, ciągnąc Amy do sklepu z męskim obuwiem. Amy bacznie lustrowała przesuwający się przed sklepem tłum w nadziei, że dostrzeże w nim człowieka, którego Nick tak bardzo próbował uniknąć. Widziała jednak głównie całe rodziny - jedne roześmiane, inne bez reszty pochłonięte przedświąteczną gorączką zakupów. Kilku mężczyzn samotnie kroczyło przed siebie. Przeszło obok parę kobiet obładowanych pakunkami. Amy spostrzegła też grupę nastolatek, bardziej zainteresowanych wypatrywaniem chłopców niż zakupami. Wdzięczyły się i zalotnie uśmiechały do każdego przechodzącego mężczyzny. Nikt jednak nie wydał się Amy osobą, która mogłaby wywołać u Nicka tak gwałtowną reakcję.

Rzuciła na niego okiem. Nick spokojnie

rozmawiał z kasjerką. W jego zachowaniu nie było już śladu wzburzenia sprzed chwili. Kiedy wychodzili ze sklepu, spojrzała na niego badawczo.

- O co chodziło, Nick? Spojrzał na nią z obojętną miną.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Nie potrafisz kłamać - zauważyła. - Czyżbyś zobaczył swoją byłą dziewczynę? A może obecną?

- To nie twoja sprawa - burknął. - Ale to zupełnie co innego, niż myślisz.

Jego szorstki ton sprawił Amy wielką przykrość. Poczuli się dziwnie zasmucona tym, że nie chciał wyznać jej prawdy. Ale z drugiej strony nie mogła mu mieć tego za złe. Czego właściwie się spodziewała? Miał rację - prawie jej nie znał. Był tylko policjantem, który pomagał jej odnaleźć syna. Nie miała prawa wtrącać się w jego życie osobiste.

Ale Nick również zadawał jej wiele pytań, które nie miały żadnego związku ze sprawą.

Zaproszenie jej na wieczorną mszę do kościoła też nie było bezpośrednio związane ze zniknięciem Josha. Czuli, że między nią a Nickiem tli się jakaś iskierka, która mogłaby w przyszłości przerodzić się w coś poważniejszego... Amy sama była zaskoczona tokiem swoich myśli - przecież obiecywała sobie, że po przeprowadzce zajmie się wyłącznie pracą i wychowaniem dzieci.

Lecz jej ciekawość minęła w chwili, gdy zorientowała się, że Nick nie chce powiedzieć jej prawdy. Była już kiedyś z mężczyzną, ukrywającym przed nią swe podwójne życie. Nie zamierzała świadomie wiązać się z kolejnym, który w taki sam sposób miałby ją okłamywać. Myśl, że jej były mąż i Nick mogliby mieć ze sobą coś wspólnego, była dla Amy bardzo przykra. Wolała więc nie dociekać prawdy, by nie dojść do wniosku, że i ten człowiek, tak wobec niej miły i dobry, jest z nią nieszczerzy.

Zresztą i tak nie była to odpowiednia chwila na zaprzątanie sobie głowy takimi głupstwami, gdyż Josh nadal się nie odnalazł. A właśnie w Nicku Amy pokładała największe nadzieje na odzyskanie synka. Potrzebowała jego pomocy, ale wiedziała, że kiedy wreszcie Josh się odnajdzie, ich drogi - jej i Nicka DiCaprio - rozejdą się.

I chociaż już postanowiła, że tak właśnie będzie, nie mogła pozbyć się uczucia, że umyka jej coś bardzo ważnego, co przez chwilę zdawało się być tak blisko.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nick wiedział, że jego szorstki ton sprawił Amy przykrość. Ale jak miał się zachować"? W jaki sposób miał jej wytłumaczyć, że właśnie dostrzegł w tłumie matkę chłopca, który zginął w tragicznych okolicznościach, kiedy Nick prowadził poszukiwania"? Historia ta nie tylko była bardzo smutna, ale nie najlepiej świadczyła o jego kwalifikacjach zawodowych. Gdyby opowiedział ją Amy, na pewno zażądałaby, by ktoś inny zajął się sprawą zaginięcia Josha. Ale Nick, tak jak zapewniał siostrę, zamierzał doprowadzić tę sprawę do końca. Pragnął spędzić więcej czasu z Amy, a jednocześnie potrzebował okazji, która pozwoliłaby mu zrehabilitować się za popełnione wówczas błędy. Pragnął udowodnić, że potrafi odnaleźć zaginionego chłopca i oddać go matce. Chciał wierzyć, że tragedia Tylera Hamiltona nie zniszczyła go. Jeśli i ta akcja zakończy się niepowodzeniem, już nigdy nie

będzie mógł stawić się na służbie. A gdyby odszedł z policji, czym by się zajął? Musiał przyznać, że po części kierował się egoistycznymi pobudkami. Chciał uratować swoją karierę zawodową. Był przecież jednym z najlepszych i najlepiej wykwalifikowanych policjantów w swoim komisariacie. Poza tym miał świetne referencje z innych jednostek, a także duże doświadczenie. Jego psycholog policyjny miał rację, mówiąc, że musi jedynie odzyskać wiarę w siebie. Ale Nick mógł to zrobić, odnajdując Josha, nie zaś analizując bez końca sprawę Tylera Hamiltona.

Choć Nick wierzył, że ten niewygodny strój świętego Mikołaja pomoże mu odnaleźć Josha, wolałby mieć na sobie zwykłe ubranie, które pozwoliłoby mu wtopić się w tłum. Zdawał sobie jednak sprawę, że to właśnie ten strój uratował go przed konfrontacją z Mitzi Hamilton, mamą Tylera. A tego spotkania za wszelką cenę chciał uniknąć. Do dziś niemal co noc śniła mu się chwila, gdy musiał przekazać Mitzi tragiczną wieść o śmierci jej synka.

- Nick? - zagadnęła Amy z niepokojem.

- Słucham.

- Czy dobrze się czujesz?- Doskonale - rzekł z wymuszonym uśmiechem. - Pora wrócić do naszych poszukiwań.

Amy po raz kolejny nie była usatysfakcjonowana tą wymijającą odpowiedzią. Wyraźnie oczekiwała dalszych wyjaśnień. Ale nie mogła ich

usłyszeć przed odnalezieniem Josha, gdyż te informacje spotęgowałyby jedynie jej niepokój. Amy znów zaczęła analizować zachowanie Nicka. Było jasne, że niepokoi go coś więcej niż tylko te bezowocne poszukiwania. Może powinna skłonić Nicka do wyjaśnień, choć wydawał się tak nieskory do ich udzielenia¹? Rozmowa na inny temat, niż zniknięcie jej synka, zrobiłaby zapewne dobrze im obojgu. Amy przypuszczała, że umiałaby mu pomóc.

- Myślę, że mógłbyś ze mną porozmawiać - zaczęła.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Przecież cały czas z tobą rozmawiam.

- Tak, ale nie poruszyliśmy żadnej ważnej kwestii.

- Jak to nieś! Opowiedziałas mi o swoim synku, o rozwodzie i o tym, jak ciężko będzie ci spędzać święta z dala od rodziny. Nie nazwałbym tego powierzchowną rozmową.

- To prawda - przyznała. - Wiesz dużo o mnie, ale ja wiem o tobie bardzo niewiele, poza tym, że masz siostrę i dwóch braci, i że twoi rodzice nie chcieli, żebyś został policjantem.

- No bo w skrócie do tego właśnie sprowadza się moje życie.

Amy zastanawiała się nad tym, co usłyszała. W jego wypowiedziach pojawił się element nie

pasujący do reszty. Była przekonana, że krył się w nim klucz do zrozumienia Nicka.

- Nie sądzę, by twoje życie można było tak łatwo podsumować - polemizowała. - Odnoszę wrażenie, że jest konkretny powód, dla którego nie zamierzałeś dziś iść do kościoła. -

Spojrzała mu prosto w oczy. - Czyżbyś gniewał się na Bogaś Czy zrobił coś takiego, że zacząłeś kwestionować swoją wiarę?

Zamiast odpowiedzieć, Nick odwrócił głowę. Amy przekonała się, że trafiła w sedno.

- O co chodziś - dopytywała się. Przypuszczała, że tajemnica Nicka była związana z pracą. - Czy coś ci kiedyś nie poszło w którejś ze spraw?

Niepokój Nicka, nie pasujący do żywo różowych policzkowi siwej brody świętego Mikołaja, wskazywał, że Amy jest bliska odkrycia prawdy. Zdawała sobie jednocześnie sprawę, iż Nickowi nie podoba się to dochodzenie.

- Daj spokój - uciał lodowatym tonem. - Nie zamierzam o tym rozmawiać ani z tobą, ani z kimkolwiek innym. A już na pewno nie wtedy, kiedy szukamy twojego syna.

- Mam przeczucie, że jest to właśnie bardzo odpowiednia chwila, by omówić twój problem - odparła. - Ta sprawa nie daje ci spokoju. Czyżby nie pozwalała ci się skupić na poszukiwaniach Josha?

- Nigdy nie pozwalam, by cokolwiek odciągało mnie od pracy - rzekł zirytowany. - A już na

pewno nie jakaś wścibska kobieta, zadająca mi setki pytań na temat spraw, które w ogóle nie powinny jej interesować. Może wreszcie skupiłabyś się na tym, co najważniejszej. Zamiast udawać psychoanalityka, zacznij się przyglądać mijającym nas ludziom. Skończy się na tym, że przejdiesz obok Josha i nawet go nie zauważysz.

Irytacja Nicka bardzo ją zabolęła, chociaż w duchu przyznała mu rację. Amy chciała jednak zająć swoją uwagę czymś innym, by choć na chwilę przestać myśleć o Joshu. Chyba i Nick potrzebował takiej rozmowy, ale Amy nie powinna bawić się w psychoanalityka.

- Masz rację - rzekła cicho. - Przepraszam, że się wtrącam.

- Nie mówmy już o tym - odpowiedział, unikając jej spojrzenia i ostentacyjnie zwracając wzrok na otaczający ich tłum.

Amy głęboko westchnęła. Sama też uważnie przyglądała się każdemu mijanemu dziecku. Traciła resztki nadziei, gdy okazywało się, że kolejny przechodzący chłopiec to nie Josh, a brak wiadomości od Trish i ochroniarzy był dla niej trudny do zniesienia.

I nagle, kiedy już niemal całkiem straciła nadzieję, dostrzegła znajomo wyglądającą czuprynkę. Chłopiec stał tyłem, nie mogła więc zobaczyć jego twarzy, a jednak poczuła nagły przypływ wiary. Starła się stłumić podniecenie, ponieważ jej nadzieja już kilkakrotnie okazywała się płonna.

Po chwili dostrzegła czerwono-zielony szalik, ciągnący się po ziemi za chłopcem. Wtedy nie miała już wątpliwości, że to Josh - własnoręcznie wydziergała mu ten szalik w zeszłym roku na Boże Narodzenie.

- Tam! - wykrzyknęła, chwytając Nicka za ramię i pokazując palcem przed siebie. - Widzę go! To Josh! Jest tam, właśnie wchodzi do sklepu! Miałaś rację! Po prostu poszedł robić zakupy!

Nick spojrział we wskazanym przez Amy kierunku.

- Gdzie go widzisz? Czy jesteś pewna, że to on? W tym czasie Josh zdążył już zniknąć w sklepie. Zamiast więc odpowiedzieć na pytanie, Amy zaczęła przeciskać się przez tłum, ciągnąc za sobą Nicka. Wokół jednak było tak wielu ludzi, że właściwie stała w miejscu, dopóki Nick nie chwycił jej pod rękę i nie przeprowadził na drugą stronę pasażu.

Zastanawiała się, czy to jego postura, strój czy po prostu determinacja sprawiły, że tłum rozszedł się na boki, ustępując im miejsca.

- Do którego sklepu wszedł? - spytał. - Nie widzę go.

- Tutaj! - krzyknęła podniecona, wskazując witrynę, w której stały manekiny odziane w koronkową bieliznę damską.

Nick spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Twierdzisz, że twój pięcioletni synek wszedł do sklepu z bielizną?

- Sam pytałeś, co mógłbyś chcieć kupić mi na gwiazdkę. Jego ojciec zawsze dawał mi na święta eleganckie figi albo stanik. Jak widać, te prezenty zainspirowały Josha.

- Rozumiem - rzekł w końcu Nick bez przekonania.

Kiedy dotarli do wielkich drzwi sklepu, Amy wyczuła wahanie Nicka. Przypuszczała, że jak każdy mężczyzna, lubi oglądać kobiety w seksownej, koronkowej bieliźnie, ale umarłby ze wstydu na samą myśl o kupowaniu stanika czy eleganckich fig.

Spojrzała na Nicka z rozbawieniem.

- Chyba nie boisz się biustonoszy i majtek?

- Nie - odpowiedział. - Przerazają mnie raczej kobiety robiące tu gorączkowe zakupy.

- Przecież jest Wigilia - przypomniała Amy. - Przyjrzyj się kupującym. To głównie zdesperowani mężczyźni, w ostatniej chwili szukający czegoś dla swych partnerek. Raczej ja powinnam się tu dziś czuć nieswojo.

- Jesteś pewna, że Josh tu wszedł? - spytał, omiatając wzrokiem kupujących.

Choć Josh był znacznie niższy od innych klientów, Amy wciąż widziała ciągnący się za nim szalik. Upewniwszy się, że jej synek jest cały i zdrowy, odetchnęła z ulgą i odpowiedziała na pytanie Nicka skinieniem głowy. Kiedy tłum trochę się rozsunął, ujrzała całą sylwetkę Josha.

Chłopiec z wielkim zainteresowaniem oglądał zawartość stoiska z przecenioną bielizną.

- Widzę go, Nick! - wykrzyknęła radośnie. - Tam, popatrz! Trzyma w ręku czerwone stringi!

Słyszając to, Nick spojrzał ukradkiem na Amy.

- Święty Mikołaj nie powinien ekscytować się damską bielizną - skarciła go z rozbawieniem.

- Wyglądasz zupełnie tak jak ja w tym sklepie z czekoladkami. Chodź już. Nie pozwólmy, by znowu gdzieś się zawieruszył.

- Święty Mikołaj chyba nie powinien wchodzić do sklepu z damską bielizną - zauważył, śmiejąc się pod nosem. - Wiesz coś Stanę z Emmą przy wejściu i będę pilnował, by Josh nie wyszedł ze sklepu. A ty pójdziesz po niego sama, dobrze?

- Ależ z ciebie tchórz! - żartowała. Czuliła ogromną ulgę, że ten koszmar się wreszcie skończył.

Nie chcąc tracić ani chwili dłużej na dalsze słowne utarczki, zaczęła przeciskać się między wypełnionymi bielizną stołami, aż w końcu znalazła się obok synka. Przez dłuższą chwilę obserwowała go w milczeniu, ciesząc oczy jego widokiem.

- No, mój drogi, narobiłeś sobie kłopotów!

- rzekła wreszcie głośno, schylając się i z całej siły przytulając go do siebie. Miała ochotę na zawsze zatrzymać Josha w swoich objęciach.

- Mamo! - powiedział zirytowany. - Przecież masz mnie nie widzieć!

Pokręciła głową z niedowierzaniem. Josh

najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zdenerwowała się jego zniknięciem.

- A niby dlaczego mam cię nie widzieć?

- Bo ja właśnie kupuję ci prezent - wyjaśnił rzeczowo. - To niespodzianka.

Choć wzruszyła ją inicjatywa synka, musiała wytłumaczyć mu, że zachował się bardzo nieodpowiedzialnie.

- Nie ma znaczenia, w jakim celu tu przyszedłeś - powiedziała surowo. - Czy choć przez chwilę pomyślałeś, jak bardzo się niepokoiłam, kiedy tak nagle gdzieś pobiegłeś?

- Niepokoiłaś się?

- No oczywiście! Czy przypominasz sobie, że bym kiedykolwiek wypuściła cię samego na zakupy? A na dodatek nie byłeś nigdy wcześniej w tym centrum handlowym! Kiedy tak ruszyłeś przed siebie, byłam pewna, że chcesz obejrzeć świętego Mikołaja, ale nie znalazłam cię w kolejce. Nie miałam pojęcia, gdzie się podziałeś. Bardzo długo cię nie było.

Josh spojrział na Amy z przejęciem.

- No bo chciałem iść do świętego Mikołaja, ale kolejka była bardzo długa. Postanowiłem, że najpierw kupię ci prezent. Taki jak tata zawsze ci dawał na Gwiazdkę. Chciałem, żebyś się więcej nie smuciła.

- A skąd wiedziałeś, do jakiego sklepu pójść? - spytała, kryjąc wzruszenie.

- Rok temu byłem w takim sklepie z tatą - wyjaśnił. - Najpierw szukałem mapki centrum handlowego, bo wiedziałem, że będziesz zła, jeśli zapytam kogoś nieznanego. Ale nie było mapki, więc sam zacząłem szukać sklepu. Dziś jest tu bardzo dużo ludzi i strasznie wolno się chodzi po tych korytarzach. Dlatego tak długo mnie nie było. Ale w końcu znalazłem ten sklep. To właśnie w takim byłem z tatą.

Patrząc na dumną minę synka, Amy poczuła, jak łzy napływają jej do oczu.

- Ależ, kochanie, ja naprawdę nie potrzebuję takiego prezentu. A poza tym skąd masz pieniądze? Taka bielizna nawet na wyprzedaży jest bardzo droga.

- Odłożyłem to, co dostałem od taty, jak wyjeżdżaliśmy z Michigan - wyjaśnił, biorąc do ręki czarne stringi. - A te ci się podobają?

Figi sprawiały wrażenie wyjątkowo niewygodnych, takich jak te, które Amy przez lata dostawała od Neda. Trzymała je potem w szufladzie z bielizną i właściwie nigdy ich nie zakładała. Nie mogła pozwolić, by Josh wydawał zaoszczędzone pieniądze na kolejną parę, którą spotkałby taki sam los.

- Chcąc kupić mi prezent, dowiodłeś, że jesteś wspaniałym chłopcem, ale wolałabym, żebyś odłożył te pieniądze na jakiś prezent dla siebie, tak jak życzył sobie twój tata. - Spojrzała na niego surowo. - Ale obawiam się, że długo nie będziesz

miał okazji niczego sobie kupić, bo po tym, co dziś zrobiłeś, nie dostaniesz na to pozwolenia. Mina Josha zrzędała.

- Ale, mam, przecież poszedłem kupić ci prezent! - wyjaśnił. - Myślałem, że się ucieszysz.

- O ile kupowanie prezentu to bardzo piękny gest, znikanie mi z oczu jest bardzo nierozsądne. Czy zdajesz sobie sprawę, że od ponad godziny szukał cię policjant i cała ochrona centrum handlowego?

Josh wreszcie zrozumiał, że źle postąpił.

- Ojej - wyszeptał. - Będą się na mnie gniewać?

- Nie, raczej odetchną z ulgą na wiadomość, że się odnalazłeś i że nic ci się nie stało - odpowiedziała Amy. - i na pewno będą zadowoleni, jeśli przeprosisz każdego z nich po kolei.

- No dobrze - rzekł skruszony. - Powiem, że bardzo ich przepraszam. Może pojedziemy do domu po ciasteczka świąteczne i przywieziemy im?

Amy widziała, że Josh się przejął. Obawiała się jednak, że w ciągu najbliższych lat może jej wywinąć jeszcze niejeden podobny numer.

- Skoro wiesz, że źle postąpiłeś, może chciałbyś się z kimś zobaczyć? Ten ktoś też chciałby wiedzieć, że nic ci się nie stało. Po tym spotkaniu pójdziemy powiedzieć ochroniarzom, że się odnalazłeś. Odłóż te majtki na miejsce i chodźmy.

Josh niechętnie rozstał się z figami i podał mamie rękę.

- A kto to taki? - spytał, gdy szli przez sklep.

- Kto chce mnie zobaczyć? - Nagle na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Tata? Tata przyjechał na święta?

Przez chwilę czuła żal do byłego męża o to, że od tygodnia nie zadzwonił do Josha. Uznała jednak, że nie warto się denerwować. Wiedziała przecież, że Ned się nie zmieni. Miała już dosyć ciągłego usprawiedliwiania go przed synkiem.

- Nie, kochanie - odparła, z trudem powstrzymując się od skomentowania zachowania Neda.

- To nie tata.

- Aha - rzekł Josh ze smutkiem w głosie.

- No chodź już. Myślę, że nie będziesz zawiedziony.

- Babcia i dziadek? - spytał bez większego entuzjazmu.

Zanim Amy zdążyła odpowiedzieć, Josh dostrzegł świętego Mikołaja trzymającego na ręku Emmę. Uśmiech znów rozjaśnił jego twarz, a żal, że nie czeka na niego ojciec, zniknął w okamgnieniu.

- Święty Mikołaj! - wykrzyknął podekscytowany. - Przyprowadziłaś świętego Mikołaja!

Po raz drugi tego dnia Josh uwolnił swą rękę z dłoni Amy i pobiegł do świętego Mikołaja.

Tym razem jednak ten był tuż obok. Ukucnął i z całej siły przytulił Josha do siebie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nick śledził każdy ruch Amy, gdy zmierzała w sklepie do Josha. Emma zaś śmiała się i pokazywała brata palcem, zachwycona tym, że znów go widzi.

Patrząc na tę scenę, Nick czuł, że coś w nim pęka. Tak właśnie powinna była zakończyć się historia Tylera Hamiltona. Mitzi Hamilton nie odzyskała jednak synka. Otrzymała w zamian wiadomość o jego tragicznej śmierci. Nickowi zależało, by osobiście ją jej przekazać. Gdy informował przerażoną matkę o tym, co się stało, widział, jak ta blednie na jego oczach. Podtrzymał ją w ostatniej chwili, bez jego pomocy osunęłaby się na ziemię. Chyba nigdy nie zapomni tamtej rozdierającej sceny, mimo że ten chłopiec odnalazł się cały i zdrowy. Zobaczywszy świętego Mikołaja, Josh radośnie podskoczył, puścił rękę Amy i pobiegł prosto w jego objęcia. Nick poczuł wielką ulgę. Te

poszukiwania zakończyły się dobrze. Josh wrócił do mamy, a sam Nick odegrał w jego odnalezieniu pewną, choć niewielką rolę.

Amy zachowywała się tak, jakby otrzymała właśnie najwspanialszy prezent gwiazdkowy.

- Dziękuję ci - rzekła do Nicka, starając się, by Josh tego nie usłyszał.

Zanim Nick zdążył odpowiedzieć, Josh wyrwał się z jego objęć i zaczął bacznie mu się przyglądać.

- Poznałem świętego Mikołaja w zeszłym roku - oznajmił. - Wcale nie jesteś do niego podobny.

Nick powstrzymał uśmiech.

- Widzisz, Josh, święty Mikołaj miał ciężki rok. Zestarzał się trochę.

Josh nie wydawał się przekonany.

- I masz zupełnie inny głos. Mówisz tak, jakbyś mieszkał gdzieś w okolicy, a nie na biegunie.

- Zaraz ci to wytłumaczę, Josh. Święty Mikołaj musi dopasować się do otoczenia, w którym akurat przebywa - wyjaśnił przy wtórze śmiechu Amy. - Już od dłuższego czasu jestem w tym centrum handlowym i słyszę, że wszyscy tu tak mówią. Spodziewają się, że i ja będę miał miejscowy akcent.

- No może - rzekł Josh bez przekonania. Nagle na jego twarzy pojawił się uśmiech. - A mogę ci już teraz powiedzieć, co chcę dostać na

Gwiazdkę? Żeby nie musiał stać w kolejce. Bo ja właśnie dlatego się zgubiłem. Kolejka była bardzo długa, a ja nie chciałem stać i czekać.

Nick spojrzał na rozpromienioną Amy, która czule patrzyła na synka.

- No właśnie, porozmawiajmy o twoim zniknięciu - zaproponował Nick. - Jak mężczyzna z mężczyzną.

- Dobra - zgodził się Josh bez wahania.

- Zastanawiam się, czy chłopcy, którzy uciekają swoim mamom, zasługują na prezenty od świętego Mikołaja - rzekł. - A ty jak uważasz?

- Mam ci powiedzieć, czy zasługuję na prezent? - spytał Josh z niedowierzaniem.

- Tak. Słucham cię. Josh nagle spowaźniał.

- Ale ja wcale nie chciałem przestraszyć mamy. Chciałem jej tylko kupić prezent - wyjaśnił przejęty. - To był dobry pomysł, prawda? Nawet mama tak powiedziała, choć jest na mnie bardzo zła.

Nick z trudem ukrywał rozbawienie. Zrozumiał, że Amy nie ma chwili spokoju ze swoim synkiem. Josh był wyjątkowo bystry jak na swój wiek. Nick też był taki w dzieciństwie - umiał doskonale wytłumaczyć się z każdego przewinienia. A pani DiCaprio była równie tolerancyjna jak Amy. To ojciec starał się zaprowadzić w domu dyscyplinę. Josh natomiast nie miał nikogo, kto

mógłby to zrobić. Nick postanowił chociaż przez chwilę wypełnić tę lukę.

Spojrzał Joshowi prosto w oczy.

- Bardzo ci się chwali, że chciałeś kupić mamie prezent - zauważył. - I to przemawia na twoją korzyść. Ale ucieczka, nawet jeśli przyświeca jej szlachetny cel, jest czymś niedobrym. Wiele osób bardzo się o ciebie martwiło.

Chłopiec popatrzył na niego z przejęciem.

- Wiem, mama mi mówiła - rzekł cicho, po czym nagle się rozpromienił. - Ale przeproszę wszystkich, więc będzie w porządku.

Nick rzucił okiem na Amy.

- Wiele osób to z pewnością doceni, ale chciałbym, żebyś zrozumiał, że źle postąpiłeś.

- Bo mama się niepokoiła - podpowiedział Josh.

- Owszem, to jeden z powodów - potwierdził Nick.

Nick zastanawiał się, jak, nie strasząc Josha, uświadomić mu, czym mogła się zakończyć jego ucieczka. Odwaga była cechą, która z pewnością przyda mu się w starszym wieku, ale przez kilka najbliższych lat byłaby jedynie źródłem niepokoju dla Amy.

Spojrzał na Josha poważnie.

- Ale jest jeszcze inny, równie ważny powód - ciągnął. - To bardzo niebezpieczne dla chłopca w twoim wieku chodzić samemu w takim tłumie. Mogło ci się przydarzyć wiele różnych rzeczy.

108

Josh słuchał Nicka z uwagą, ale chyba nie rozumiał, co ten ma na myśli.

- A co mogło mi się przydarzyć ?

Nick zastanawiał się, czy ma przytoczyć konkretne przykłady. W końcu jednak wybrał inną taktykę.

- Wierzysz w świętego Mikołaja, prawda?

- Jasne!

- Święty Mikołaj widzi wiele rzeczy, na przykład to, kiedy chłopcy i dziewczynki są grzeczni, a kiedy nie.

- No i właśnie dlatego zawsze jestem bardzo, bardzo grzeczny - rzekł, spoglądając na Amy. Po chwili poprawił się. - No, prawie zawsze. Do dzisiaj byłem naprawdę grzeczny.

Nick uśmiechnął się pod nosem.

- No dobrze. Skoro rozumiesz, że święty Mikołaj wie, co przytrafia się dzieciom na całym świecie, uwierz mi na słowo, że to bardzo niebezpieczne, gdy taki mały chłopiec chodzi sam po centrum handlowym.

Josh ciągle nie wydawał się przekonany.

- Ale przecież nic mi się nie stało.

- Rzeczywiście, tym razem nic ci się nie stało - przyznał Nick. - Dziś miałeś naprawdę dużo szczęścia. Ale nie powinieneś nigdy więcej podejmować takiego ryzyka, rozumiesz-?

- Chyba tak.

- No to umówmy się. Jeśli chcesz, by święty

Mikołaj mimo wszystko porozmawiał z tobą o prezencie gwiazdkowym, musisz mi obiecać, że nigdy więcej nie uciekniesz mamie.

Josh ożywił się, słysząc słowo „prezent”.

- Obiecuję - zapewnił, po czym zwrócił się do Amy. - Przepraszam cię, mamo.

- Pamiętaj, że święty Mikołaj będzie wiedział, czy dotrzymujesz słowa - rzekł Nick. - Skoro obiecałeś, musisz zawsze go dotrzymywać.

Josh spojrzał na niego zdezorientowany.

- Czyli do czasu, gdy będę nastolatkiem?

- Nie, znacznie dłużej. Musisz być grzeczny do czasu, kiedy będziesz dorosły, a i wtedy powinieneś starać się nie robić niczego, co mogłoby sprawić mamie przykrość. Rozumiesz?

- Chyba tak - odpowiedział. - Postaram się. Ale to znaczy, że będę musiał być grzeczny strasznie długo. - Josh przyjrzał się Nickowi uważnie. - A ty masz mamę?

Nick pokiwał twierdząco głową.

- I ciągle się o ciebie martwi?- Och tak - zapewnił Nick i pomyślał, że niestety nadal dostarcza jej powodów do niepokoju. Nie zamierzał jednak mówić tego Joshowi.

- Ale przecież ty jesteś świętym Mikołajem!

- Mamy nigdy nie przestają martwić się o swoje dzieci, niezależnie od tego, kim te dzieci są i ile mają lat - wyjaśnił Nick. - Przed tobą długa droga, ale myślę, że dasz sobie radę.

- Może... - rzekł Josh bez przekonania.

- Proponuję, żebyś to wszystko jeszcze raz przemyślał. Porozmawiamy, jak ustawisz się w kolejce i przyjdiesz do mnie, do mojego stanowiska. Wtedy mi powiesz, co chciałbyś dostać na Gwiazdkę.

- Dobra! To lecę zająć kolejkę! - rzekł Josh, próbując pobiec przed siebie.

Nick złapał go za rękę.

- Poczekaj! Czyżbyś już zapomniał, o czym przed chwilą rozmawialiśmy?

- No tak. Mamo, czy możemy tam iść i stanąć w kolejce?

Zanim Amy zdążyła odpowiedzieć, Nick pokazał jej tłumy przed stanowiskiem świętego Mikołaja. Postanowił, że po tym, jak wreszcie porozmawia ze wszystkimi dziećmi, które tak grzecznie czekają na niego od ponad godziny, będzie musiał jakoś sobie wynagrodzić ten ciężki dzień. Chciał spędzić trochę czasu z Amy i namówić ją, by poszła z nim i jego rodzicami na pasterkę. Czuł, że ten wspólny wieczór może być początkiem czegoś wspaniałego.

- Wiesz coś - rzekł do Josha. - Skoro kolejka jest taka długa, może poszedłbyś najpierw coś zjeść z mamą i siostrą? A potem powiesz mi, co chciałbyś dostać na Gwiazdkę.

- Czy nie będzie za późno - zaniepokoił się Josh.

- Nie ruszę się stąd, dopóki cię nie wysłucham
- obiecał Nick i zwrócił się do Amy. - Czy masz coś przeciwko temu? Chyba jesteś głodna. Polecam pizzę w tym barze po drugiej stronie przejścia.

Amy spojrzała na Nicka niepewnie.

- Masz rację, umieram z głodu - odparła.

- Rano myślałam, że bierze mnie grypa, ale teraz czuję się dobrze. Z przyjemnością zjem pizzę. Może ci coś przynieść?

- Nie, dziękuję - odparł Nick.

- No to do zobaczenia - rzekła Amy. Ruszyła przed siebie z Emmą w ramionach i Joshem trzymanym za rękę. Po chwili jednak zawróciła. Zanim Nick się zorientował, stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.

- Dziękuję za pomoc w odnalezieniu Josha

- wyszeptała, z trudem tłumiąc łzy. - Nawet nie wiesz... - zaczęła, ale wzruszenie nie pozwoliło jej dokończyć zdania.

Nick otarł spływającą po jej policzku łzę.

- Chyba wiem - odpowiedział. - Cieszę się, że mogłem ci pomóc.

Amy spojrzała mu prosto w oczy.

- Nigdy nie zapomnę, co dla nas zrobiłeś...

- Zawiesiła głos i, lekko mrużąc oczy, dodała:

- Ani tych pytań, na które nie odpowiedziałeś.

- Jesteś najbardziej upartą osobą, jaką znam

- rzekł, powstrzymując śmiech.

Amy też się uśmiechnęła.

- Czy na pewno nie chcesz, bym ci przyniosła jakąś przegryzkę, na przykład kawałek pizzy? Może przynajmniej coś do picia?

- Nie, dzięki - odmówił.

Dopiero gdy Amy zniknęła w tłumie, szepnął:

- Chcę tylko was.

Kiedy wypowiadał te słowa, podeszła do niego Trish.

- Czyżbyś odnalazł coś więcej niż tylko tego chłopca, braciszku? - spytała, mrugając porozumiewawczo.

- Kto wie... ? - odrzekł zadumany. - Być może.

- Widziałam ten pocałunek - poinformowała. - Zauważyłam też, jaki miałeś wyraz twarzy, rozmawiając z Amy - dodała. - Ale przecież wszyscy wiedzą, że święta to okres, w którym zdarzają się cuda.

Nagle wyłoniła się z tłumu Laura DiCaprio, ich matka, i stanęła obok.

- No proszę, tu jesteście - rzekła, jakby szukała ich od wielu godzin. Obejrzała syna od stóp do głów.

- Nicky, kochanie, jaki wspaniały z ciebie święty Mikołaj! - wykrzyknęła z zachwytem.

Nick nie tylko nie spodziewał się tu swojej matki, ale też nie był specjalnie uradowany jej przybyciem. Zastanawiał się, co ją tu sprowadzało. Wyglądała tak, jakby przyszła prosto z kuchni,

gdzie przygotowywała świąteczne potrawy. Spojrzał wymownie na siostrę, przekonany, że jest jakoś zamieszana w niespodziewane przybycie mamy, ale Trish pokręciła głową.

- Nie patrz tak na mnie - rzekła. - Nie rozmawiałam dziś z mamą.

Nick zwrócił się ponownie do matki.

- Co tu robisz? Tylko mi nie mów, że to zbieg okoliczności, bo dobrze wiem, że zakończyłaś zakupy świąteczne miesiąc temu.

- Nie miesiąc temu, tylko we wrześniu - sprostowała.

- Nie o to pytam - zwrócił uwagę Nick.

- A co mnie tak przepytujesz? Nie jestem chyba o nic podejrzana - zażartowała.

- Mamo! Czy mogłabyś po prostu odpowiedzieć na moje pytanie? - poprosił lekko zirytowany Nick.

- No dobrze, skoro musisz wszystko wiedzieć. Zadzwoiła do mnie Maylene Kinney.

Opowiedziała mi o tym chłopcu, który się zgubił...

- zawiesiła głos, przyglądając się uważnie synowi. - Chyba rozumiesz, dlaczego przyjechałam. Chciałam się upewnić, że z tobą wszystko w porządku. Twój tata mnie przywiózł, a teraz szuka miejsca na parkingu. Pewnie w końcu tu dotrze.

- Spojrzała z troską na Nicka. - Czy chłopiec się odnalazł?- Czy nic mu się nie stało?

- Tak, jest cały i zdrowy - odrzekł krótko.

Nick nie był zachwycony obrotem spraw. Wiedział, że jeśli informacja o kolejnym zaginionym chłopcu wydobędzie się poza centrum handlowe, za chwilę będą tu reporterzy.

Spojrzał na siostrę.

- Jeśli pojawią się dziennikarze, dopilnuj, bardzo cię proszę, by się do mnie nie zbliżali. Powiedz im, że był to fałszywy alarm. Albo powiedz im, zgodnie z prawdą, że Josh już jest z mamą. Tylko mnie w to nie mieszaj.

Trish spojrzała na niego z lekkim niepokojem.

- Dobrze, zrobię, co będę mogła, ale jest tu już jedna dziennikarka, która robi reportaż o zakupach w ostatniej chwili. Pogadam z nią, obawiam się jednak, że tak łatwo nie da za wygraną. Przyznasz, że to piękna historia - święty Mikołaj odnajduje chłopca zaginionego w Wigilię.

- Gdyby tylko o to chodziło, zgodziłbym się z tobą. Ale dobrze wiesz, że kontekst jest znacznie szerszy - zauważył.

- Ależ, kochanie, stałbyś się bohaterem - włączyła się matka. - Czy to nie byłoby dobre po tym... No wiesz, po tych wydarzeniach sprzed miesiąca?

- Nie chcę być bohaterem, nie mówiąc już o tym, że nawet nie chciałem być świętym Mikołajem. Zresztą, żeby zasłużyć na miano bohatera, trzeba zrobić znacznie więcej niż tylko pomóc matce w odnalezieniu syna. - Pokręcił

głową z niechęcią. - Nie powinienem był w ogóle odbierać dziś rano telefonu. Kiedy wypowiedział te słowa, pomyślał o spotkaniu z Amy i jej rezolutnym synkiem. Przypomniawszy sobie, jak wspaniale czuł się, trzymając na rękach Emmę. Nie oddałby tych chwil za żadne skarby świata.

Zauważył znaczące spojrzenie siostry. A więc Trish wszystkiego się domyśliła.

- No dobra, wracam do roboty - rzekł bez entuzjazmu. - Te biedne dzieci już się pewnie bardzo denerwują.

Odchodząc, Nick zawahał się.

- Trish, a może powinnaś odnaleźć Amy i ostrzec ją, że krąży tu reporterka? - Nie wiem, czy ktokolwiek rozpozna ją lub Josha i wskaże ich dziennikarce, ale niech lepiej będzie na to przygotowana. Powiedz, żeby poczekała w barze, dopóki po nią nie wrócisz. Obiecałem Joshowi, że przed zamknięciem centrum będzie mógł porozmawiać ze świętym Mikołajem. Matka Nicka ożywiła się, słysząc te słowa.

- Amy? - spytała zaintrygowana. - Czy to jej synka odnalazłeś? - Maylene mówiła, że jest uroczą kobietą, która niedawno przeprowadziła się do Charlotte. I podobno samotnie wychowuje dwójkę dzieci. A Josh to pewno jej synek?

- Tak - odrzekł, czując, że matka zaraz będzie starała się wyswatać go z Amy.

- Pójdę z tobą, Trish - rzekła pani DiCaprio. - Bardzo chętnie ją poznam. Może będzie chciała przyjść jutro z dziećmi na świąteczny obiad rodzinny?

Trish była bardzo rozbawiona sytuacją.

- I co ty na to, braciszku? - spytała z błyskiem w oku.

- Czy to, co ja myślę, ma w ogóle jakiegokolwiek znaczenie? Przecież żadna z was i tak nigdy nie liczy się z moim zdaniem - powiedział, ciężko wzdychając.

- Nieprawda! - zaprotestowała matka ze śmiechem. - A poza tym czasami potrafimy czytać między wierszami. Chodźmy, Trish, i odnajdźmy tę Amy. Nicky, jeśli zobaczysz ojca, powiedz mu, gdzie ma nas szukać.

Nick patrzył, jak znikają w tłumie. Z wysiłkiem przełknął ślinę. Gdyby nie to, że czekała na niego chmara zniecierpliwionych dzieci, zrobiłby wszystko, by powstrzymać mamę i siostrę. Sądził, że Amy byłaby bezpieczniejsza z całym sztabem żądnych sensacji dziennikarzy niż z Trish i Laurą, które najwyraźniej postawiły sobie za cel ułożenie mu życia osobistego... być może właśnie z Amy.

Po odebraniu pizzy i napojów, Amy zaczęła się rozglądać za wolnym miejscem. Ale wszystkie stoliki były zajęte. Z trudem przeciskała się

z dwójką dzieci przez zwarty tłum. Z niepokojem obserwowała, jak Josh stara się utrzymać równowagę, balansując z tacą w rękach.

- Tam! - usłyszała za sobą znajomy głos. Odwróciła się i dostrzegła uśmiechniętą Trish. - Moja mama zajęła ci stolik.

- Bardzo dziękuję - rzekła Amy z ulgą. - Czy Nickowi udało się wrócić do stanowiska świętego Mikołaja?

- Tak, ale prosił mnie, żebym ci przekazała, żebyś nie ruszała się stąd, dopóki po ciebie nie przyjdzie.

Amy spojrzała na Trish ze zdziwieniem.

- Obawiamy się, że wieść o zaginionym chłopcu szybko się rozniosła wśród obecnych tu dziennikarzy - wyjaśniła Trish. - A ponieważ Nick był osobiście zaangażowany w poszukiwania, sprawa może przerodzić się w tak zwaną sensację medialną. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by uchronić cię przed reporterami. Nickowi bardzo zależy, by cię to ominęło. - Trish spojrzała na Amy pytająco. - Zakładam, że ma rację, sądząc, iż wolałabyś nie występować w telewizji?

- Całkowitą - rzekła Amy, myśląc z przerażeniem o takiej perspektywie. Teraz, kiedy cała sprawa dobrze się zakończyła, chciała o niej jak najszybciej zapomnieć.

Niestety, Josh usłyszał fragment tej rozmowy.

- Mamo, pokazaliby nas w telewizji! - wykrzyknął podniecony. - Ale super! Moglibyśmy nagrać ten program i wysłać go tacie i dziadkom!

- Nie masz w tej sprawie nic do gadania

- rzekła stanowczo. - A poza tym, czy naprawdę chciałbyś, by tata dowiedział się, że mi uciekłeś? Nie zapominaj, że przeskrobałeś. Lepiej pomyśl o tym, kogo musisz przeprosić.

- Ale mógłbym przeprosić wszystkich w telewizji - zaproponował.

Amy zaprzeczyła ruchem głowy. Trish próbowała ukryć rozbawienie.

- Posiedzimy tu sobie spokojnie i zjemy pizzę

- rzekła Amy. - Nacieszymy się szczęśliwym zakończeniem tej sprawy. Poza tym muszę nakarmić Emmę.

- Moja mama z przyjemnością ci w tym pomoże - powiedziała Trish. - Ma wspaniałe podejście do dzieci. Siedzi przy tamtym stoliku.

Trish zaprowadziła Amy i Josha do stolika, przy którym samotnie siedziała kobieta, mająca na oko pięćdziesiąt parę lat. Wyglądała, jakby właśnie wyszła z kuchni, nie zdjęła bowiem fartucha, a na jej spodniach widniały ślady mąki. Miała na sobie marynarkę, sprawiającą wrażenie pożyczonej od męża. Włosy pani DiCaprio były niedbale spięte klamrą. Mimo niechlujnego wyglądu, matka Nicka wzbudziła zaufanie Amy.

- Ty pewnie jesteś Amy? - rzekła Laura Di-

Caprio na widok przybyłych. - Maylene Kinney doskonale mi cię opisała. - Zwróciła wzrok ku Joshowi. - A ty jesteś tym chłopcem, który uciekł ?

Josh przytaknął.

- Trochę narozrabiałem - przyznał, starając się nie stracić zawartości tacy na ziemię.

- Słyszałam właśnie - odpowiedziała Laura. - Ale się odnalazłeś. Jesteś cały i zdrowy, a to najważniejsze.

Pani DiCaprio wzięła tacę od Josha i postawiła ją na stole.

- To wygląda bardzo apetycznie. Chyba sama sobie kupię kawałek pizzy. Od rana stoję przy kuchni i nie miałam ani chwili, by coś przegryźć. Zaczynicie jeść beze mnie.

Amy patrzyła na oddalającą się panią DiCaprio. Matka Nicka sprawiła, że ogarnął ją spokój po tym stresującym dniu.

- Czy twoja mama zawsze jest taka sympatyczna?

Trish uśmiechnęła się pod nosem.

- Zawsze. Czy mogę cię zostawić pod jej opieką? Muszę dowiedzieć się, co słyhać u świętego Mikołaja. Był trochę nie w sosie, gdy zostawiłam go kilka minut temu.

- Jasne - uśmiechnęła się Amy. I znów pomyślała, że źródłem złego nastroju Nicka musi być coś, co przydarzyło mu się w pracy. Zgadzałoby

się to z tym, co mówiła Trish o możliwości zainteresowania się mediów jego udziałem w poszukiwaniach Josha. - Trish, czy mogłabym cię o coś spytać?

Trish spojrzała na Amy z lekkim niepokojem.

- O co?

- O twojego brata - Amy nachyliła się do Trish, by Josh nie usłyszał jej pytania. Na pewno zniszczyłoby to jego wiarę w świętego Mikołaja.

- Czy istnieje jakiś konkretny powód, dla którego dziennikarze chcieliby zrobić reportaż na temat zniknięcia Josha, oprócz tego, że jest Wigilia i że święty Mikołaj brał udział w poszukiwaniach?

Trish przez chwilę milczała.

- Wiesz coś Lepiej sama zapytaj o to Nicka

- odpowiedziała w końcu. - Muszę lecieć. Myślę, że Nick niedługo tu przyjdzie. Albo ja po was wpadnę. A póki co, mama się tobą zajmie.

Trish ruszyła przed siebie, pozostawiając pytanie Amy bez odpowiedzi. Amy była jednak przekonana, że ma rację. Będzie musiała to zgłębić, zanim sprawy między nią i Nickiem nabiorą rozpędu. Nick był wspaniałym facetem, lecz bez wątpienia coś ukrywał. Ale Amy miała już dość mężczyzn mających przed nią tajemnice.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jedząc kolejny kawałek pizzy, Amy analizowała ten pełen emocji dzień. Jednym uchem słuchała opowieści Josha o jego samotnej wycieczce po centrum handlowym.

Przysłuchująca się temu pani DiCaprio była rozbawiona relacją, co jedynie zachęcało Josha do kontynuowania, uwielbiał bowiem znajdować się w centrum zainteresowania. Amy martwiła się jedynie tym, że Josh wciąż uważał, iż spotkała go wspaniała przygoda.

- Mam nadzieję, że pamiętasz, co obiecałeś świętemu Mikołajowi - rzekła w końcu.

- Że już nigdy ci nie ucieknę - odpowiedział z przejęciem. - Ale, mamo, ja się tak naprawdę nie zgubiłem. Przecież byłem obok.

- Ale nie wiedziałam, że jesteś obok - wyjaśniła. - I o to właśnie chodzi.

- No dobrze. Rozumiem - rzekł, wkładając do ust ostatni kęs pizzy. - Możemy już iść do Mikołaja?

Amy przypomniała sobie ostrzeżenia Trish na

temat reporterów i spojrzała błagalnie na panią DiCaprio, licząc na jej pomoc. I nie zawiodła się, bo Laura natychmiast przysłała jej na ratunek.

- Wiesz co, Josh? Dajmy twojej mamie jeszcze chwilkę odpocząć - powiedziała. - Była trochę chora rano, a poza tym bardzo zdenerwowała się twoim zniknięciem.

Josh spojrzał na Amy i przewrócił oczami, mało nie wyprowadzając jej tym z równowagi.

- Mój drogi, nie patrz tak na mnie, bo natychmiast pójdziemy do domu i w ogóle nie porozmawiasz ze świętym Mikołajem - zagroziła. - Poczekaj grzecznie, aż nakarmię Emmę. Na szczęście wzięłam ze sobą butelkę z mlekiem i słoiczek z jedzeniem dla niemowląt. Chyba przeczuwałam, że zabawimy tu trochę dłużej.

- A nie mogę pójść do świętego Mikołaja, kiedy ty ją będziesz karmić? - zapytał. - Pani DiCaprio mnie zaprowadzi.

Widząc zirytowaną minę mamy, głęboko westchnął.

- No dobrze, poczekam.

- To bardzo słuszna decyzja, synku - pochwaliła go Amy.

- A o co chciałbyś poprosić świętego Mikołaja? - spytała pani DiCaprio.

- Nie mogę pani powiedzieć. To tak jak życzenie urodzinowe. Nie można nikomu powiedzieć, co się chce dostać, bo życzenie się nie spełni.

123

Pani DiCaprio uśmiechnęła się promiennie do Josha.

- Ale tak się składa, że dobrze znam świętego Mikołaja - wyjaśniła. - Mogłabym mu szepnąć słówko w twojej sprawie.

Josh przez chwilę rozważał tę propozycję, ale w końcu pokręcił głową.

- Nie, dziękuję. Święty Mikołaj jest moim kumplem, więc sam mu powiem.

Pani DiCaprio zaśmiała się.

- Wiesz co, Joshś Bardzo rezolutny z ciebie chłopiec. Przypominasz mi kogoś.

- Pani syna? - zgadł Josh.

- Tak - rzekła, wskazując kilka siwych włosów na głowie. - To przez niego osiwiałam. Kiedy tylko spoglądałam w drugą stronę, on natychmiast coś zbroił. Mam czworo dzieci, teraz zresztą wszystkie są już dorosłe, ale tylko jedno z nich o mało nie doprowadziło mnie do postradania zmysłów - wyznała, mrugając porozumiewawczo do Amy. - Zresztą ciągle się o niego martwię, głównie przez tę jego pracę.

- A jaka to praca? - spytał Josh z zainteresowaniem. - Może też mógłbym mieć taką pracę, jak dorosnę?

- Jest policjantem - wyjaśniła pani DiCaprio. - i choć doskonale się sprawdza w tym zawodzie, bardzo się o niego niepokoję.

- Święty Mikołaj mówił, że mamy zawsze się

bardzo niepokoją o swoje dzieci, nawet jak dzieci już są dorosłe - powiedział Josh.

- To prawda - przyznała pani DiCaprio.

- A o Trish też się pani martwi? - spytał.

- Czasami - rzekła. - Za dużo pracuje. Powinna więcej czasu poświęcać sobie, ale przynajmniej nie wykonuje niebezpiecznego zawodu, jak jej brat.

Amy wyobraziła sobie Nicka jako małego, nieznośnego chłopca podobnego do Josha. Postawiło go to w zupełnie innym świetle. Chciała spytać panią DiCaprio, co ostatnio tak bardzo niepokoi Nicka, ale w końcu uznała, że Trish miała rację mówiąc, iż na to pytanie Nick powinien odpowiedzieć sam.

- Amy?

Wyrwana ze swych myśli Amy spojrzała pytająco na przyglądającą się jej panią DiCaprio.

- Przepraszam. Czy pani coś mówiła?

- Tak. Pytałam, czy macie plany na jutrzejszy dzień.

- Jutro jest Boże Narodzenie! - wykrzyknął Josh. - Będziemy otwierać prezenty!

Pani DiCaprio uśmiechnęła się.

- Ale chciałam się dowiedzieć, co robicie potem - wyjaśniła i spojrzała na Amy. - Może chcielibyście wpaść do nas i zjeść z nami obiad? Będzie sporo zamieszania, ale na pewno spędzimy miły wieczór. Synowie Roba są mniej więcej w wieku Josha. Myślę, że chętnie by się poznali.

Rob ma też córeczkę, Annie, która jest chyba tylko o kilka miesięcy starsza od Emmy. Amy doceniła miłą propozycję. Uznała jednak, że obecność trojga obcych ludzi być może sprawiłaby kłopot całej rodzinie DiCaprio.

- Josh na pewno chętnie poznałby chłopców, ale nie chciałabym dezorganizować państwu świąt.

- Cóż za pomysł! - wykrzyknęła pani DiCaprio. - Nie będziecie niczego dezorganizować. Zresztą i tak zawsze przygotowuję za dużo jedzenia. Piekę już od miesiąca - rzekła, wskazując ślady mąki na spodniach. - I jak widać, wcale nie skończyłam. Chcę upiec jeszcze trochę ciasteczek przed dzisiejszą pasterką.

- No to nie będziemy pani zatrzymywać - rzekła Amy uprzejmie. - Poczekamy, aż Trish po nas przyjdzie.

- Kilka chwil już niewiele zmieni. Zresztą ciasto się teraz chłodzi w lodówce. Muszę tylko uformować z niego ciasteczka i wstawić je do pieca.

- Myśmy też chodzili na pasterkę - powiedział Josh.

- A dziś nie wybieracie się na pasterkę? - spytała pani DiCaprio.

- Nie miałam czasu jeszcze sprawdzić, gdzie w Charlotte jest kościół - wyjaśniła Amy. - Nick zaproponował, żebyśmy dziś poszli z państwem.

- Naprawdę? - rzekła z błyskiem w oku. - Cóż za wspaniały pomysł! Dzięki temu poznacie

wszystkich już dziś i nie będziecie mieli wymówki, by nie przyjść jutro!

- Możemy pójść, mamó? Proszę!-błagał Josh. Amy zorientowała się, że pani DiCaprio snuje wobec niej i Nicka konkretne plany. Ponieważ jednak Josh wydawał się zachwycony tym pomysłem, nie mogła mu odmówić.

- Jeśli naprawdę nie sprawimy państwu kłopotu, to przyjdziemy z wielką przyjemnością. Perspektywa spędzenia świąt we trójkę wydawała mi się dość przygnębiająca.

- To całkiem zrozumiałe. Święta są przecież po to, by spędzać je z rodziną - rzekła pani DiCaprio z uśmiechem. Po chwili uniosła wzrok.

- O proszę, oto Trish. No dobrze, to zostawiam was w rękach córki - powiedziała, wstając. - A zatem do zobaczenia wieczorem. Mam nadzieję, że znajdę męża krążącego po parkingu. Nie wiem, czy po spędzeniu godziny w samochodzie jeszcze kiedykolwiek zgodzi się mnie tu przywieźć.

Ku zdziwieniu Amy, pani DiCaprio nachyliła się i uściskała ją serdecznie.

- Bardzo mi było miło cię poznać - rzekła.

- Chyba nie można było lepiej wyobrazić sobie zakończenia tej dzisiejszej przygody.

Pani DiCaprio zebrała papierowe talerzyki ze stołu i wyrzuciła je do pobliskiego kosza, po czym pomachała na pożegnanie i pośpiesznym krokiem wyszła z restauracji.

Trish spojrzała na Amy porozumiewawczo.

- Czyli co, widzimy się jutro na obiedzie?-Amy przytaknęła.

- Nie było mowy, by nie przyjąć tego zaproszenia.

- No tak - zaśmiała się Trish. - Tym bardziej że mamie chodzi przecież o coś więcej niż tylko o ten obiad.

- O co? - spytała zaintrygowana Amy.

- O to, by na święta ofiarować Nickowi to, czego naprawdę potrzebuje.

Amy zarumieniła się, zdając sobie sprawę, że chodzi o nią. Zaprażyła jak najszybciej zmienić temat.

- A co z tą dziennikarką?

- Ona od rana jest w King's Mall i była bardzo wyrozumiała, więc raczej nie będzie was nagabywała - odpowiedziała Trish.

Amy przyjęła tę wiadomość z ulgą.

- Czyli Josh może spokojnie iść odwiedzić świętego Mikołaja?

Trish pokiwała twierdząco głową.

- Właśnie po to do was przyszedłem. Centrum handlowe zamykamy za pół godziny. Ciągłe jest kolejka do świętego Mikołaja, ale znacznie krótsza niż wcześniej. Bez kłopotu wtopicie się w tłum. Nawet jeśli są tu inni reporterzy, nie skojarzą was z tą historią.

- A co z Nickiem?- Udzielał wywiadu?

- Nie. - Trish spoważniała. - Powiedziałam dziennikarce, że odmówił. Reporterka nie naciskała, bo widziała, że Nick ma ręce pełne roboty z całą kolejką czekających na niego dzieci. Akurat rozmawiał z jakimś nieznośnym chłopcem - Trish uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- I jak sobie poradziła

- Doskonale - rzekła Trish dumnie. - Bardzo zaangażował się w tę rolę. Ze stoickim spokojem pytał malca, co chce dostać, a w odpowiednich chwilach wykrzykiwał „Ho-ho-ho!”.

- Mamo! - przerwał wyraźnie znudzony czekaniem Josh. - Czy możemy wreszcie iść?

- No dobrze, chodźmy - zgodziła się, niechętnie kończąc rozmowę z Trish.

Wkładając zmęczoną i senną Emmę do wózka, Amy poczuła niespodziewaną falę podniecenia. Od dzieciństwa nie cieszyła się tak na spotkanie ze świętym Mikołajem. Kolejka rzeczywiście była już krótka. Amy wraz z dziećmi ustawiła się na jej końcu, a za nimi nie stanął już nikt. Udręczeni klienci, jeden za drugim, opuszczali centrum handlowe. Kiedy wreszcie nadeszła kolej na Josha, nadal nie było za nimi nikogo. Chłopiec usiadł na kolanach świętego Mikołaja i Amy posadziła obok niego Emmę, a fotograf uwiecznił tę scenę.

- To w prezencie - rzekł po chwili, wręczając Amy zdjęcie, po czym pośpiesznie spakował

sprzęt i dołączył do tłumów opuszczających centrum.

Emma z zadowoleniem przytuliła się do świętego Mikołaja i zamknęła oczy. Widok córki w objęciach Nicka sprawił, że serce Amy ścisnęło się w trudny do opisanego sposób. Wiedziała, że będzie hołubić ten obrazek w pamięci jeszcze przez wiele lat.

- No to coś - rzekł święty Mikołaj swoim tubalnym głosem. - Co chciałbyś, chłopcze, dostać na Gwiazdkę?

Amy zamyśliła się, więc nie usłyszała, jak Josh wyrecytował znaną jej na pamięć listę prezentów dla siebie i siostry. Na szczęście rzeczy, które Josh pragnął dostać, nie były kosztowne i Amy zdążyła je wcześniej kupić. Jedyne życzenie, którego nie umiała spełnić, to spotkanie z tatą nazajutrz.

Kiedy Josh wreszcie skończył rozmowę, Nick wstał z sań, wciąż trzymając Emmę na rękach, i podszedł do Amy.

- To idziemy dziś na pasterkę? - spytał. - Wytłumaczę ci, jak dojechać do kościoła. Na miejscu będzie reszta mojej rodziny. - Spojrzał na Amy. - Chyba że po poznaniu mojej mamy nie masz już ochoty mieć z nami nic wspólnego...

- Twoja mama jest wspaniała! - wykrzyknęła Amy z przekonaniem. - Zaprosiła nas na jutrzejszy obiad świąteczny.

Nick nie wydawał się zdziwiony.

130

- Przypuszczałem, że tak właśnie postąpi.

- A zatem nie była to twoja inicjatywa?

- Nie. To raczej fakt, że jestem kawalerem, podsunął mamie ten pomysł - rzekł oschle. -
Czuję, że znowu coś knuje.

- Tyle to i ja zrozumiałam - rzekła Amy.

- I coś - spytała.

- Co o tym myślisz?

- Powiedziałam, że przyjdziemy - przyznała, patrząc Nickowi w oczy. - A ty co o tym
myślisz? Na jego twarzy pojawił się szczery uśmiech.

- Ten pomysł podoba mi się znacznie bardziej teraz, kiedy już wiem, że przyjąłeś
zaproszenie

- wyznał. - Poczekaj chwilę, to wreszcie zdejmę ten strój i odprowadzę cię do samochodu.

Amy spojrzała wymownie w stronę Josha.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł - powiedziała rozbawiona.

- Ależ oczywiście! Masz rację! - zgodził się.

- Co też mi przyszło do głowy!

Nick zaczął się rozglądać za Trish.

- To co, siostrzyczko, mogę pójść do domu?

- spytał, kiedy odnalazł ją wzrokiem, stojącą dosłownie metr od niego.

Śmiejąc się, Trish pokiwała głową.

- Jasne! Idź!

Zaintrygowany Josh spoglądał to na Trish, to na Nicka.

131

- To jest twoja siostra? - spytał w końcu. Nick skrzywił się, czując, że cała mistyfikacja poszła na marne.

- Tak - rzekł z ociąganiem.

- To w takim razie tamta pani, pani DiCaprio, to twoja mama? - drążył.

Nick skinął głową.

Amy wstrzymała oddech, widząc, jak Josh przyjmuje tę informację do wiadomości.

- Ale super! Poznałem mamę świętego Mikołaja! Muszę o tym powiedzieć kolegom z Michigan! Na pewno mi nie uwierzą! Mamo, mogę do nich podzwonić wieczoremś Ale będą mi zazdrościć!

- Oczywiście, kochanie, będziesz mógł zacząć dzwonić, jak tylko wrócimy do domu - zgodziła się Amy, zadowolona, że Josh nie zwątpił w istnienie świętego Mikołaja. Miała wrażenie, że teraz wierzył w niego jeszcze bardziej niż wcześniej.

- To chodźmy! - pospieszył mamę. - Mogę pchać wózek Emmy.

- Tylko nie odchodź zbyt daleko, dobrze?

- Dobra - zgodził się, pchając wózek. Co kilka chwil odwracał się, sprawdzając, czy Amy i święty Mikołaj są wystarczająco blisko za nim.

Amy spojrzała na Nicka.

- Chyba jednak wyniósł coś z twojego wykładu - powiedziała. - Mam wrażenie, że to, co usłyszał od ciebie, odniosło większy skutek niż wszystkie moje prośby.

- Jestem pewien, że i tak niedługo o tym zapomni - rzekł Nick. - Będę musiał co jakiś czas się z wami widywać, by mu przypominać, jak ma się zachowywać.

- Myślę, że sama będę mogła to robić - powiedziała Amy, choć perspektywa częstych spotkań z Nickiem wydała się jej bardzo atrakcyjna.

- Może i tak, ale mam nad tobą pewną przewagę - zaśmiał się. - Przecież jestem świętym Mikołajem.

- Racja! - przyznała rozbawiona. - Tylko że będziesz wyglądał bardzo dziwnie, jeśli założysz ten strój w lipcu.

- Myślisz, że będziemy się widywać do lipca?

- Nie wiem. Zobaczymy.

- Jest coś, o co cię chciałem wcześniej spytać - rzekł Nick po chwili.

- Co takiego?

- Co chciałabyś dostać na święta?

Amy spojrzała mu w oczy i poczuła przeszywający ją dreszcz emocji.

- Mam wszystko, czego potrzebuję - odpowiedziała. - Moje dzieci są bezpieczne i mam je przy sobie.

- I to ci wystarczy?

- Chwilowo tak - rzekła, nie potrafiąc oderwać wzroku od jego roznamiętnionych oczu.

Nick schylił się ku niej i złożył na jej ustach długi pocałunek.

- A może to podsunie ci kilka innych pomysłów? - spytał, kiedy w końcu przestał ją całować.

Zdecydowanie tak, pomyślała Amy. Zastanawiała się tylko, czy myślenie o Nicku w Boże Narodzenie nie sprawi, że spędzi święta w miłosnej euforii. Była ciekawa, co Nick sądzi na ten temat. Kiedy spojrzała na niego, nie miała już wątpliwości, że mają w tej kwestii dokładnie takie samo zdanie

Zanim jednak spokojnie zastanowiła się nad swymi uczuciami, jakaś kobieta popukała Nicka w ramię. Odwróciwszy się; zastygł przerażony. Amy już raz widziała na jego twarzy wyraz takiej paniki - kilka godzin wcześniej, kiedy, starając się za wszelką cenę kogoś uniknąć, Nick niemal siłą zaprowadził ją do sklepu z obuwem.

- Nick? - upewniła się kobieta. - Czy mogę zamienić z panem kilka słów?

- Oczywiście - odpowiedział, choć ton jego głosu sugerował, że perspektywa rozmowy wcale go nie cieszy.

Kobieta spojrzała na Amy.

- Bardzo przepraszam, że państwu przeszkadzam, ale to pierwsza okazja porozmawiania z Nickiem od czasu... - Nie była w stanie wydusić z siebie ani jednego słowa więcej. W końcu potrząsnęła głową i rzekła: - Przepraszam, wciąż nie mogę o tym mówić.

- Ale nie musi pani. Naprawdę, nie musi pani

już więcej nic mówić - rzekł Nick głosem pełnym desperacji, jak gdyby chciał, by kobieta zamilkła. Nieznajoma głęboko westchnęła.

- Potrzebuję o tym porozmawiać. To dla mnie niezwykle ważne. Dzwoniłam na komendę, ale powiedziano mi, że jest pan na urlopie.

Nick potwierdził skinieniem głowy.

- Czy wziął pan urlop przez to, co się stało?

- Tak - przyznał zdenerwowany.

- Tak mi przykro. To wszystko moja wina

- rzekła kobieta.

Nick spojrział na nią zaskoczony.

- Pani winaś Jak może pani mówić coś takiego?

- Tak, moja. Gdybym od razu opowiedziała panu o moim byłym mężu, gdybym pana w jakiś sposób ostrzegła... - wydusiła z siebie. - To może wszystko potoczyłoby się inaczej.

Nick położył dłonie na ramionach kobiety i spojrział jej w oczy.

- Ależ nie, Mitzi. W tym, co się stało, zupełnie nie było pani winy. Jeśli ktokolwiek tu zawinił, to raczej ja. Stałem tak bezradnie i w żaden sposób nie zapobiegłem temu, co się wydarzyło...

- Otóż nie - zaprzeczyła ostro. - I właśnie dlatego chciałam z panem porozmawiać. Wiem, że się pan obwinia.

- A kogo miałbym winić za te wydarzenia?

- spytał, nie potrafiąc już dłużej ukryć swoich emocji.

Kobieta głęboko westchnęła.

- Być może nie było w tym niczyjej winy, nawet mojego byłego męża. Dowiódł przecież, że jest chory psychicznie. No bo jak inaczej wytłumaczyć to, że zabił naszego synka, by odzyskać moją miłość. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Albo dlatego, że chciał się zemścić na mnie za rozwód? On potrzebuje pomocy lekarzy specjalistów...

- Mam nadzieję, że mu ją zapewnię w więzieniu - rzekł Nick z przekonaniem. - Najważniejsze jest to, że już nigdy nie będzie miał okazji skrzywdzić nikogo innego.

Amy słuchała tej rozmowy z rosnącym przerażeniem. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego Nick z taką desperacją szukał Josha, i czemu chciał być, przy niej do chwili odnalezienia synka. Najwyraźniej chciał odpokutować za to, że kiedyś nie potrafił pomóc innemu chłopczykowi - synkowi tej kobiety. Nic dziwnego, że tak bardzo przejął się zniknięciem Josha. Amy zrozumiała wreszcie, czemu tak dopytywał się o Neda. Poszukiwania Josha musiały przypomnieć mu wiele koszmarnych chwil.

Kobieta zwróciła się do Amy.

- Przepraszam, że państwu przerwałam, ale jak tylko dowiedziałam się, że Nick jest w King's Mall, postanowiłam z nim porozmawiać. Musiałam mu powiedzieć, że nie winię go za to, co się stało. Chcę, by o tym pamiętał.

136

Nick wyglądał, jakby ktoś zdjął z jego pleców wielki ciężar.

- Ma pani niesłychanie wielkie serce - rzekł w końcu.

- Wiem. To zasługa pewnego wspaniałego chłopca, który pojawił się w moim życiu na kilka krótkich lat. Jestem za to niezwykle wdzięczna losowi. Choć było nam dane wspólnie spędzić zaledwie kilka lat, nauczyłam się od niego bardzo wiele. I to właśnie chcę pamiętać. Nie to, jak tragicznie zmarł, ale to, jak żył. - Uściskała Nicka z całej siły. - Wesołych Świąt!

- Wesołych Świąt - odpowiedział zdławionym głosem.

Kiedy kobieta odeszła, Amy wytarła łzy płynące po jej policzkach.

- Tak mi przykro, że musiałeś dziś znów przeżyć ten koszmar.

Nick spojrzał na nią.

- A mnie wcale nie jest przykro - wydusił z siebie po chwili. - Ponieważ dzięki temu ty i twoje dzieci pojawiliście się w moim życiu. Jak mógłbym tego żałować?

Zwrócił się do Josha, który powoli pchał wózek z Emmą, co chwila przystając.

- Chodźcie, dzieciaki! Jest Wigilia! Święty Mikołaj ma przed sobą bardzo pracowitą noc. Mam wielkie torby prezentów do rozwieszenia.

Nick spojrzał na Amy i dodał cicho:

137

- A jak mi się poszczęści, to może nawet dostanę pocałunek pod jemiolą...

Amy zaśmiała się szczerze.

- Możesz spróbować szczęścia. Przez cały dzień zastanawiałam się, czy ta twoja broda łaskocze. Trudno mi to było stwierdzić na odległość.

Uśmiechając się, Nick krzyknął do Josha:

- Odwróć się na chwilę, dobrze?

- Dlaczego? - spytał zaciekawiony chłopiec.

- O nic nie pytaj, tylko zrób, o co cię proszą - rozkazała Amy, zaśmiewając się. - Mama za chwilę pocałuje świętego Mikołaja.

Słyszac to, Josh rozpromienił się.

- Ale fajnie! - wykrzyknął.

Och tak, nawet bardzo fajnie, pomyślała Amy, gdy Nick złożył na jej ustach długi, namiętny pocałunek.

Kiedy wyszli na zewnątrz, poczuli mroźne powietrze i zobaczyli tak nietypowy w Karolinie Północnej śnieg. Amy jednak nie była w stanie ochłonąć. Wiedziała, że nadchodzące święta będą najgorętszymi w jej życiu.

EPILOG

Boże Narodzenie, rok później

- No to co, chłopcze? - spytał Nick swym tubalnym głosem świętego Mikołaja. - Co chciałbyś w tym roku dostać pod choinkę?

Amy zastanawiała się, w jaki sposób Trish udało się ponownie nakłonić brata do udawania świętego Mikołaja. W zeszłym roku twierdził, że robi to wbrew sobie. Może tym razem decyzję pomogło mu podjąć to, że wiedział, iż Amy znowu przyprowadzi Josha i Emmę do King's Mall.

Josh przez długą chwilę przyglądał się świętemu Mikołajowi w milczeniu, aż wreszcie podjął decyzję. Rzucił okiem na Amy, po czym zaczął szeptać coś Mikołajowi do ucha.

Wysłuchawszy go, Nick uśmiechnął się zadowolony i spojrzał na Amy.

- No nie wiem, synu. Może powinieneś naj-

pierw zapytać o to mamę. To bardzo ważna decyzja.

Amy westchnęła głęboko. Czyżby Josh prosił o szczeniaczka? Przecież tyle razy tłumaczyła mu, że nie mogą mieć psa w mieszkaniu.

- Kochanie, przecież już ci mówiłam, że o psie zaczniemy myśleć po przeprowadzce do domu - rzekła. Jej odpowiedź rozbawiła Nicka. Spojrzała na niego zdziwiona. - A co, nie prosił o szczeniaczka?

- Nie - rzekł, gładząc Emmę po główce.

- A o co?

- O nowego tatę - powiedział Nick. - A na dodatek chce, by jego nowym tatą był święty Mikołaj.

Amy czuła, że się rumieni.

- Ależ, co za pomysł... Bardzo przepraszam za niego.

- Nie ma za co. Uważam, że trzeba to życzenie rozważyć.

Amy spojrzała na Nicka, nie wierząc własnym uszom.

- Słuchami

- No, może nie dziś, ale myślę, że powinniśmy wrócić do tego tematu w najbliższej przyszłości.

- Czyli wtedy, jak już na spokojnie to przemyślisz? - spytała oschle.

Nick zaśmiał się. Nie był to jednak sztuczny śmiech świętego Mikołaja, ale szczery śmiech

Nicka, który Amy tak dobrze poznała w ciągu minionego roku.

- Myślę o tym od dłuższego czasu - wyjaśnił.

- A ty? Nie rozważałaś takiej możliwości? Tym razem to ona się zaśmiała.

- Jak miałam nie rozważać, skoro twoi rodzice i Trish sugerują to przy każdej okazji?

- No to co, będę miał nowego tatę czy nie?

- dopytywał się Josh niecierpliwie.

- Wydaje mi się, że powinniśmy dać twojej mamie chwilę. Niech się spokojnie zastanowi

- rzekł Nick. - Może nawet zażąda oświadczyn z prawdziwego zdarzenia?

- Czyli jakich? - spytał zdezorientowany chłopiec.

- No wiesz, kolacji ze świecami i tak dalej - wyjaśnił Nick. - Jeszcze ci opowiem, jak powinny wyglądać oświadczyzny. Przyda ci się to w przyszłości. A na razie odprowadzę was do samochodu, dobrze? Słyszałem pewną plotkę i chciałbym się przekonać, czy jest prawdziwa.

- Jaką plotkę? - spytała Amy, zdezorientowana jego tajemniczym wyjaśnieniem.

- Zaraz zobaczysz.

Udali się do tego samego wyjścia, którym Amy wraz z dziećmi weszła do King's Mall pamiętnego dnia dokładnie rok wcześniej.

Kiedy Nick pchnął drzwi wejściowe, Amy zrozumiała, o czym mówił. Tak jak w zeszłym

roku, i w tym sypał gęsty śnieg. Gruba warstwa białego puchu zdążyła już pokryć ziemię i sprawiła, że szybko pustoszejący o tej porze parking zamienił się w magiczną śnieżną krainę.

- Śnieg! - wykrzyknął podniecony Josh, ruszając naprzód. Odchylił głowę do tyłu i otworzył usta, starając się złapać na język grube płatki. Spontanicznie podbiegł do Nicka i z całej siły go objął.

- Dziękuję, dziękuję, dziękuję! - wykrzyknął. Nick mrugnął do Amy.

- To akurat nie jest zasługa świętego Mikołaja - wyjaśnił skromnie.

Może i nie, pomyślała Amy. Ale to w dużym stopniu tobie Josh od wielu miesięcy zawdzięcza uśmiech.

Nick też sprawiał, że ona od wielu miesięcy była bardzo szczęśliwa.

Święty Mikołaj, a raczej Nick, dał rodzinie Riley to, czego potrzebowała. A wszystko wskazywało na to, że zamierzał ofiarować znacznie więcej.

Gardner Darlene

Zdążyć przed wigilią

Dzień cudów i magii

Joy O'Connell, kierowniczka ekskluzywnego magazynu, przekonała się o tym, że w Wigilię nawet w sklepie może zdarzyć się coś cudownego i niezwykłego. Właśnie tego dnia jej klient, przystojny rozwodnik, doktor Ed Hall, wraz z trzema swoimi synami przestąpił próg jej sklepu i od tej chwili życie samotnej Joy zmieniło się na zawsze...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Może rzeczywiście matka ma rację, że cierpię na „zakupofobię”, pomyślała Merry Deluca. Przeżywała męki, ilekroć musiała, na polecenie osobistej stylistki, raz na kwartał odwiedzić nowojorskie salony mody, a przekroczenie progu centrum handlowego było dla niej istnym koszmarem. Ostatnio była w czymś takim ponad rok temu.

Aż do dzisiaj. A dziś jest ten najbardziej zwariowany dzień przed Bożym Narodzeniem, kiedy szaleństwo robienia zakupów chyba sięga szczytu.

Z ławeczki na uboczu Merry obserwowała rosnący tłum kupujących i żałowała, że nie może im przemówić do rozumu.

Czy nie byłoby lepiej, gdyby jeden z najbardziej odświętnych dni w roku spędzili na łonie rodziny, zamiast pchać się tutaj?

Sama nigdy nie wylądowałaby w tym potężnym gmaszysku o nazwie King's Mall na

peryferiach Charlotte, gdyby nie szefowa dziennika kanału WZLM-13, która wysłała ją tutaj w celu zrobienia reportażu.

Merry miała nadawać ze stanowiska w galerii handlowej. Program szedł na żywo w południe i o osiemnastej, zaś w wersji nagranej o dwudziestej trzeciej.

Spojrzała na zegarek. Piętnaście po dziewiątej. Minęło niewiele ponad godzinę od otwarcia centrum handlowego i cały kwadrans od czasu, kiedy miała się spotkać ze swoim kamerzystą.

Wóz transmisyjny miał się pojawić dopiero za parę godzin, ale ona przybyła wcześniej, żeby się przygotować. Zamierzała wpleść kilka nagranych wywiadów do transmisji na żywo.

Tylko gdzie jest Danny Thompson?

Na pewno tak samo jak ona nie znosi sterczeń w centrum handlowym, ale przecież reporter bez kamerzysty to jak grudzień bez Bożego Narodzenia.

Skrzyżowała ramiona na piersi i postukując palcami w ramię, obmyślała koncepcję audycji. Betsy Anderson, redaktorka programu, kazała jej potraktować temat lekko i optymistycznie, uchwycić ten „radosny, pełen oczekiwania nastrój, jaki zdarza się tylko raz w roku.

Tak jakby tysiąc innych stacji telewizyjnych nie robiło tego samego aż do znudzenia. Powiodła wzrokiem po bogactwie przedmiotów, które wysypały się na atrakcyjnie udekoro-

wane wystawy sklepów rywalizujących o kieszeń każdego potencjalnego klienta. I chyba im się to udawało. Weźmy na przykład tę szczupłą brunetkę w kostiumie z jagnięcej skóry, uginającą się pod ciężarem zakupów.

Napisy na torbach eleganckiej kobiety - Har-ringtonVine's, Crystal's, Saks - świadczyły, że w rekordowym czasie siedemdziesięciu pięciu minut od otwarcia centrum zdążyła oblecieć wszystkie jego główne stoiska.

Oto żywa reklama rekordu w zakupach przedświątecznych, pomyślała Merry.

Dalekie to było od wizji programu sugerowanego przez Betsy. Ale dlaczego by nie tchnąć w reportaż świeżego ducha, koncentrując się na niepohamowanej potrzebie robienia zakupów, jaka opanowała większość obecnych tu ludzik Włącznie z dźwigającą firmowe torby kobietą, która znikwała właśnie w tłumie.

Zaprawiona w joggingu Merry poderwała się z miejsca i ruszyła w pogoń, nie dając szans obładowanej kobiecie.

- Przepraszam, czy mogłaby mi pani poświęcić chwilę?- Jestem...

- ...Merry Deluca z kanału WZLM - dokończyła kobieta, której promienny uśmiech mógł konkurować z lampkami na choince. - Zawsze panią oglądam. Podobał mi się ten reportaż z nowego salonu mody z żywymi modelkami.

Połączenie pokazu z zakupami to, moim zdaniem, świetny pomysł.

- Dziękuję - powiedziała Merry, węsząc niezły materiał na newsa. Kobieta, urodziwa brunetka w średnim wieku, miała na palcu pierścionek wielkości skały Gibraltaru i z daleka pachniała pieniędzmi. - Przygotowuję relację z ostatniego dnia zakupów przed Bożym Narodzeniem i chętnie przeprowadziłabym z panią wywiad.

- Ależ bardzo chętnie. Co by pani chciała wiedzieć? - Pierś kobiety pod cudownie miękkim żakietem z jagnięcej skóry w modnym rdzawym kolorze falowała lekko z wysiłku. Nic dziwnego. Zeby w tak krótkim czasie kupić tyle rzeczy, trzeba się nieźle uwijać.

Prawdę mówiąc, konsumpcyjna postawa nieznajomej była Merry obca; zanadto jej przypominała mentalność Patricka, a tym facetem Merry nie zamierzała teraz zaprzętać sobie głowy.

Spychając Patricka na samo dno świadomości, rozejrzała się za swoim kamerzystą.

Gdzie on się podziewa?

- Trudno nie zauważyć, jak dużo już pani kupiła - ciągnęła, żeby nie tracić czasu. - Ale dlaczego zwlekała pani z zakupami aż do WigiliK

- Zwlekałam?- Nic podobnego! Gromadzę prezenty od początku listopada, na dobrą sprawę zaczynam robić zakupy zaraz po Dniu Dziękczynienia, i naprawdę nieźle się przykładam!

- Nieznajoma zaśmiała się dźwięcznie. Jej radość omal nie udzieliła się Merry i na moment kazała jej zastanowić się nad własnymi oporami przed szalem zakupów.

Czy ta kobieta naprawdę wierzy, że przyjaciele i rodzina będą zachwyceni wybranymi pospiesznie prezentami?- Czy to koniec na dzisiaj? - zapytała Merry.

- Chyba nie. Przekazuję sporo rzeczy do schroniska dla kobiet będących ofiarami przemocy w rodzinie, więc może jeszcze dorzucę to i owo.

Merry uniosła brwi. Poczowała skurcz żołądka.

- Schronisko dla kobiet?-Kobieta zrobiła skruszoną minę.

- Ja wiem, nikt nie przypuszcza, że kobiety w schronisku potrzebują tylu rzeczy, ale pomyślałam sobie, że będzie im miło dostać w prezencie jakieś nieużywane ubrania.

Merry zagryzła wargi. Jakże niewłaściwie oceniła sytuację!

- To wcale nie jest głupi pomysł. Zachowuje się pani bardzo szlachetnie. Naprawdę to bardzo miło z pani strony.

- Och, wielkie dzięki - z ulgą powiedziała nieznajoma.

Próbując ukryć rozczarowanie - co za pech, że trafiła akurat na dobrą samarytankę - Merry zadała kobiecie jeszcze kilka pytań, a w końcu dowiedziała się, jak ma na imię.

- Wesołych i szczęśliwych świąt! - zawołała kobieta przez ramię i odeszła, balansując wyładowanymi torbami. Wyglądała jak żeńskie wydanie świętego Mikołaja.

- Nawzajem - odpowiedziała Merry, z trudem utrzymując uśmiech na twarzy, dopóki była w zasięgu wzroku swojej rozmówczyni. Potem znów skrzyżowała ramiona na piersi i spróbowała spojrzeć na to wszystko optymistycznie. Jedna klientka o dobrym sercu o niczym nie świadczy. Jeszcze jest za wcześnie. Trzeba poczekać, aż zrobi się naprawdę gorąco. Kiedy ludzie będą usiłovali za wszelką cenę skompletować świąteczne listy zakupów, wtedy zdobędzie doskonały materiał do reportażu.

Tylko gdzie jest ten operator?- Miłego poranka, kotku - usłyszała za sobą. Zastygła na dźwięk miłego dla ucha irlandzkiego akcentu. W samym słowach nie byłoby nic szczególnego, tyle że ten, kto je wymówił, miał zwyczaj przytulać się do niej w łóżku i szeptać to samo do ucha po wspólnie spędzonej nocy.

Wzięła się w garść i odwróciła. Nadal jednak nie mogła złapać tchu.

Patrick MacFarland we własnej osobie stał kilka kroków dalej, przygważdżając ją spojrzeniem niebieskich oczu, których intensywny błękit tak niezwykle kontrastował z czarnymi włosami. Wyglądał cholernie męsko w swetrze zrobio-

nym grubym ścięciem i w czekoladowych drelichowych spodniach. Wysoki i sprężysty, miał wyraziste kości policzkowe, wąski, długi nos i nieprzyzwoicie pociągające usta.

Swoją urodą w połączeniu z akcentem, który przywiózł z Irlandii mając dwanaście lat, kiedy wyemigrowała stamtąd jego rodzina, zawrócił w głowie niejednej kobiecie. Merry zafascynowała jego pasją życia i żarliwe uczucie do rodziny... a także do niej.

Postanowiła nie dać poznać po sobie, jak działa na nią sama jego obecność.

- Co ty tu robisz, Patrick? - Starła się mówić chłodnym tonem, co na tle łagodnie szemrzących dźwięków płynącej z głośników kolędy okazało się mało skuteczne.

- Wcale nie zamierzałem zostać w San Francisco na święta - wyjaśnił. - Próbowałem się z tobą skontaktować i dać ci znać, ale mi się nie udało.

- Mam wyświetlacz numerów, a nie zauważyłam twojego.

- Posłałem ci czerwone róże na długich łądługach. Dostałaś je? - zapytał, jakby jej nie słyszał.

- Tak - warknęła. - A także bombonierkę z czekoladkami. I abonament do klubu degustacji serów.

- To był dobry pomysł, nie?- Przecież masz słabość do serów. - Patrick najwyraźniej był bardzo zadowolony z siebie.

Pamiętając, co między nimi zaszło, Merry uznała tę rozmowę za absurdalną.

- Nadal mi nie powiedziałeś, co tutaj robisz

- przypomniała.

- Czy może być coś miłszego od przebywania tam, gdzie ty? - Kocimi krokami ruszył w jej stronę. Merry, wiedząc, czym grozi bliskość tego człowieka, cofnęła się, by przywrzeć plecami do poręczy udekorowanej gałązkami ostrokrzewu. Patrick podszedł na odległość ramienia i odsunął kosmyk włosów z jej czoła, przy okazji muskając policzek, co przyprawiło ją o lekkie drżenie. - To w taki sposób witasz swojego narzeczonego? - Jesteś moim byłym narzeczoną, Patrick.

Zerwaliśmy ze sobą. Zapomniałeś? - My? - Pokiwał smętnie głową, a jej serce się ścisnęło. - Wcale z tobą nie zrywałem, kotku.

- Normalnie wystarczy, że zrobi to jedna osoba.

- Ale normalnie nie przekazuje się takiej wiadomości przez telefon. W jednej chwili mówisz mi o gołębiach, które twoja matka chce wypuścić podczas ślubu, a już w następnej ze mną zrywasz!

- Ona chciała, żeby dwa tuziny białych gołębi fruwało nad naszymi głowami, kiedy wyjdziemy z kościoła. Dwa tuziny, Patrick! A ty na to, że nie rozumiesz, dlaczego mam coś przeciwko temu!

- wyrzuciła jednym tchem Merry.

- Powiedziałem też, że cię we wszystkim poprę. Jeśli nie chcesz gołębi, ja się z tobą zgadzam.

- Rzecz w tym, że jeżeli już teraz nie stoimy po tej samej stronie, to nie powinniśmy się pobierać.

- Ależ stoimy po tej samej stronie. Chcę, żebyś miała wszystko, co zechcesz.

Merry potrząsnęła głową. Jak ma mu wytłumaczyć swoje obawy, skoro sama nie za bardzo wie, o co jej chodzi?- Masz rację co do jednego: nie powinnam była zrywać przez telefon. - Nie posunęła się dalej, ale na widok Patricka jej wola osłabła i Merry mocno powątpiewała, czy patrząc mu w oczy, potrafi zakończyć- sprawę. - Ale co się stało, to się nie odstanie.

- Odwołałaś już ślub, kotku? - zapytał tym samym ściszym głosem, którego używał, gdy byli razem w łóżku.

Czuła, że mięknie, ale postanowiła trzymać fason.

- Mam na imię Merry - oznajmiła. - Byłabym ci wdzięczna, gdybyś nie nazywał mnie „kotkiem”.

Patrick przeciągnął palcem wzdłuż linii jej podbródka i przerwał, zanim zdążyła zaprotestować.

- Dlaczego miałbym ci ułatwić zapomnieć, co było między nami?-

Jego czuły gest zrobił jednak na niej wrażenie. Przypomniała sobie dzień, w którym przyjęła jego oświadczenia. W najlepszej restauracji Charlotte, przy szampanie i kawiorze poprosił ją o rękę.

- Nie tak łatwo odwołać wesele na trzysta osób, zwłaszcza że wszystkim zajmowała się moja matka, która w tej chwili przebywa z tatą na Tahiti. Wrócą dopiero po świętach. Rodzice, szalenie zapracowani prawnicy, spędzali świąteczne wakacje we dwoje z dala od świata. Kiedy Merry dorastała, rodzice zostawiali ją w domu z dziadkami i z takim mnóstwem prezentów, że już po kilku miesiącach nie pamiętała, co dostała. Odkąd dorosła, przekazywali bożonarodzeniowe upominki przy pożegnaniu, ale nigdy nie zaproponowali wspólnego wyjazdu.

- Gdybyśmy porozmawiali szczerze, może wcale nie musiałabyś odwoływać wesela - zaproponował Patrick tym samym uwodzicielskim głosem, na dźwięk którego dostawała gęsiej skórki.

Bojąc się, że emocje wezmą górę nad rozumem, odsunęła się od niego, żeby uzyskać tak bardzo potrzebny jej dystans.

- Nie mamy już o czym rozmawiać.

- Zamiast gadać o zerwaniu, moglibyśmy ustalić, co należałoby zrobić, żeby się lepiej zrozumieć i dopasować. Oboje wiemy, jak wiele dziewczyn wpada w popłoch przed ślubem. Dotknął jej ramienia, a Merry od razu zrobiło się ciepło. Ale przecież problem nie tkwił w ich fizycznym kontakcie. Odsunęła się jeszcze troszeczkę, tak że ręka Patricka zawisała w powietrzu.

- Wybrałaś nieodpowiednią porę - powiedzia-

155

ła z przekąsem. - Nie zauważyłeś, że jestem w pracy?

W tym momencie dostrzegła przewieszony przez ramię Patricka skórzany pasek torby z kamerą.

- Wiesz co, ja też. Jestem twoim kamerzystą - wyjaśnił krótko.

- Miał być Danny - warknęła.

- Danny'ego powaliła grypa.

Argument nie do zbiccia, pomyślała Merry; uprzedzono ją, że połowa personelu King's Mall choruje i przebywa na zwolnieniu, a przecież Danny był tutaj jakiś czas temu i robił materiał z okazji dnia świętego Mikołaja. Ale to jeszcze nie tłumaczy obecności Patricka w charakterze jej kamerzysty.

- Przecież nie możesz tego zrobić - zaprotestowała. - Rzuciłeś pracę w telewizji i zrezygnowałeś z operatorki. Pracujesz w firmie konsultingowej, a ona nie kręci reportaży w galerii handlowej.

Pochylił nad nią ciemną głowę. Pachniał cudownie. Nigdy nie ustaliła, co to za zapach. Pewnie perfumy firmy Eau de Patrick, pomyślała żartobliwie. Golił się niedawno, więc gdyby go dotknęła, poczułaby delikatną i gładką skórę... Na wszelki wypadek cofnęła głowę.

- Ale robią wyjątki, gdy wiedzą, jak bardzo ich pracownikowi zależy na poprawieniu stosunków z narzeczoną.

- Z była narzeczoną - skorygowała Merry. - Wybij to sobie z głowy. Zaraz poproszę Betsy o zastępstwo. Patrick uniósł brwi.
 - O co chodzić Boisz się ze mną pracować?- Oczywiście, że nie - wyparła się, chociaż trafił w sedno. W obecności Patricka MacFarlanda traciła silną wolę, nieomal stawała się bierna i pewnie dlatego wyraziła zgodę na ślub, zanim się poważnie zastanowiła. - Po prostu nie chcę, żebyś robił sobie niepotrzebne nadzieje. Musisz przyjąć do wiadomości, że między nami wszystko skończone.
 - Dowiedź tego - zaproponował z wyzywającym błyskiem w oku.
 - Niby jak?
 - Popracuj ze mną przez ten dzień.
 - Co to za dowód?- Przecież pracowałam z tobą wiele razy.
 - Ale tym razem będzie inaczej. - Pochylił się nad nią, aż poczuła na wargach jego ciepły oddech. - Jeśli pod koniec dnia pracy powiesz, że nie zmieniłaś zdania w sprawie zaręczyn, odejdę i dam ci spokój.
- Patrick, nie tracąc wiary w siebie, czekał na odpowiedź Merry. Celowo bagatelizował niepewność w jej oczach i ignorował puste miejsce na palcu po pierścionku zaręczynowym. Wiedział, że dziewczyna go kocha i że wszyst-

kie jej wątpliwości wynikają tylko z przedślubnej tremy.

Częściowo winił za to siebie. Przez ostatnie trzy miesiące poświęcał jej stanowczo za mało czasu. Kiedy Merry przyjęła jego oświadczenia, postanowił przestać zajmować się swoją ulubioną dziennikarką i podjął pracę w The Goulden Group, w dziale zajmującym się fuzjami i zakupami, firm.

Miał szczęście, bo chociaż dyplom z zarządzania zrobił już pięć lat temu, Greg Goulden, właściciel firmy i jej siła napędowa, okazał się ojcem kolegi, z którym dzielił pokój na studiach.

Czas mu się dłużył, a sama praca była bardziej niż nudna, za to Patrick nie mógł teraz narzekać na brak pieniędzy. Wynagrodzenie było wprost fantastyczne.

To prawda, że oswojenie się z nową pracą zajęło mu trochę czasu, ale przecież Merry nie przestała być najważniejszą osobą w jego życiu. A tymczasem wykazał się kompletnym brakiem rozeznania, skoro nie wyczuł, że perspektywa ślubu i wytwornego przyjęcia na trzysta osób w ekskluzywnym country clubie za miastem tak bardzo ją zestresują.

- No to jak? - Wyciągnął do niej rękę. - Umowa stoi?

Merry przesunęła dłonią po długich, lśniących, brązowych włosach i też popatrzyła na niego. Oto miał przed sobą twarz, dzięki której dziewczyna

dostała pracę w telewizji: wydatne kości policzkowe, mocna szczęka, wysokie czoło i oczy w cudownym kolorze świerkowych gałązek. Miała na sobie obcisły czerwony sweter i krótką zieloną spódniczkę, odsłaniającą długie nogi.

Gdyby nie znał Merry tak dobrze, jej wygląd mógłby go onieśmielać. Ale dusza tej dziewczyny, występującej przed telewizyjną publicznością Charlotte, była jeszcze piękniejsza niż jej ciało - była delikatna i słodka jak cukierek ślazowy w czekoladzie.

Z jakiegoś powodu ukrywała tę stronę swojej natury przed światem, jakby to była wada, a nie najgłębsza kwintesencja jej istoty.

- Umowa? No cóż, stoi - powiedziała wreszcie bez śladu uległości w głosie. Ale kiedy uścisnęła jego wyciągniętą dłoń, Patrick poczuł przechodzący go prąd, który pojawiał się, ilekroć się dotykali. Ona też go poczuła. Poznał to po leciutkim drżeniu jej palców.

- Przecież to Merry Deluca!

Krótko ostrzyżona, jasnowłosa kobieta w czerwonej kurtce z białym futrzanym kołnierzem wyrosła raptem przed nimi. Merry cofnęła rękę i posłała kobiecie zawodowy uśmiech telewizyjnej reporterki.

- Tak, to ja - powiedziała. - Robię dzisiaj relację z centrum.

- Zawsze chciałam wystąpić w telewizji.

- Kobieta przedstawiła się jako Kelly. Należała do tych pulchnych, różowych blondynek z ustami jak pączek róży. - Mogę opowiedzieć, jak kupuję idealny prezent dla męża. Właśnie drugi raz się pobraliśmy.

- Nie sądzę, żebyśmy... - zaczęła Merry, ale Patrick wszedł jej w słowo

- To brzmi wspaniale, Kelly.

Blondynka, zdezorientowana, spoglądała to na jedno, to na drugie.

Merry zachowała spokój, i tylko Patrick dostrzegł leciutki grymas jej ust. Z niezrozumiałego powodu wyraźnie nie chciała robić wywiadu z tą kobietą.

- To Patrick MacFarland - Merry przedstawiła go Kelly. - Mój operator.

Blondynka złapała się za głowę.

- Operator?- Z takim wyglądem powinien pan raczej stać przed kamerą, a nie za nią!

- Dziękuję - uśmiechnął się powściągliwie Patrick.

- Jestem gotowa. - Kelly klasnęła w dłonie, splotła je i zwróciła się do Patricka: - A gdzie jest wóz transmisyjny i duża kamera?

Patrick zachichotał.

- Wóz przyjedzie później. A kamerę mam przy sobie, choć może nie taką, jakiej się pani spodziewa. - Sięgnął do torby i wyjął z niej lekką kamerę cyfrową. - To nie jest sprzęt do transmisji na żywo, ale wystarczy, żeby nagrać panią na taśmę.

160

- No to kręcimy - postanowiła niezrażona Kelly.

Z trudem hamowała radosne podniecenie, odpowiadając na pytania Merry. Patrick fachowo ocenił i wyeliminował nieodpowiednie do tematu tła, decydując się wreszcie na miejsce przed wystawą zasypaną płatkami śniegu i udekorowaną biało-czerwonymi cukrowymi laseczkami - tradycyjną ozdobą w okresie Bożego Narodzenia.

Wokół zebrał się tłumek ludzi, a kręcący materiał Patrick poczuł się w swoim żywiole.

- Będę szukała prezentu choćby do zamknięcia magazynu - opowiadała Kelly, patrząc w kamerę zgodnie z instrukcją Patricka. - To musi być coś, co umocni w moim mężu pewność, że tym razem nasze małżeństwo już się nie rozleci.

Patrick poszerzył kadr, żeby ująć także Merry. Rozumiał doskonale, dlaczego z wielu różnych możliwości wybrała pracę w telewizji. Nie dość, że kochała ją kamera, to była też dobra w swoim zawodzie.

Parę dni po rozpoczęciu przez nią pracy w kanale telewizyjnym WZLM robili razem materiał na żywo. Było to zimą, kiedy panowały rekordowe mrozy. W pewnej chwili przed kamerą przemknął goły facet. - „Sami państwo widzicie - improwizowała bez zająknięcia Merry - oto niektórzy z nas, zaskoczeni przez mróz, spieszą do domu, żeby włożyć na siebie coś ciepłego”.

Gdy Patrick wyłączył kamerę, Merry uśmieła się do łez, a potem jednym ruchem ręki starła rozmazany makijaż. Spodziewał się, że będzie chciała go poprawić, ale okazało się, że poza kamerą dziewczyna nie przejmuje się swoim wyglądem.

Zakochał się w niej bez pamięci. Następnego dnia były walentynki. Posłał więc Merry olbrzymiego pluszowego misia z mnóstwem okolicznościowych czekoladowych serduszek i z zaproszeniem na kolację do wytwornej francuskiej restauracji.

Przyjęła zaproszenie, a przy kolacji oczarowała go swoją inteligencją i miłym sposobem bycia. Zanim wyszli, Patrick poprzysiął sobie, że Merry zostanie jego żoną.

I był bliski spełnienia swojego marzenia. Musi tylko, zanim zamkną centrum handlowe, przekonać ją, że jej obawy są kompletnie bezpodstawne. I tyle.

Po skończonym wywiadzie Kelly podziękowała wylewnie i udała się na poszukiwanie idealnego prezentu.

- Czysta strata czasu - mruknęła Merry, podchodząc do Patricka. - Gdyby nie była tak strasznie napalona na ten wywiad, nigdy bym jej nie wzięła.

Patrick wiedział, że kiedy Merry jest w takim humorze, lepiej się nie odzywać, ale wiedział też, że wrodzona dobroć nakazywała jej przedkładać potrzeby innych nad swoje własne.

- Przepraszam, kotku, ale według mnie Kelly była wspaniała.
- Bo się do ciebie przymilała?
- Chyba nie jesteś zazdrosna o kobietę kupującą prezent dla męża?- Pewnie, że nie jestem zazdrosna - bez przekonania zaprzeczyła Merry. - Tylko nie podoba mi się, że nie zapytałeś, jaki program zamierzam zrobić.
- Zdawało mi się, że chodzi o przekazanie radosnego, pełnego oczekiwania nastroju, jaki zdarza się tylko raz w roku - wyrecytował.
- Ten temat jest już doszczętnie wyeksploatowany. Mam zamiar pokazać, jak bardzo komercjalizacja Bożego Narodzenia zdominowała i wynaturzyła te święta.
- Żartujesz chyba? - zaśmiał się Patrick.
- Nic podobnego. - Poczula się urażona jego reakcją. - Wszystko opanowała komercja, a gorączka przedświąteczna z roku na rok zaczyna się coraz wcześniej. W niektórych magazynach dekoracje świąteczne pojawiły się jeszcze w końcu października! A ostatnie badania Gallupa wykazały, że przeciętny Amerykanin wydaje z okazji świąt średnio osiemset dolarów.
- No i co z tego?- Co?- A zwróciłeś uwagę na reklamy wciskające nam rzeczy, bez których z powodzeniem można się obejść?- A te zabawki, które nasze

dzieci muszą bezwarunkowo mieć?- Nie widzisz, że to wszystko osiąga punkt krytyczny w Wigilię Bożego Narodzenia, kiedy centra handlowe pękają w szwach?- Co w tym złego?- Widzę tu normalnych ludzi, którzy chcą dokończyć zakupy.

- Nie rozumiesz, o co mi chodzić Święta Bożego Narodzenia nie polegają na obłądnym kupowaniu. Ci ludzie powinni przebywać w domach ze swoimi bliskimi, a nie w sklepach!

- Ale właśnie kupują różne rzeczy, żeby ci bliscy mogli dostać prezenty.

- A wszystko przez to, że te sklepy i dolary wydane na reklamę utwierdzają ludzi w przekonaniu, że tak należy postępować.

- Kiedy oni właśnie tego chcą. Merry wzięła się pod boki.

- Czy aby na pewno?

Patrick rozejrzał się wokół. Oplatające balustrady zielone girlandy ostrokrzewu poprzetykanego czerwonymi kokardami, obsypane sztucznym śniegiem dekoracje, choinki jarzące się przy każdym prawie stoisku - czy można sobie wyobrazić bardziej idealną scenerię?- Tak - powiedział. - Jestem o tym przekonany.

- No cóż, widać mamy inne wyobrażenia o świętach. I zamierzam to udowodnić.

- Poczekaj, chciałbym cię dobrze zrozumieć.

Czy mam przeczesać z tobą cały budynek w poszukiwaniu ludzi, którzy są negatywnie nastawieni do świąt Bożego Narodzenia?- Dokładnie o to mi chodzi - pokiwała głową Merry.

- A ja, zanim uruchomię kamerę, mam wołać: „Uwaga, to mistyfikacja!”.

- To wcale nie jest śmieszne.

- Bo nie ma być śmieszne, i nie wyobrażam sobie, jak zamierzasz zrealizować swój pomysł. Jest Boże Narodzenie i ludzie się cieszą, bo to radosne święta.

- Ale nie tutaj. Przyjrzyj się uważniej. Ci ludzie są zdesperowani, bo chcą mieć z głowy świąteczne zakupy, więc łapią, co popadnie.

- A Kelly?- Ona nie kupuje byle czego, tylko szuka idealnego prezentu.

- Nic takiego nie istnieje - parsknęła Merry. Nie zgadzał się z nią. Jeden z jego kolegów z The Goulden Group wykupił dzień w modnym SPA, bo chciał pokazać żonie, że należy jej się trochę luksusu. Inny skompletował przyjaciółce, która uwielbia zimę, wszystko, co trzeba na wyjazd na narty do zimowego kurortu. A jego szef sprawił żonie nowy samochód ze specjalnym wyposażeniem, zapewniającym bezpieczną jazdę.

Patrick myślał gorączkowo. Kupił już Merry bransoletkę, skromną, ale z brylantami, drogie perfumy, czarną skórzaną kurteczkę, ale żadna

z tych rzeczy nie była dostatecznie osobistym prezentem, żeby mogła zaświadczyć o jego uczuciu.

Ale gdzieś musi istnieć taki prezent. Więc czemu nie miałby go znaleźć tutaj, w tym pełnym wszelakich dóbr, ogromnym sklepie?- No więc? - Głos Merry przerwał mu wątek myśli. - Zaczynamy?- Oczywiście - zgodził się ochoczo Patrick. Merry spojrzała na niego podejrzliwie.

- Chcesz powiedzieć, że przyjmujesz mój pomysł?- Nawet jeśli uważasz, że nie znajdę materiału, żeby udowodnić moją tezę?- Naprawdę tak uważam.

- To po co się w to bawisz?- Nie bawię się, kotku. Kiedyś wreszcie zrozumiesz, że jestem po twojej stronie, niezależnie od tego, co robisz. A na razie spróbujmy znaleźć kogoś, komu nucenie kolęd nie sprawia radości.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Powiedz mi dokładniej, czego szukasz - zażądał Patrick, kiedy ramię w ramię przeciskali się przez tłum. - Ludzi trwoniących forszę?- Klientów, którym puszczają nerwy?- A może takich, którzy kupują, jak leci.

- Wszystkich po trochu.

- To może zacznijmy od działu z zabawkami - zasugerował Patrick.

- Dlaczego¹?

- Bo taki dział powinien najlepiej spełnić twoje oczekiwania. Szukasz bezużytecznych gadżetów, które handlarze wciskają klientom jako coś, bez czego nie można się obejść, prawda?- Proszę bardzo. Obejrzyj sobie Rechoczący kamień.

- Co to takiego?- Z tego co czytałem, najmodniejsza dziś zabawka pod choinkę. Słyszałaś o Pet Rocks?- To jest zestaw obłych kamieni, umieszczonych na sianku w kartonowym pudełku z otworami.

Kamieniami należy się opiekować jak dziećmi, ubierać je, wyprowadzać na spacer. Później maluje im się buzie i nadaje imiona. Pomysł znalazł wielu naśladowców i jest obecnie wyjątkowo popularnym prezentem bożonarodzeniowym.

Merry pokiwała głową. Reklamowano to kiedyś jako w pełni przyjazne stworzenia - tanie, nie przysparzające kłopotów i zachowujące się nadzwyczaj grzecznie. Moda na tę bzdurę zaczęła się, kiedy Merry była jeszcze bardzo mała, ale trwała dość długo. Rodzice podarowali Merry taki zestaw. Ale wtedy kupowali jej prawie wszystko.

- No więc Rechoczący kamień to coś jak Pet Rocks, tylko z charakterem. Jest wyposażony w czujnik i kiedy koło niego przechodzisz, ryczy ze śmiechu.

- I ludzie to kupują?- - zapytała raczej retorycznie Merry. Przecież w Boże Narodzenie ludzie kupią wszystko. Przykładem Chia Pet, wirtualna roślinka, czy Śpiewający pstrąg na baterie.

- Najlepiej, jak tam pójdziemy i sami się przekonamy.

Znaleźli odpowiedni dział, do którego ustawiło się parę kolejek, i utknęli w gęstym tłumie.

- Nie widzę tu żadnej sprzedawczyni. I nikt nie obsługuje kasy - poskarżyła się Merry.

- Po co ci sprzedawczyni?- Żeby nam pokazała Rechoczący kamień.

- Nie obawiaj się, sami znajdziemy - powiedział

Patrick i chwycił jej rękę. - Żebyśmy się nie pogubili - wyjaśnił i pociągnął ją za sobą.

Nagle Merry podskoczyła, bo rozległ się odrażający dźwięk, jakiego nie powstydziliby się zła czarownica.

- Co to takiego? - zawołała.

- Rechot kamienia - Patrick uśmiechnął się od ucha do ucha. - Przyznaj, że się przestraszyłaś.

- Nic podobnego - skłamała z niewinną miną.

- To dlaczego tak mocno ściskasz mnie za rękę? - Merry zwolniła uścisk, a Patrick znów się uśmiechnął. Wskazał jej kamień, a obok niego stos jaskrawoczerwonych pudełek. Napis obok głosił, że ten przedmiot zapewni „najlepszą zabawę w okresie świątecznym”.

- Wspaniałe, nie? - zapytał Patrick, a Merry przewróciła oczami.

- Co cię tak bawi w tym Rechoczącym kamieniu? - zapytała.

- A co, nie jest śmieszny?

Tym razem, gdy kamień ryknął ponownie, Merry nie mogła powstrzymać uśmiechu. Może to i zabawne, pomyślała, choć była to jedna z najbardziej idiotycznych i bezsensownych zabawek, jakie kiedykolwiek widziała.

- Zostało ich już niewiele - zauważyła. - Ciekawe, ile producenci zapłacili gazecie, w której przeczytałeś o tym paskudztwie, za wmawianie ludziom, że sprzedaje się to błyskawicznie.

- Dlaczego patrzysz na to tak cynicznie?-Uważam, że niejedno dziecko chciałoby mieć taki kamień, nawet gdyby nie wiedziało, że taki jest modny.

- Chyba żartujesz!

- Mamo, mamó, patrz. To jest to. - Jasnowłósy chłopczyk w wieku siedmiu albo ósmiu lat ciągnął matkę w ich stronę. Zatrzymał się przed kamieniem, a ten wydał swój obłądny rechot.

- Muszę to mieć - jęknął chłopiec. - Koniecznie.

- Zgoda, Ronaldzie. Powiedziałam ci już, że go kupimy.

Bingo. Merry uśmiechnęła się do Patricka. Miał rację. Rechoczący kamień pasował jak ulał do jej reportażu.

- Przepraszam panią... - Merry podniosła głos, żeby przekrzyczeć panujący w dziale zgiełk.

- Jestem Merry Deluca z kanału WZLM-13. Czy mogłabym porozmawiać przed kamerą z pani synem o Rechoczącym kamieniu?

Chłopiec przyciskał już do piersi okazałe pudełko.

- No co, Ronaldzie? - Matka pogłaskała chłopczyka po głowie. - Chcesz wystąpić w telewizji?- Lubię telewizję - oznajmił malec.

Nie czekając, aż matka i syn zmienią zdanie, Merry przeprosiła ich i odeszła na chwilę poszukiwać kierownika sklepu. Musiała mieć zgodę na wyjęcie kamienia z pudełka i na ustawienie

chłopczyka obok działu z zabawkami. Po pięciu minutach Patrick był gotowy do kręcenia.

- Musisz tylko powiedzieć do kamery - instruowała chłopca Meny - dlaczego chcesz dostać w prezencie na Boże Narodzenie Rechoczący kamień.

- Kiedy to nie Ronald chce mieć ten kamień - wtrąciła matka. - To prezent dla Benjy'ego.

- Kto to jest Benjy? - zapytała zaintrygowana Merry.

- Mój młodszy brat. - Ronald wziął kamień w rękę. - To jedyna rzecz, jaką umieścił na swojej liście prezentów.

- Ronald postanowił kupić mu ten kamień z własnych oszczędności - oznajmiła matka.

Chłopiec sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął zwitek banknotów, które z bliska okazały się jednodolarówkami.

- Zaoszczędziłem z kieszonkowego - oświadczył z dumą.

- Zamierzasz też kupić Rechoczący kamień dla siebie? - zapytała Merry, próbując ratować swój reportaż.

- A po co? - obruszył się Ronald. - To głupia zabawka. Potrafi tylko rozśmieszyć.

- Przykro mi, że te wywiady nie wypadają tak, jakbyś chciała, kotku - odezwał się Patrick po odejściu ze stoiska z zabawkami.

Po niepowodzeniu z chłopcem Merry namówiła jedną z kasjerek, żeby wystąpiła przed kamerą. Również i ta próba nie przyniosła spodziewanego rezultatu.

- Nie mogę uwierzyć, że aż tak się pomyliłam - zadumała się Merry. - Ze wszystkich pracownic zatrudnionych w dziale z zabawkami kasjerka miała najbardziej nieszczęśliwą minę. Byłam pewna, że zacznie opowiadać o pobłażliwych rodzicach i rozwydrzonych dzieciakach, i rachunkach na kartach kredytowych, które byłyby w stanie rozbić każdy bank.

- Nie obwiniaj się. - Żeby dodać dziewczynie otuchy, Patrick pogłaskał ją po ramieniu. - Skąd mogłaś wiedzieć, że kobieta jest po prostu przemęczona, bo pracuje już drugą zmianę?- A dlaczego tak się ożywiła, gdy tylko znalazła się przed kamerą?- Skąd wzięła tyle siły, żeby opowiedzieć o tej samotnej matce, którą dziś zastępuje, bo tamta koniecznie musi popakować prezenty?- Sama ją zapytałaś, dlaczego zgodziła się pracować przez dwie zmiany - przypomniał Patrick i dodał szybko: - Ale to pytanie samo cisnęło się na usta.

- Coś ty taki dla mnie łaskawy? - zdziwiła się Merry.

- Próbuję cię odzyskać. Gdybym był niemiły, byłoby trudniej.

- Rozumiem... to tak jak z tą orkiestrą symfoniczną.

- Nie nadążam za tobą.

- Kiedy moja matka zasugerowała, żeby na nasze wesele wynająć dwunastoosobową orkiestrę, stanąłeś po mojej stronie i sprzeciwiłeś się temu, choć wiem, że nie widziałeś w tym nic złego. Podobnie było z gołębiami.

Patrick jęknął mimo woli.

- Znów musimy rozmawiać o gołębiach?-Merry przystanęła tak gwałtownie, że wpadły na nią trzy osoby. Dwie z nich przeprosiły.

- Czy ty nic nie rozumiesz?- - zapytała. - Właśnie teraz postępujesz dokładnie tak samo jak z gołębiami i z orkiestrą!

- Staram się cię wspierać. - Wyrzucił ręce do góry. - Co w tym złego?-

Merry przez chwilę spoglądała na niego w milczeniu, podczas gdy on bez powodzenia próbował odgadnąć, co się dzieje w jej głowie.

- No właśnie, to już masz odpowiedź, dlaczego między nami nie może się dobrze ułożyć - powiedziała wreszcie.

Patrick najwyraźniej się zdenerwował.

- Czy dlatego, że nie mam nic przeciwko temu, żebyś postępowała po swojemu?- Dlatego, że nie zgadzasz się z tym, na co głośno wyrażasz zgodę!

- Zaraz, zaraz, nie tak prędko - próbował się

uspokoić Patrick. - Wiele małżeństw miewa czasem różne zdania, Merry. Nie wszyscy myślą tak samo.

- Ale nasze opinie są wyjątkowo rozbieżne. I dlatego nie powinniśmy się pobierać. Jesteśmy niedobrani.

- Nie zgadzam się z tobą.

- Ależ tak, zgadzasz się - przypomniała. - Jeszcze przed chwilą tak twierdziłeś.

- Wiesz co, to nie fair - oburzył się Patrick. - Poza tym różnica zdań między dwojgiem ludzi...

Dzwonienie komórki Merry nie pozwoliło mu dokończyć zdania. Sięgnęła po telefon przyczepiony do paska spódnicy.

- Merry Deluca - powiedziała do słuchawki. Przez ten czas Patrick kończył swoje rozważania.

Pary, które nie we wszystkim się ze sobą zgadzają, zachowują więcej świeżości i mają ciekawsze życie. I co z tego, że nie rozumiał sprzeciwu Merry wobec ekstrawaganckich pomysłów jej matki na temat ich ślubu?

On też uważał, że Merry powinna mieć wszystko, co najlepsze, i to był główny powód, dla którego przeszedł do firmy The Goulden Group. Teraz miał pensję nieporównanie większą od tej, jaką dostawał w telewizji. Gdyby Merry zechciała kiedyś zrezygnować z pracy, mógłby dzięki temu utrzymywać ją na odpowiednim poziomie.

Podobał mu się pomysł wystawnego wesela; uroda Merry zasługiwała na wspaniałą oprawę.

Gotów był jednak pójść na wszelkie ustępstwa. I robił to, wspierając Merry na każdym kroku, chociaż naprawdę nie wiedział, czemu nie życzyła sobie zamieszania i zbędnych zachodów.

Dziewczyna pokiwała głową raz i drugi, i skończyła rozmowę.

- To Francine. Dzwoni, żeby powiedzieć, że wóz transmisyjny jest już na miejscu - powiedziała. Francine była realizatorką wizji ich programu, ale także bliską przyjaciółką Merry z czasów college'u. - Stała przed wejściem do centrum. Idę się z nią spotkać.

- To może później dokończymy naszą rozmowę?- Powiedziałam już, co miałam do powiedzenia. Dochodzi jedenasta i muszę się przygotować. Idziesz ze mną?

Patrick podjął szybką decyzję. Wyjął kasetę z kamery i podał ją Merry.

- Mogłabyś ją przekazać Francine?- - zapytał. - Muszę jeszcze załatwić parę spraw.

- Jakich spraw?-

Nie zdążył wymyślić wiarygodnej odpowiedzi, bo Merry potrząsnęła głową i powiedziała:

- Właściwie nic mi do tego.

Poczekala, aż zrobi się odrobinę luźniej, i włączyła się w tłum ludzi przepychających się w przejściach. Patrick obserwował ją, dopóki nie zniknęła, przyjmując za dobry znak, że się za nim obejrzała.

175

Gdyby jeszcze mógł znaleźć dla niej idealny prezent...

Powędrował wzrokiem po wystawie salonu jubilerskiego, a potem sklepu ze słodyczami, ale uznał, że to bez sensu. I tu, i tam dokonał już stosownych zakupów.

Właśnie miał wejść do Harringthon Vine's, jednego z największych i najpopularniejszych sklepów centrum, kiedy dostrzegł tłumek klientów skupionych wokół stoiska, gdzie sprzedawano rzeczy zmieniające barwy na słońcu.

Zaintrygowany, podszedł bliżej. Sprzedawca skierował lampę z ultrafioletowym światłem na płócienną plażową torbę z biało-czarnym widokiem morza, a scenka stopniowo ożyła: morze zrobiło się zielononiebieskie, parasole jaskrawo-czerwone, a maszty żaglówek tęczowe.

Merry lubiła oryginalne przedmioty, no i uwielbiała plażę. Tego lata spędzili długi weekend w Nags Head - nadmorskiej miejscowości w Północnej Karolinie, gdzie delektowali się każdym promieniem słońca.

Wreszcie, po dziesięciu minutach czekania, Patrick znalazł się na początku kolejki.

- Ta torba jest naprawdę rewelacyjna - zachwalał swój towar sprzedawca. - Kupiłem taką mojej mamie. A także siostrze i ciotce. I wszystkie są zachwycone.

Radość Patricka ze znalezienia idealnego

prezentu gdzieś się ulotniła. Zmieniająca kolory torba plażowa, którą nosi mnóstwo kobiet, nie będzie zbyt osobistym prezentem.

Kiedy odchodził od stoiska, podsłuchiwał rozmowę dwóch nastolatek. Jedna opowiadała drugiej o sklepie pod nazwą Miary Czasu.

- Mają genialne budziki, które możesz tak zaprogramować, że będą wydzwaniać twoją ulubioną melodię. Taki prezent to strzał w dziesiątkę, no nie?-

Do zgromadzonych już prezentów Patrick dorzucił więc dający się zaprogramować budzik i płytę Sheryl Crow, ukochanej piosenkarki Merry. Przy samym wyjściu z centrum wypatrzył jeszcze ruchomą głowę Waltera Cronkite'a, człowieka-ikony, prowadzącego dawniej wieczorne wiadomości CBS.

Wszystko, co wybrał, było pomysłowe, ale wciąż liczył na to, że znajdzie jeszcze prezent idealny.

Miał nadzieję, że coś upoluje. Bo przecież kobieta, którą kocha, zasługuje na coś zupełnie wyjątkowego.

- Czyżby Patrick wytłumaczył ci dokładnie, w jaki sposób chce cię przekonać, żebyś nie zrywała zaręczyn?

Francine Collins postawiła krzeselko obok Merry, która siedziała przed komputerem w wo-

zie transmisyjnym. Francine miała kędzierzawe, niesforne brązowe włosy, misterny makijaż i buzię lalki Kewpie. Jej sześciomiesięczna ciąża była prawie niezauważalna.

- Nie, to niemożliwe - odpowiedziała na własne pytanie. - Nie psułyby sobie okazji do zaskoczenia cię. Ale musi planować coś nadzwyczajnego, skoro powiedział, że zejdzie się z powrotem przed zamknięciem centrum. Założę się, że wymyślił coś cholernie romantycznego.

Francine teatralnym gestem przytknęła rękę do serca. Była mężatką, matką dwuletnich bliźniaków i spodziewała się trzeciego dziecka, ale nadal zachowywała się tak, jakby życie było operą mydlaną. Zwierzając się jej, Merry na chwilę o tym zapomniała.

- Myślisz, że potrafisz mu się oprzeć? - drażyła Francine. - Dotąd nigdy ci się to nie udawało. Pamiętam, jak twierdziłaś, że nie poszłabyś z nim tak szybko do łóżka, gdyby nie okazał się takim dżentelmenem.

- Och, Francine, przecież wiesz, że go kocham - jęknęła Merry.

- No to powiedz, o co tak naprawdę ci chodzi. Jestem pewna, że to typowe przedślubne fanaberie i dygoty. W końcu sama to przerabiałam. Pogadajmy o tym, Mer, może potrafię ci pomóc.

Poruszona troską przyjaciółki, Merry spróbowała ująć w słowa swoje rozterki.

- Sama nie wiem, o co mi chodzi. Ale Patrick się bardzo zmienił, odkąd wziął tę pracę w The Goulden Group. Stał się mniej... radosny. Cały czas pracuje. I po co?- Dla luksusowego samochodu marki Lexus i telewizora z dużym ekranem, którego nawet nie ma czasu włączyć?- Może chce zapewnić przyszłej żonie solidną przyszłość ?

- Jego przyszła żona nie potrzebuje dwukara-towego zaręczynowego pierścionka - westchnęła Merry. - Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że nie pasujemy do siebie.

- Bo nie chcesz mieć leksusa ani telewizora z wielkim ekranem^

- Chyba coś w tym rodzaju - odpowiedziała Merry po namyśle. - Opowiadałam ci, co ostatnio wymyślili z moją matką?- Mam nadzieję, że nie zaczniesz znów nawijać o tych gołębiach!

- Nie, nie... tym razem będzie o sześciu druhen, które matka chciałaby dodać do tych sześciu, które już są. Patrick nie pojmuje, dlaczego nie chcę się zgodzić.

- No i co, żąda, żebyś się zgodziła na dwanaście druheń?- Nie, nie o to chodzi. Rzecz w tym, że się

nawzajem nie rozumiemy. Kiedy zerwałam zarę-

czynny, przysłał mi kwiaty, słodczyce i ser. Ser! Możesz w to uwierzyć?- Przecież lubisz ser.

- No, ale nie na tyle, żeby mógł mnie nim przekupić!

- Złamałaś mu serce, nie odbierasz jego telefonów. Prawdopodobnie czuje, że powinien coś zrobić.

- Mówisz tak, bo go lubisz - nieśmiało zauważyła Merry. Przecież nie chciała nikogo skrzywdzić, zwłaszcza Patricka.

- A jak go nie lubić?- - zdziwiła się Francine. - Oboje z Dougiem przepadamy za nim. Jest czarujący, bystry i przystojny, poza tym bawi się świetnie z naszymi bliźniakami, a na dodatek, zakochując się w mojej najlepszej przyjaciółce, wykazał się dobrym gustem.

- Czyżby zapłacił ci za ten tekst?- Nie żartuj! Z jego akcentem wystarczyło, że mnie poprosił.

Na chwilę zapanowała cisza - rzadkie zjawisko, kiedy w pobliżu znajdowała się Francine.

Merry pewnie by wpadła w furję, gdyby w porę nie zauważyła, jak jej przyjaciółka zagryza dolną wargę, żeby zachować powagę.

- Żarty sobie stroisz - powiedziała z wyrzutem.

Francine nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

- Przyznaję się bez bicia. Nie rozmawiałam

z Patrickiem od czasu, kiedy odwołałaś ślub. A przy okazji, gdzie on teraz jest?

Jakby na zamówienie, otworzyły się drzwi wozu transmisyjnego i pojawił się w nich Patrick we własnego osobie.

- Patrick! Właśnie o tobie rozmawiamy - pisnęła zachwycona Francine.

- Mam nadzieję, że mówisz o mnie wyłącznie dobrze, Francy.

- Jak zawsze - uśmiechnęła się szeroko Francine. - Wiesz przecież, jak bardzo Dougowi i mnie zależy na naszych spotkaniach we czwórkę. Jestem stronnica, gdy chodzi o ciebie, znacznie bardziej niż przy poprzednich facetach Merry.

- Któregoś dnia będziesz mi musiała opowiedzieć o jej byłych - zapowiedział Patrick.

- O kim chciałbyś usłyszeć na początek? - zapytała Francine. - O tym wyjcu, który wyśpiewywał jej serenady pod oknem sypialni w akademiku? Czy o typku, który wjechał jej do bagażnika, bo chciał się z nią umówić? - Naprawdę któryś z twoich byłych to zrobił? - zdziwił się Patrick.

- Ty też jesteś moim byłym - przypomniała mu Merry, odwracając się od ekranu komputera.

- i bądźcie cicho, żebym mogła się skoncentrować.

- Merry potrzebuje jeszcze paru minut - wyjaśniła Francine. - Jak widzisz, ma trudności ze scenariuszem.

Merry jęknęła boleśnie.

- O rany, dlaczego nic mi nie wychodzi?- poskarżyła się.

- Cokolwiek zrobisz i tak będzie świetne. Jak zawsze. - Patrick z czułością pogłaskał ją po ramieniu. - Zaraz przygotuję kamerę.

Merry odwróciła się, chcąc mu podziękować za wsparcie, i jej wzrok padł na torby z zakupami w rękach Patricka. Musiały je zauważyć równocześnie z Francine.

- Daj mi te torby, znajdę jakieś miejsce i przechowam ci je - zaproponowała przyjaciółka.

Słowo „dziękuję” ugrzęzło Merry w gardle.

- Robiłeś zakupy? - zapytała po chwili.

- Jest Wigilia Bożego Narodzenia. Musiałem co nieco dokupić - wyjaśnił, sięgnął po swój sprzęt i wyszedł z wozu.

- Nie dotarło do niego ani jedno moje słowo - mruknęła Merry.

- Ja też nic nie słyszałam - zdziwiła się Francine. - Mówiłaś coś?- Nie przejmuj się, to tylko moje fanaberie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Gdy reportaż na żywo dobiegał końca, Patrick zrobił zbliżenie na Meny. Wokół niej uformował się tłumek ludzi z wypchanymi torbami i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Merry porzuciła pierwotne pomysły i w porę przestawiła się na audycję o optymistycznym wydźwięku. W prowadzone na żywo wywiady zręcznie wplotła nagrany wcześniej materiał, wyłuskując z niego odpowiednie fragmenty - Kelly opowiadającą z entuzjazmem o poszukiwaniu idealnego prezentu, Ronalda z kieszonkowym przeznaczonym na upominek dla brata i kasjerkę zastępującą samotną koleżankę.

Na zakończenie Merry błysnęła do kamery białymi zębami, a Patrick, który wielokrotnie oglądał ją na małym ekranie, ani przez chwilę nie miał wątpliwości: widzowie będą przekonani, że uśmiecha się specjalnie do nich. Już do końca reportażu trzymał ją w kadrze.

183

- Relację z galerii handlowej King's Mall, której klienci uznali, że lepiej jest dawać niż otrzymywać, przekazała Merry Deluca z wiadomości WZLM -13 - zakończyła wreszcie. Patrick, zadowolony z dobrej roboty, zdjął słuchawki i odłączył kabel łączący kamerę z wozem transmisyjnym.

Kątem oka obserwował Merry, która, jak zwykle z wdziękiem i humorem, rozmawiała z klientami galerii; tylko ktoś, kto ją znał tak dobrze jak on, mógłby poznać, że jest zdegustowana i zła.

- Dziękuję bardzo - zwróciła się do starszej pani, która pochwaliła ją za zawarte w programie przesłanie. - Tak, Boże Narodzenie to wspaniały okres.

Patrick uśmiechnął się do siebie; jakże inaczej zareagowałaby miła staruszka, gdyby Merry zrealizowała swój pierwotny pomysł. Idąc do wozu, przeszedł obok nich i usłyszał:

- Nie ma dla mnie znaczenia, czy dostanę jakiś prezent. Największą radość sprawia mi widok szczęśliwych twarzątek moich wnuków, gdy rozpakowują upominki ode mnie.

Meny zastrzygła uszami.

- No właśnie, ile dokładnie prezentów kupiła pani dla wnuków?- Och, sama nie wiem. Już dawno przestałam

liczyć. Ale zapewniam panią, że składzik w piwnicy, gdzie je przechowuję, pęka w szwach.

- Skoro pani tyle już kupiła - ciągnęła Merry ożywionym głosem - to co sprowadziło panią do centrum?

Starsza pani zaśmiała się serdecznie.

- Wyprzedaż, przeceny, moja droga. Właśnie dziś można znaleźć mnóstwo wspaniałych okazji! Dzięki temu zaoszczędziłam sporo pieniędzy.

- Nie uważa pani, że przeceny to tylko zręczny chwyt reklamowy? Wmawia się klientowi, że oszczędza pieniądze, podczas gdy tak naprawdę to je wydaje?

Nieszczęsna kobieta wyraźnie się speszyła. Ściągnęła brwi, podrapała się po głowie i zaczęła się jąkać. Wyraźnie potrzebowała pomocy.

- Każdy jest przygotowany, że wyda przed świętami trochę pieniędzy - wtrącił się Patrick.

- Dzięki wyprzedażom mogę wydać ich trochę mniej.

Nie zważając na potępiające spojrzenie Merry, zwrócił się do starszej pani:

- Jestem Patrick MacFarland, operator Merry.

- Jaki przystojny młody człowiek! I jaki mądry! - zachwyciła się nieduża kobieta, uosobienie dobrej babuni. - Wyjął mi pan z ust te słowa.

Babcia - tak zaczął myśleć o kobiecie Patrick

- zaczęła opowiadać, jak to kupiła dla wnuczków śliczne wełniane rękawiczki z jednym palcem z dwudziestoprocentowym rabatem. Kiedy doszła do malowanych metalowych puszek z prażo-

ną kukurydzą, które udało jej się zdobyć z dziesięcioprocentową zniżką, Merry wycofała się grzecznie z rozmowy i posyłając Patrickowi cierpki uśmiech, poszła do wozu transmisyjnego.

Kiedy wróciła, babcia razem z niedobitkami tłumu już sobie poszła. Zielone oczy Merry ciskały gromy.

- Byłabym ci wdzięczna, gdybyś w przyszłości nie psuł mi wywiadów - wycedziła.

- Niczego takiego nie robię. Spojrzała na niego hardo.

- Kiedy wreszcie znalazłam kogoś, kto pasował jak ulał do tematu, jaki sobie wymyśliłam rano, nie wytrzymałeś i podsunąłeś jej łatwe rozwiązanie! Czy to nie jest sabotaż?-

Patrick doszedł do wniosku, że Merry chyba zwariowała. Przecież chce ją odzyskać, a nie rozgniewać.

- Czyżbym coś przeoczył?- Według mnie podsumowałaś reportaż zdaniem, że lepiej jest dawać, niż otrzymywać.

- Tylko dlatego, że nikt z dotychczasowych rozmówców nie ukazał tak dobrze jak ta babcia, do jakiego stopnia komercja i konsumpcja skaziły święta Bożego Narodzenia.

- A czy nie uderzyło cię, że tak mało ludzi podziela twój punkt widzenia?- Ale wreszcie ta babcia powiedziałaaby prawdę. A ty musiałeś mi to zepsuć.

- Chyba niedokładnie jej słuchałaś.
- Przecież twierdziła, że kupiła dziesiątki prezentów, i że to jeszcze nie koniec - warknęła Merry.
- Ale wszystko po to, żeby zobaczyć radość na twarzach swoich wnuczków - odciął się Patrick. - Trudno byłoby z tego zrobić reportaż o zgubnych skutkach komercjalizacji. Merry nie odpowiedziała, ale sądząc po łagodniejszym wyrazie jej twarzy, chyba coś do niej dotarło.
- Może to nie było dokładnie to, czego szukam, ale prawie - przyznała po chwili.
- Gdybyś mi powiedziała, czego naprawdę szukasz, kotku, może mógłbym ci pomóc - zaproponował najłagodniej, jak umiał. Popatrzył jej głęboko w oczy i odnalazł tę wspaniałomyślną dziewczynę o czułym sercu, w której się zakochał. Ale po chwili Merry odwróciła się i kontakt został przerwany.
- Będę wiedziała, kiedy się na to natknę - powiedziała. - Jeszcze trochę, a centrum przestanie być taką oazą szczęśliwości. Zaręczam ci, że nie każdy lubi zakupy. Z wozu wynurzyła się Francine i zmierzała w ich stronę na tyle szybko, na ile pozwalała jej ciąża.
- Zobaczymy się później - zawołała. - Powiedzmy, że wrócę do pracy o piątej. Może być<?

187

- Co się tak spieszysz?- Myślałam, że zjemy razem lunch - zmartwiła się Merry.

Prawie się nie zatrzymując, Francine szybko wyjaśniła:

- Przykro mi, kochanie, ale zjadłam kanapkę w wozie, a teraz pędzę, żeby jeszcze kupić to i owo.

- Myślałam, że już zrobiłaś zakupy.

- Muszę jeszcze coś znaleźć dla bliźniaków. Pa. Zobaczymy się wkrótce.

- Nie mogę uwierzyć, że ona też idzie na zakupy. - Niedowierzenie w głosie Merry byłoby może bardziej uzasadnione, gdyby dom handlowy, obok którego się znajdowali, nie był przeznaczony specjalnie do tego celu.

- A co w tym dziwnego? - zapytał Patrick. - Poza tym na pewno dostała zgodę od Betsy.

Przecież w Wigilię Bożego Narodzenia wszystko odbywa się na wariackich papierach.

Gdyby coś się wydarzyło i trzeba było to nadać, zawsze mogą ją wezwać przez komórkę.

Poza tym... - Coś mu przyszło do głowy i szybko złapał nadarzącą się okazję. - Na lunch możesz iść ze mną.

- Nie jestem głodna - powiedziała Merry, zanim do niej dotarło, że wpadła we własne sidła. Na widok jej skruszonej miny Patrick się roześmiał.

- Daj spokój - powiedział, ujmując ją pod ramię. - Za to ja jestem głodny.

Gdyby Merry zjadła rano śniadanie, odmówiłaby pójścia z Patrickiem na lunch.

I nie paradowałaby z nim za rękę przez centrum King's Mall, podobno dlatego, żeby nie zgubić się w tłumie.

Nie musiałyby się również przejmować, że ciepło jego dłoni przenika jej ciało i dociera prawie do serca.

Jak na ironię, nie mogła się od niego oderwać. Gdyby Patrick wiedział, jak silnie działa na nią jego dotyk... I co z tego, zreflektowała się; przecież nie zmienię z tego powodu swojej decyzji.

Zachowuj się swobodnie, nakazała sobie. I chłodno. Niech sobie nie myśli, że ci jeszcze na nim zależy.

- Musisz iść tak blisko mnie? - mruknęła.

Roześmiał się, ukazując odrobinę krzywy dolny ząb, który z niewiadomego powodu jeszcze dodawał mu uroku. Kiedy się odezwał, jego ciepły oddech połaskotał szyję Merry.

- W sklepie jest straszny tłok, kotku. Nie chcę cię stracić - wyjaśnił, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Tłum przed nimi zgęstniał; jak się okazało, nie bez powodu. Przed wystawą, wyglądającą jak kraina Królowej Zimy, ustawiała się kolejka dzieci. Sztuczny śnieg, cukrowe biało-czerwone laski i krasnoludki tworzyły świat jak z bajki. Niektóre dzieci czekały, żeby porozmawiać ze świętym Mikołajem, inne ustawiły się w kolejce, by przejechać się miniaturowym pociągiem.

Radosny, podniecony gwar dzieciaków - to był materiał na reportaż, nawet jeśli chodziło tylko

o zarzucenie świętego Mikołaja masą próśb o prezenty.

Gry wideo, lalki Barbie, łyżworolki, sterowane pilotem autka, elektroniczne kolejki... i tak w nieskończoność.

Wzrok Merry skupił się na brodatym starcu na tronie. Nawet z odległości trzydziestu metrów widać było, że ma zatroskaną minę.

- Ten święty Mikołaj nie wygląda na szczęśliwego - powiedziała. - Spróbujmy z nim pogadać i go nagrać.

- Chcesz pokazać naburmuszonego świętego Mikołaja?- On najlepiej wiejący pazerni stają się ludzie w te święta.

- Może później - zaproponował Patrick. - Teraz nie damy rady przedrzeć się przez ten tłum. Poza tym chyba zapomniałaś, że zabieram moją narzeczoną na lunch.

- Byłą narzeczoną. I nie zachowuj się, jakby chodziło o randkę. Idziemy tylko do baru.

- Wolę bar z tobą niż pięciogwiazdkową restaurację z kimś innym - zadeklarował z przejęciem, a jego głos przyprawił Merry o drżenie.

- Po co mi to mówisz?- - skarciła go na wszelki wypadek.

- A jak inaczej mam cię przekonać, żebyś do

mnie wróciłaś - Delikatnie ścisnął ramię dziewczyny.

- Komplementy nic ci nie pomogą - rzuciła, z trudem ukrywając wzruszenie.

- No to chociaż zlituj się nad biednym Irlandczykiem - podkreślił tak ulubiony przez nią akcent - i podsuń pomysł, jak bym cię mógł przekonać.

Merry uśmiechnęła się wbrew sobie. Kiedy Patrick postanawiał być czarujący, a działo się tak prawie zawsze, gdy na czymś mu zależało, nie sposób było mu się oprzeć. Uświadomiła sobie, jak bardzo jej go brakowało przez ostatnie miesiące, odkąd zaczął spędzać tyle czasu w nowej pracy.

- Jedyne, czego mi w tej chwili potrzeba, to coś do zjedzenia. Umieram z głodu.

- Więc trzeba cię nakarmić. - Kiedy skręcili za róg do baru i stanęli na końcu długiej kolejki, Patrick nadal ścisnął jej ramię.

- Cholera, ale tłumy! Czy ci ludzie nie wiedzą, że mogą robić zakupy przez Internet? - Że zamiast stać tutaj, powinni upiec ciasto na święta? - mruzczała pod nosem Merry. - Gdzie się podziały ich priorytety? - Jestem przekonany, że większość z nich ma już za sobą takie rzeczy. A ty? - Upiekłaś coś na święta? - A żebyś wiedział, że upiekłam!

Wczoraj wieczorem - oburzyła się. - I to dużo.

- Hmm... Może byś mnie zaprosiła?

Już chciała się zgodzić, kiedy sobie przypominała, że nie powinna. Przecież z nim zerwała. Jak mogła o tym zapomnieć?- Nic z tego - powiedziała niezbyt przekonująco. Szybko zmieniła temat. - Skupmy się na chwili obecnej, dobrze?- Która kolejka wygląda na najkrótszą?-

Rozejrzeli się wokół i ustawili się do stoiska z pizzą. Kolejka posuwała się dość zwawo, aż wreszcie przed nimi została tylko jedna osoba.

- Dwa kawałki pizzy i lemoniada - powtórzył kilkunastoletni kasjer o sympatycznym wyglądzie i wybił należność.

Mężczyzna przed nimi sięgnął do kieszeni, cofnął rękę i nerwowo poklepał się po spodniach.

- Zginął mi portfel! Jak to możliwe?- Jeszcze piętnaście minut temu miałem go przy sobie! Merry natychmiast pomyślała o grasujących w tłumie kieszonkowcach, wypatrujących potencjalnych ofiar.

- Och, to fatalnie - zmartwił się miły kasjer.

- Coś panu powiem. Niech pan weźmie tę pizzę, a zapłaci później.

- Dziękuję, ale nie mogę się na to zgodzić.

- Mężczyzna naprawdę wyglądał na załamane. - Rano zrealizowałem czek z dwutygodniową wypłatą i wolałbym nie brać niczego na kredyt. Nie mogę uwierzyć, że wszystko straciłem.

- Może wcale pan nie stracił. - Patrick stanął przy ladzie. - Warto zajrzeć do biura obsługi sklepu. W końcu mamy Boże Narodzenie. Nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś oddał pański portfel.

Na twarzy mężczyzny pojawiła się nadzieja.

- Oby pan miał rację - zawołał i poszedł szybko we wskazanym przez kasjera kierunku.

- I bardzo dziękuję za radę - rzucił przez ramię.

- Też mam nadzieję, że odzyska swój portfel

- powiedziała Merry, kiedy kasjer nakładał pizzę na papierowe talerzyki. - Obawiam się tylko, że bez pieniędzy.

- Dlaczego tak mówisz? - Bo wątpię, żeby znalazca oparł się takiej pokusie.

- Co za cyniczne podejście! Już wiem, skąd wzięły się twoje poranne problemy - zauważył Patrick. - Ale sądziłem, że zmieniłaś zdanie.

- Poczekajmy do zamknięcia centrum - zastrzegła się Merry, siadając przy dwuosobowym stoliku. - Mamy ponad sześć godzin na zdobycie materiału, który potwierdziłby moją tezę.

- Sześć godzin, żeby znowu się zejść - uzupełnił, w gryzając się w pizzę. - Kiedy wolisz odwiedzić moich rodziców? Dzisiaj wieczorem czy jutro? - Nie wybieram się do twoich rodziców, Patrick - oznajmiła, żałując w głębi ducha, że musi podjąć taką decyzję.

Rodzice Patricka mieszkali na obrzeżach Wins-ton-Salem, w skromnym domu, w którym podczas świąt kłębiły się tłumy krewnych. Przekonała się o tym osobiście, kiedy odwiedziła ich z okazji Dnia Dziękczynienia. Rodzice, trzy siostry, brat, szwagier, szwagierka i szóstka małych kuzynów - taka masa ludzi początkowo przeraziła Merry. Szybko jednak oczarowała ją rodzinna atmosfera. Wiedziała, że w Boże Narodzenie będzie podobnie. Już sobie wyobrażała tradycyjne irlandzkie święta z celtycką muzyką, faszerowanym indykiem, w radosnym i pełnym miłości nastroju. Żałowała, że nie może w nich uczestniczyć.

- Dlaczego, Merry?- - zmartwił się Patrick.

- Moja rodzina jest trochę dziwna, to fakt, ale myślałem, że ich lubisz.

Dziwna?- Rodzina Patricka jest cudowna.

- Bo naprawdę lubię. Ale gdybym ich odwiedziła, pomyśleliby, że jesteśmy znów razem

- odpowiedziała, a widząc, że Patrick odwraca wzrok, dodała, mrużąc oczy. - Czyżbyś im nie powiedział, że ślub odwołany?-

Patrick niepewnie wzruszył ramionami.

- Przecież wiesz, że mama i tata cię uwielbiają, Merry. Nie chciałem im robić przykrości.

Merry trochę zmiękła. No, bo czy można się złościć na mężczyznę, który bardziej się troszczy o odczucia najbliższych niż o swoje własne?

- Poza tym - ciągnął - nie widziałem sensu informowania ich, że nie jesteśmy razem, bo zakładałem, że niedługo znów się zejdziemy.

Merry usztywniła się.

- Nie spędzę Bożego Narodzenia z twoją rodziną, Patrick - powiedziała dobitnie.

- Wolisz święta we dwoje?- Nie we dwoje! A już na pewno nie z tobą!

- Ucięła rozmowę, machnąwszy ręką.

- Nie mów tak, kotku. Jak możesz spędzić święta beze mnie?- Chyba nie dołączysz do rodziców na Tahiti?- Nie. - Merry stłumiła przelotny ból; rodzice nigdy jej nie zaproponowali wspólnego wyjazdu.

- Mam inne plany.

- Jakie- Będę z Francine i jej rodziną.

- To lepsze, niż gdybyś miała zostać sama, ale w taki ważny dzień powinno się przebywać z ludźmi, którzy nas kochają.

- Francine mnie kocha.

- Nie tak jak ja. - Sięgnął przez stół i przykrył ręką jej dłoń. Długo nie odrywał od Merry gorącego wzroku.

Zabrała rękę.

- Nie utrudniaj mi tego wszystkiego jeszcze bardziej, Patrick.

- Nie potrafię inaczej, Merry. - Cała dotychczasowa niefrasobliwość zniknęła z jego twarzy.

195

- Nie rozstawajmy się, Merry. Spróbujmy dojść do porozumienia. Merry wstała.
- W pewnych kwestiach nigdy się nie dogadamy - westchnęła.
- W jakich kwestiach?- I nie zaczynaj znów o tych gołębiach. Ani o orkiestrze symfonicznej. Te sprawy nic dla mnie nie znaczą. Liczysz się tylko ty.

Odwróciła się i patrzyła na niego, kiedy wstawał z miejsca i podchodził do niej. Widziała go dziwnie wyraźnie: bardzo czarne włosy, bardzo niebieskie oczy i ta determinacja na jego twarzy. Patrzenie na niego niemal sprawiało jej ból.

- Wcale mnie nie znasz - powiedziała.
- To poznam. Tylko mi na to pozwól.
- Może jednak poprzestańmy na stwierdzeniu, że ty i ja różnimy się zasadniczo.

Próba przekonania jej nie powiodła się. Przeczesywanie centrum w poszukiwaniu idealnego prezentu było świetnym pomysłem, ale zajmowało wiele czasu. Poza tym było dowodem jego miłości do Merry, a on potrzebował teraz czegoś, co by przekonało ją, że ona także go kocha.

Szukając natchnienia, podniósł wzrok i spojrzał na sufit ogromnego centrum handlowego. Nagle chwycił Merry za rękę i pociągnął ją za sobą. Uznał, że rozpaczliwe sytuacje wymagają desperackich zachowań.

196

- Czy możesz puścić moją rękę, Patrick?- - zapytała.

- Nie - odpowiedział i poprowadził ją dalej, aż doszli na miejsce.

Ustawił Meny w odpowiednim punkcie i osłonił własnym ciałem przed miotającymi się wokół klientami.

- Przepraszam, chłopie - powiedział facet, który zderzył się z nim niechcący, i poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

- Co ty wyprawiasz, Patricka - zaniepokoiła się Merry. - Nie będziemy przecież stać pośrodku sklepu. Ludzie będą na nas wpadać.

Ale jakoś wszyscy obchodzili ich grzecznie naokoło, wcale nie narzekając.

- Zamierzam zrobić coś drastycznego - uprzedził Patrick.

- Podejrzewam, że raczej coś głupiego. Nie rozumiem...

- Spójrz do góry, to zrozumiesz. - Przyciągnął ją jeszcze bliżej i pocałował pod jemiolą.

Wargi Merry były już rozchylone, więc skorzystał z tego i pogłębił pocałunek, zanim zdążyła zaprotestować. Całował ją już tysiące razy, a jeszcze częściej o tym marzył, ale za każdym razem działo się z nim to samo.

Zatracił się w tych pocałunkach.

Także teraz wszystko wokół zatarło się i znikło. Zapomniał o otaczającym ich tłumie, czuł się

tak, jakby był sam, jakby poza nimi nikogo nie było na świecie.

Splatając palce ich dłoni, wolną ręką pieścił jedwabiste pasemka jej włosów, muskał policzek, delektując się jego gładkością.

Nie tylko on zapomniał o bożym świecie; Merry także.

Przycisnęła dłoń do szaleńczo bijącego serca Patricka, by po chwili przesunąć ją wyżej i objąć go za szyję. Trzymała go tak mocno, jakby to ona bała się go stracić.

Namiętność, która zawsze towarzyszyła ich pocałunkom, w połączeniu z oszołomieniem i z miłością sprawiła, że Patrick przestał myśleć o wszystkim poza Merry... aż zdał sobie sprawę, że zamiast bicia dzwonów weselnych słyszy oklaski.

Meny też musiała je usłyszeć, bowiem wyglądała na zażenowaną, kiedy na nią spojrział.

Oszołomioną i podnieconą, ale i zażenowaną.

- Słyszysz te brawa? - zapytała bez tchu. Wyglądała nieprawdopodobnie pociągająco - czerwone, obrzmiałe od pocałunku wargi, rozwichrzone włosy...

Skinął głową. Nie tylko brawa, ale i pojedyncze gwizdy. Powoli, nie wypuszczając Merry z ramion, rozejrzał się wokoło.

Niektórzy ludzie przystanęli i gapili się na ich pocałunek. Inni bili brawo, przechodząc dalej.

Rudy i piegowaty chłopczyk, najwyżej czternastoletni, gwizdnął z uznaniem.

- Dziękuję - skłonił się szarmancko Patrick całej publiczności. - Bardzo dziękuję.

- Chciałabym, żeby mój chłop tak mnie całował - uśmiechnęła się szeroko przechodząca obok kobieta.

- On jest moim byłym chłopem - odzyskała głos Merry.

Ale kobieta już jej nie usłyszała, za to Patrickowi spodobało się użyte przez nią określenie.

- Teraz też jestem twoim chłopem, i to jeszcze jak, kotku. A sądząc po pocałunku, zaraz zapomnisz o słowie „były”.

Ponętne usta Merry zwężyły się i dziewczyna wyszarpnęła się z jego ramion.

- Co się tak gapicie? - rzuciła w kierunku anonimowych widzów. - Idźcie robić zakupy.

Zostało wam już niecałe sześć godzin.

- Zaraz, zaraz, czy ty nie jesteś przypadkiem tą telewizyjną reporterką? - zapytał ktoś.

- A bo co - warknęła i złapała Patricka za rękę, żeby znów się włączyć w anonimowy strumień kupujących. Patrick stłumił śmiech. Najwyraźniej Merry nie zauważyła, że kazała swojej widowni robić dokładnie to, na co przez cały dzień pomstowała.

- To było niegodziwe - syknęła.

- Co, całowanie się pod jemiolą?

199

- Zaciągnąłeś mnie pod nią podstępnie.

- Nie przyznaję się do niegodziwości, najwyżej do desperacji. Musiałem coś zrobić, żeby udowodnić, że nadal mnie kochasz.

- Udowodniłeś najwyżej tyle, że nadal mnie pociągasz - wycodziła.

Nie wierzył jej. Całował w swoim życiu wiele kobiet i umiał odróżnić miłość od pożądania.

Pocałunek Merry był podniecającą mieszanką jednego i drugiego.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Były narzeczony doprowadzał Merry do szału. Tylko dlaczego był taki cholernie seksowny? - Na samą myśl o nim kuliły jej się palce u nóg, a serce biło żywiej. To cud, że po tym koszmarnym, odurzającym pocałunku w ogóle jest w stanie chodzić.

Tyle że nic by nie dało, gdyby chciała mu uciec. W takim tłoku nie odbiegłaby daleko. A poza tym jakaś część jej serca?... duszy?... umysłu?... nie miała na to ochoty. I to ją najbardziej niepokoiło.

Rozpamiętując ich związek, doszła do wniosku, że jej obawy co do ich przyszłości zaczęły się po tym, jak Patrick podjął pracę w The Goulden Group. Oddał się robieniu pieniędzy, a to nie należało do priorytetów Merry.

Wyobraziła sobie przyszłe życie z Patrickiem, poświęcającym coraz więcej czasu i energii zarabianiu pieniędzy i coraz mniej ich wspólnemu domowi. A taki związek jej nie odpowiadał.

201

Wolała więc go zerwać, póki jeszcze nie było za późno.

Co z tego, kiedy powody, dla których przyjęła jego oświadczyzny, nie zmieniły się. Patrick był dobry i czuły, seksowny i uroczy. Czuła się przy nim szczęśliwa. Zwłaszcza gdy ją całował. Na chwilę zamknęła oczy, zła na siebie, że nie potrafi pozbyć się tego wspomnienia.

Postanowiła skoncentrować się na pracy. Zatrzymała pierwszą z brzegu kobietę i zadała jej parę pytań, podczas gdy Patrick czekał cierpliwie obok.

- Specjalnie unikam zakupów aż do Wigilii Bożego Narodzenia, bo dopiero wtedy wstępuje we mnie prawdziwie świąteczny duch - zwierzyła się młoda matka uczesana w koński ogon.

Następne wywiady też nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Trzy uczennice bez pieniędzy przyszły tu tylko po to, by nacieszyć się radosną atmosferą. Pewien ojciec w średnim wieku przyprowadził dwie urocze córeczki, żeby zobaczyły świętego Mikołaja. I prawie wszyscy mieli nadzieję, że spadnie śnieg, chociaż położenie geograficzne dawało Charlotte minimalne szanse na białe święta.

- Jak myślisz, do kogo moglibyśmy się jeszcze zwrócić?- - zapytał Patrick.

- Centrum jest teraz bardziej zatłoczone niż przed paroma godzinami - skonstatowała Merry.

- Najlepiej byłoby się przejść do działu z kryształami i ze szkłem. Na pewno tam będzie najdłuższa kolejka. Zobaczymy, do czego jest zdolna niczym nie skrepowana natura ludzka.

- Co masz na myśli, kotku?-

Znów to „kotku”! - pomyślała Merry. Najchętniej zatkałaby uszy, gdyby to nie było takie dziecinne.

- Chodź ze mną, a przekonasz się sam. - Zawróciła pod kątem prostym; minęła trzy czy cztery kolejki, w których ludzie składali hołd artykułom gospodarstwa domowego, aż wreszcie się zatrzymała. - Tu będzie dobrze - oznajmiła z satysfakcją. - Postójmy z boku, zanim do kogoś podejdziemy. W tak długiej kolejce wkrótce może się zrobić niebezpiecznie.

- Uważasz, że ludzie zaczną być niemili, kiedy się zmęczą czekaniem?

- No właśnie - odpowiedziała Merry, nie zważając na niedowierzanie w głosie Patricka.

- Mógłbyś trzymać kamerę w pogotowiu? - Będziemy udawać, że rozglądamy się za kieliszkami do wina.

Merry wskazała ruchem głowy zestaw różnych kieliszków: w kształcie tulipana do białego wina, większych i zaokrąglonych do czerwonego oraz wysokich, wąskich fletów do szampana.

Patrick zawahał się chwilę i już myślała, że storpeduje jej sugestię, kiedy podszedł do półki

203

i zdjął z niej karton z czterema kieliszkami. Oczywiście, wybrał najdroższe.

- Wypijemy z nich za nasz ślub - oznajmił, a Merry spiorunowała go wzrokiem.

- Lepiej się zajmij tym, co do ciebie należy

- warknęła.

- Masz na myśli siebie?- - uśmiechnął się szeroko Patrick.

Od tej pory jednak zachowywał się jak należy, chociaż wyraźnie było widać, że się z nią nie zgadza. Chyba jednak coś było na rzeczy, bo minęło pięć, potem dziesięć minut, i jakoś nikt się nie zirytował. Może poza Merry.

- Nie pojmuję tego - powiedziała. - Stałam w krótszych kolejkach i ludzie zawsze się niecierpliwi.

- Chcesz, żebym ich zdenerwował?- Nie żartuj. Ale już od samej tej muzyki można zacząć chodzić po ścianach. Posłuchaj. W życiu nie słyszałam tak koszmarnych aranżacji kołęd!

- Nie uważam, żeby były aż tak okropne

- sprzeciwił się Patrick.

- A to?- Przecież coś takiego nikomu nie może się podobać - zachnęła się, kiedy rozległa się nowa skoczna melodyjka.

- No to popatrz.

Idąc za jego wzrokiem, Merry spuściła głowę i dostrzegła podrygującą w takt melodii męską stopę.

- Jedna jaskółka nie czyni wiosny - stwierdziła.

- A gdyby było ich więcej? - zapytał Patrick, gdy do wybijania rytmu przyłączyła się stojąca za mężczyzną kobieta w butach na wysokich obcasach.

Po chwili to samo zaczął robić nastolatek w sportowych butach, a także młoda kobieta w drewniakach. A potem przytupywała już prawie cała kolejka: półbuty i botki, pantofle na wysokich obcasach i adidas - wszystkie wystukiwały żwawy rytm.

Merry popatrzyła z niedowierzaniem, gdy ostatni w kolejce, przysadzisty mężczyzna w okolicach pięćdziesiątki, zawtórował muzyce na całe gardło:

- La, la, la, la...

Przytupujący ludzie odwracali się i uśmiechali do niego, a on odpowiadał uśmiechem.

Również wargi Merry nieświadomie zaczęły układać się w uśmiech. Ale w tym momencie Patrick ustawił się z kamerą i przerwał jej trans.

- Nie o taki materiał mi chodzi - szybko się otrząsnęła.

- Ale to jest za dobre, żeby to pominąć - zaprotestował Patrick i wziął się do pracy.

Po paru chwilach stopniowo przyłączający się do chóru ludzie prawie zagłuszyli muzykę.

- I co ty na to? - zapytał Patrick, kiedy melodia dobiegła końca. - Fonię możemy potrak-

tować oddzielnie, ale może byś porozmawiała z facetem, który zaintonował kolędę?- Nie zamierzam robić z nim wywiadu - obruszyła się Merry. - Przecież powiedziałam, że mam inny pomysł na program.

- A jeżeli to nie jest najlepszy pomysł? - Pochylił się tak blisko, że poczuła na szyi jego oddech. - Gdzie twój świąteczny entuzjazm?- Na pewno nie w tym budynku - burknęła, nie znajdując bardziej przekonującej odpowiedzi. - Może byś mi wreszcie pomógł znaleźć coś, co by pasowało do mojego reportażu.

- Jasne, jasne - odrzekł, ale jakoś bez przekonania. Prawdę mówiąc, również Merry stopniowo traciła zapał.

Jak to się stało, do diabła?

Patrick nie mógł zrozumieć, skąd u Merry ta niechęć do niego i pesymistyczne spojrzenie na święta.

Wprawdzie nie bardzo potrafiła ukryć, co do niego czuje, zwłaszcza kiedy ją całował, i w końcu musiałaby chyba przyznać, że dzisiaj w King's Mall panuje powszechna życzliwość. Przez kolejną godzinę trafiali wyłącznie na radosnych i pogodnych klientów, nie mogących stanowić pożywki dla reportażu Merry. Potem zadzwoniła Francine i zaproponowała spotkanie przy pomarańczowych delicjach.

Merry gotowa była się zgodzić, Patrick zaś oświadczył, że później do nich dołączy. Na wypadek, gdyby do Merry jeszcze nie dotarło, jak bardzo ją kocha, postanowił kontynuować poszukiwanie idealnego bożonarodzeniowego prezentu.

- Czy to na pewno najlepsza rakietka na rynku /- zapytał sprzedawcę w sklepie sportowym, sprawdzając dłonią prawdziwy, tradycyjny naciąg.

- To produkt najwyższej jakości - zapewnił sprzedawca. - Rama jest z tytanu i grafitu. Dzięki temu w zetknięciu z piłką rakietka w miejscu przewężenia nabiera potężnej mocy. Lepszej pan nie znajdzie.

Patrick kupił bezcenną rakietkę i przerzucił ją przez ramię razem z tenisową torbą, którą przy okazji dołączył do rakietki.

Wreszcie miał idealny prezent dla Merry. Powinien był wcześniej wpaść na ten pomysł.

Merry grywała w tenisa w miejscowym klubie i twierdziła, że żadna dyscyplina sportowa nie sprawia jej tyle radości.

Tymczasem przed wyjściem z działu sportowego satysfakcję z zakupu zmaćniała mu wysoka brunetka, pasjonatka tenisa. Tenisistka wdała się z nim w krótką, acz fachową rozmowę, a gdy jej powiedział, że rakietka jest prezentem dla narzeczonej, uznała, że postąpił po prostu, bo prawdziwy tenisista zawsze wybiera rakietkę sam.

Zajrzał jeszcze do sklepu ze sprzętem elektronicznym. Zastanawiał się nad kupnem Xboxa; sam uwielbiał gry wideo, zwłaszcza te z gwiazdnymi wojnami, ale zestrzeliwanie przybyszów z kosmosu nie należało do pasji Merry. A gdyby tak wziąć iPod'a? Tak, to by jej się spodobało. Zdecydował się więc na luksusowy model, który mógł zapamiętać pięć tysięcy melodii. Kiedy szedł z nim do kasy, czuł, że dokonał dobrego wyboru.

- Ma pan szczęście, bo to już ostatni- poinformował go sprzedawca. - Te akcesoria szły przed świętami jak woda.

Patrick skrzywił się, słysząc, że oto wybrał podobnie jak większość ludzi, ale na wszelki wypadek zatrzymał iPod'a.

Potem oddał raketę, zrezygnował z perfum i sfilmował dzieci stojące w kolejce do świętego Mikołaja.

Na koniec zawędrował do sklepu z różnymi dziwacznymi gadżetami, gdzie omal nie zakręciło mu się w głowie od migotania lamp lava. Te bajecznie kolorowe lampy, wykonane z wosku, dawały niezwykle wrażenia wizualne.

- W czym mogę pomóc? - zapytał ekspedient, kiedy w sklepie na moment zrobiło się spokojniej.

W Patricka wstąpił nowy duch. Tyle tu było niezwykłych przedmiotów!

- Szukam idealnego prezentu dla pani mojego serca.

- Jak wszyscy w King's Mall - uśmiechnął się sprzedawca. Zasugerował biustonosz z cukrowej masy, kajdanki z futra, karty do gry z rozebranymi facetami, ale Patrickowi nic nie przypadło do gustu.

Bardziej poszcęściło mu się w Kuchennych Atrakcjach, gdzie kupił domowy grill z wymiennym rusztem. W Imperium Zabawek dorzucił jeszcze wypchaną różową świnkę, pamiętając, że Merry ze wszystkich zwierząt najbardziej lubi świnię. Ta na dodatek kwiczała, kiedy się ją naciskało.

- Ta świnka jest naprawdę fajna - uśmiechnęła się młodziutka sprzedawczyni. - Ale najlepiej sprzedają się te małpy - wskazała na półkę z długowłosymi zwierzakami. - Strasznie zabawnie skrzeczą.

- No to wezmę, jeszcze i to - zdecydował Patrick.

Dopiero gdy opuszczał sklep i niechcący zderzył się z innym klientem, a torba z nowymi nabytkami zakwiczała, uznał, że tak naprawdę to ciągle nie wie, czego szuka dla Merry...

- Straszna miałam frajdę przez te dwie godziny. - Rozpromieniona Francine spojrzała na Merry znad szklanki z napojem pomarańczowym. - Zadzwoiłam do ciebie tylko dlatego, że rozboleły mnie nogi.

- Ach, tak? Serdeczne dzięki - prychnęła Merry, na co Francine się roześmiała.
 - Słowo daję, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Po prostu musisz wiedzieć, że trafiałam na fantastyczne okazje i że świetnie mi szło. Gdyby nie ciąża i bolące nogi, nie odrywałabym się od zakupów. Kiedy skończymy te pyszności, spróbuję posiedzieć na jednym z tych relaksujących foteli, żeby jeszcze z godzinę pobuszować po centrum.
 - Aż tak ci na tym zależy?
 - No pewnie! Czasami trudno niii uwierzyć, że tak nie lubisz zakupów. Zdobyłam renifery, którym świecą się nosy, kiedy dmuchasz im w uszy. Znalazłam też dla bliźniaków genialne dwuczęściowe kombinezony z napisem University of North California.
 - Przepraszam, że przerywam, ale gdzie je pani znalazłaś - zapytała kobieta przy sąsiednim stoliku. - Mój mąż studiował na tym uniwersytecie, więc szukam wszędzie ciuszków z takim napisem dla naszego półtoramiesięcznego synka.
- Podczas kiedy Francine ochoczo i z przejęciem informowała nieznajomą, że w tym samym sklepie sprzedają też czapki z napisem UNC, t-shirty i bikini, Merry doszła do wniosku, że przyjaciółka i jej rozmówczyni są najlepszym przykładem ogarniętych przedświątecznym szaleństwem kupujących. Cholerna szkoda, że Francine jako

210

pracownica telewizyjnego kanału WZLM nie może wystąpić przed kamerą.

Wreszcie Francine wyczerpała temat i odwróciła się do Merry.

- Prawdę mówiąc, obolałe nogi nie były jedynym powodem, dla którego cię tu ściągnęłam. Chciałabym się przy okazji dowiedzieć, czy wydarzyło się coś interesującego między tobą a Patrickiem.

Pod dociekliwym spojrzeniem Francine Merry spuściła wzrok.

- Nie, nic się nie wydarzyło - zaprzeczyła kategorycznie.

- Och, nie wygłupiaj się, Merry. Jestem twoją przyjaciółką i widzę, co się dzieje. Gdyby nic nie było, patrzyłabyś mi w oczy, zamiast się czerwienić.

- Okej. No więc coś się zdarzyło. Wziął mnie na lunch.

- 14 - Uniosła brwi Francine.

Merry zawahała się, ale przyjaciółka klasnęła w dłonie i roześmiała się radośnie.

- Pocałował cię, prawda? Nie rób takiej miny. Przecież ci dobrze życzę. Zadzwo niłaś do mnie, kiedy Patrick pierwszy raz cię pocałował. Byłaś wtedy tak samo oszołomiona jak teraz.

- To był tylko pocałunek - zaprotestowała Merry. - To o niczym nie świadczy.

- Świadczy, świadczy. Nie jesteś wcale taka

pewna, czy chcesz zerwać zaręczyny. Na pewno tylko udajesz - odparowała Francine.

- Musi ci strasznie zależeć, żebyśmy się zeszli
- powiedziała z wyrzutem w głosie Merry.
- Żebyś wiedziała. Lubię Patricka. A ty go kochasz.

Merry doszła do wniosku, że jeżeli dzisiejszy dzień spędzony w galerii handlowej nauczył ją czegoś, to tego, że oszukuje samą siebie.

- Kocham, to prawda - przyznała. - Ale to nie znaczy, że powinnam wyjść za niego za męża. Rozległ się cichutki refren „Jingle Bells” z komórki Francine.

- Przepraszam - powiedziała, zanurzyła rękę w przepastnej torbie i wyciągnęła telefon.

Podczas rozmowy jej twarz stawała się coraz smutniejsza. Z ciężkim westchnieniem wrzuciła komórkę do torby.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Merry, kładąc rękę na dłoni przyjaciółki.
- Złe wiadomości. - Francine znów ciężko westchnęła. - To był Doug. Zdaje się, że bliźniaki złapały grype żołądkową.
- Och, nie! To okropne!
- Niestety. Biedactwa. Doug mówi, że bardzo cierpią, ale że chyba sobie poradzi do mojego powrotu. Wygląda jednak na to, że jutro...
- Francine urwała w pół zdania. - Tak, wiem, że to święta, ale chyba nie powinnaś do nas

przychodzić. Nie możesz ryzykować, gdybyś się zaraziła, miałabym cię na sumieniu.

Zresztą... czy aby na pewno nie masz co ze sobą zrobić w święta?

- Nie przejmuj się mną. - Merry poklepała przyjaciółkę po ręce. - Myśl teraz o dzieciach i o sobie. I uważaj, błagam, nie zaraż się. Grypa w twoim stanie byłaby niebezpieczna, nie tylko dla ciebie, ale i dla dziecka.

- Dziękuję, że się o mnie martwisz, Merry - uśmiechnęła się Francine. - Na szczęście posłuchałam lekarza i zaszczepiłam się. Ale co ty ze sobą zrobisz? - Dokąd pójdziesz?

- Już ci powiedziałam, żebyś się mną nie przejmowała. Dam sobie świetnie radę, zobaczysz. Coś sobie zorganizuję.

- Nie widzę nic świetnego w samotnym spędzaniu Bożego Narodzenia. Naprawdę nie masz dokąd... - urwała, po czym zawołała: - Patrick!

- Mowy nie ma - powiedziała Merry. - Ile razy mam ci powtarzać...

Francine nie pozwoliła jej skończyć.

- Chciałam tylko powiedzieć, że właśnie widzę Patricka.

Merry podążyła wzrokiem w kierunku, gdzie spoglądała Francine. Rzeczywiście zmierzał w ich kierunku i jak zawsze na jego widok serce Merry podskoczyło gwałtownie. Francine wstała od stołu i pospieszyła Patrickowi na spotkanie.

Merry tak zatkało na jego widok, że nie zdążyła w porę zareagować. Rozpaczliwie zamachała ręką na Francine, ale było za późno, przyjaciółka odwróciła się już do niej plecami. Jeżeli nie zdarzy się bożonarodzeniowy cud, Francine za chwilę poinformuje Patricka, że Merry nie ma z kim spędzić świąt.

- Mówiłem ci już, Francy, że macierzyństwo ci służy? - zapytał Patrick, gdy Francine znalazła się tuż obok niego.

- Robisz to, ilekroć mnie widzisz. Za to ty jesteś coraz bardziej czarujący. Nie pojmuję, jak Merry mogła pozwolić ci odejść.

- Robię wszystko, żeby to zmienić. Francine nachyliła się do jego ucha.

- Radzę ci jeszcze raz ją pocałować. Coś mi się wydaje, że to działa.

- Wezmę to pod uwagę - podziękował z uśmiechem. - A ty dokąd się spieszysz? -

Właśnie dzwonił Doug z wiadomością, że

chłopcy złapali jakiegoś wirusa. Mam nadzieję, że to nie grypa żołądkowa i że im szybko minie. Może nie całe święta będą zepsute.

Patrick szczerze się zmartwił. Żałował bliźniaków, że mogą ich ominąć cudowne poranne emocje. Pamiętał jeszcze to gorączkowe oczekiwanie i podniecenie, kiedy razem z rodzeństwem budzili się o świcie i jak wariaci zbiegali po

schodach, żeby rozpakować prezenty leżące pod choinką.

- Współczuję wam bardzo, Francine. Mógłbym w czymś pomóc?

- Owszem, mógłbyś - powiedziała stanowczo Francine. - Ale nie wiem, czy ci to powiem, bo jeszcze Merry mnie zabije.

W tym momencie Merry stanęła tuż za przyjaciółką.

- Dlaczego miałabym to zrobić, Francine? - zapytała groźnie. - Chyba nie powiedziałaś czegoś, czego nie powinnaś?-

Kobiety popatrzyły na siebie znacząco, Patrick zaś usiłował odgadnąć, jakiej to tajemnicy nie powinna była zdradzić Francine.

- Właśnie dowiedziałem się od Francy o chorobie bliźniaków - pospieszył z wyjaśnieniem.

- Przykre, prawda- - Merry sama wyglądała na chorą. Bez wątpienia żałowała dzieciaków, ale musiało ją martwić coś oprócz tego. Patrick szybko się domyślił.

- Nie tylko dla malców, ale i dla ciebie. W tej sytuacji nie będziesz chyba mogła spędzić świąt z Francy i jej rodziną - powiedział z niewinną miną.

- To ja już pójdę - oznajmiła pospiesznie Francine. - Muszę się przygotować.

- Przecież wchodzimy na wizję dopiero za dwie godziny - zaprotestowała Merry.

- Mam na myśli przygotowania do świąt. Skoro chłopcy są chorzy, umilę im życie dodatkowymi prezentami.

Przesłała Merry pocałunek w powietrzu i szybko się oddaliła. Merry popatrzyła za nią z wyraźnym niesmakiem.

- Wygląda na to, że twoje plany na pierwszy dzień świąt uległy zmianie - zauważył Patrick.

- Mogę zaplanować coś innego - beztrąsko odpowiedziała Merry, jakby miała co najmniej dziesięć innych możliwości spędzenia świąt.

- Mogę ci coś podpowiedzieć?- Mama i tata będą zachwyceni, jeśli do nich zajrzesz.

- Dopóki się nie dowiedzą, że zerwaliśmy. -Westchnęła i potarła grzbiet nosa. - Chciałabym się z nimi zobaczyć, Patrick. Naprawdę bym chciała. I wiem, że święta w ich domu będą cudowne, ale chyba rozumiesz, że nie mogę tam z tobą pojechać.

- Nie?- No to mam inny pomysł... - Nie dawał za wygraną.

Merry wzruszyła ramionami. W jej bladej twarzy oczy wydawały się jeszcze bardziej zielone.

- Jak ty to robisz, że zawsze znajdujesz na poczekaniu inny pomysł?- Cóż, nie mogę pogodzić się z myślą, że zostaniesz sama na święta, kotku.

Merry westchnęła przeciągle. Jej także perspektywa samotnych świąt nie bardzo się uśmiechała.

216

- No więc, co wymyśliłeś? - zapytała podejrzliwie.

Patrick przysunął się bliżej, wciągając w nozdrza delikatny zapach szamponu Merry i brzoskwiniowego kremu, którego używała co rano. Tak samo pachniała, kiedy się kochali.

- Spędź ten wieczór ze mną - powiedział najbardziej przekonującym tonem, na jaki mógł się zdobyć.

Podeszła do niego, tak jakby i ona pragnęła bliskości. Już zamierzał ją pocałować, kiedy gwałtownie odskoczyła do tyłu.

- Czy to cokolwiek rozwiąże? - zapytała ochryplym głosem.

- Na pewno problem twoich świątecznych planów. Rano obudzisz się u mnie i będziesz mogła spędzić cały dzień w łóżku, a ja zacznę cię przekonywać, żebyś z powrotem włożyła pierścioneł zaręczynowy.

- Patrick... - spojrzała na niego błagalnie. W oczach miała niepewność.

- A gdybyś włożyła go już rano - ciągnął uparcie - moglibyśmy wtedy pojechać do Winston-Salem i nie sprawić zawodu mojej rodzinie.

Kiedy Merry potrząsnęła przecząco głową, poczuł wręcz fizyczny ból.

- A co z twoją przepowiednią, że zejdziemy się, zanim jeszcze zamkną centrum? - zapytała.

- Nadal jest aktualna - zapewnił, nadrabiając

217

miną. - W tej chwili przedstawiłem ci plan awaryjny.

- Będę musiała skorzystać z prawa weta.

- Dlaczego? Chyba nie zaprzeczysz, że nadal cię pociągam, prawda? - powiedział cicho.

- Tak, ale...

Patrick wolał nie słyszeć dalszego ciągu, zwłaszcza teraz, kiedy poczuł maleńką satysfakcję.

- Porozmawiamy o tym później, kotku. Wróćmy lepiej do pracy. Do zamknięcia centrum pozostało niewiele czasu.

I właśnie to go martwiło.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nadal nic nie układało się po myśli Merry. Przeprowadzili razem z Patrickiem wiele rozmów z zachwyconymi, pogrążonymi w szale zakupów klientami. Wszyscy oni stanowili żywe zaprzeczenie poglądu Merry o postępującej komercjalizacji świąt Bożego Narodzenia. Najszczęśliwszy okazał się mężczyzna, który wcześniej zgubił portfel. Liczbą paczek i paczuszek bił na głowę innych. Patrick poradził mu, aby dał ogłoszenie przez radio centrum handlowego. Okazało się, że ktoś oddał portfel z nietkniętą gotówką, a on teraz pragnął podziękować Patrickowi za zbawienną radę.

Jeszcze jedna historia znalazła szczęśliwe zakończenie. Trish DiCaprio, odpowiedzialna za sprawne funkcjonowanie centrum, przekazała Merry informację o chłopczyku, który się zagubił. Kiedy się jednak odnalazł, Trish wytropiła Merry, żeby ją uprzedzić, że rodzina chłop-

ca nie zgadza się na upublicznienie tego wydarzenia.

Merry ucieszyła się i z powodu mężczyzny, który odnalazł portfel, i z powodu odnalezionego chłopczyka. Ale dlaczego, do licha, sama nie poczuła się ani trochę lepiej? Patrick zajrzał akurat do jednego ze sklepików, twierdząc, że musi jeszcze coś kupić, a Merry czekała na niego na zewnątrz, kiedy zabrzęczał jej telefon.

- Witaj, moja droga - rozległ się śpiewny głos Bridget MacFarland. Żeńska wersja irlandzkiego akcentu Patricka. - Jak się miewasz w tę piękną Wigilię Bożego Narodzenia?

- Całkiem nieźle, Bridget - odpowiedziała Merry powoli, próbując jednocześnie odgadnąć cel tego telefonu. Na palcach jednej ręki mogła policzyć telefony od Bridget. - A ty?-

Wszystko w porządku?

- Jak najbardziej. Ale czułam się bez porównania lepiej, zanim nie zadzwonił Patrick, oświadczając, że nie przyjedziecie razem na święta do Winston-Salem.

Merry zacisnęła wargi, żeby nie powiedzieć nic takiego, co pozwoliłoby Bridget pomyśleć, że zmieniła zamiar.

- A czy powiedział, dlaczego? - zapytała, kiedy opanowała pierwszy odruch.

- Mówił, że musisz jutro pracować. Jaka

szkoda! Ale cóż, jestem dużą dziewczynką i wiem, że wiadomości telewizyjne muszą iść każdego dnia. No i rozumiem, dlaczego Patrick nie chce wyjechać z miasta bez ciebie. Dzwonię jednak, żeby ci powiedzieć, że możecie przyjechać w każdej chwili i że zawsze was powitamy z otwartymi ramionami.

Merry poczuła, że coś traci. Kończąc z Patrickiem, zrywała też więzy z jego serdeczną, kochającą rodziną. Patrick nie umiał powiedzieć matce, że zerwali zaręczyny, ale Merry powinna to zrobić. Tak wypadało.

- Tak naprawdę, Patrick i ja nie jesteśmy... - urwała, bo przygotowany tekst nie chciał przejść jej przez gardło - ...do końca pewni naszych planów. Na razie jeszcze wszystko wisi w powietrzu.

- Rozumiem. Nie powinnaś czuć się winna, że nie możesz być tutaj z nami. Dzwonię, żeby ci życzyć wszystkiego najlepszego z okazji świąt i zapewnić, że nam wszystkim będzie ciebie bardzo brakowało.

Serdeczność i ciepło przyszłej teściowej działały nawet przez telefon, i Merry zaszkliły się oczy. Jej rodzice kochali ją, co do tego nie miała wątpliwości. Zapewnili jej najlepsze szkoły, spełniali wszystkie zachcianki, dając nawet więcej, niż chciała.

Ale była późnym dzieckiem, niespodzianką,

która się przytrafiła, gdy między rodzicami już dawno wytworzyła się silna więź. Kiedy zadzwonią do niej jutro z Tahiti, opowiedzą, jak świetnie się bawią, ale nawet nie wspomną, że za nią tęsknią.

- Dziękuję ci, Bridget - wykrztusiła wzruszona.

- Jesteś i zawsze będziesz bardzo mile widziana. - Bridget przerwała na chwilę. - Gdzie teraz jesteś, Merry?- Słyszę gwar i dźwięki kolędy.

- Jestem w centrum handlowym.

- Ach, rozumiem. Uwielbiam centra handlowe, zwłaszcza w Boże Narodzenie. Ciebie też uwielbiam, kochanie. Na wypadek, gdybyśmy się nie spotkały w święta, jeszcze raz życzę wszystkiego najlepszego.

- Wesołych świąt, Bridget - powiedziała Merry i rozłączyła się.

Wzruszona i zamyślona, zauważyła Patricka dopiero, kiedy wyrósł tuż przed nią.

- Co o tym sądzisz?- - zapytał z błyskiem w oku, bardzo z siebie zadowolony; miał na głowie czapkę świętego Mikołaja, którą postawił na sztorc, dodając sobie wzrostu, choć wcale tego nie potrzebował.

- Co sądzę?- Wyglądasz w tym niepoważnie, ot co.

- No wiesz?- Jak można mówić coś takiego wesołemu Irlandczykowi!?- - Udał oburzenie Patrick.

To też nie była cała prawda. Patrick wcale nie wyglądał niedorzecznie. Śmieszna czapka podkreślała bijącą z jego oczu radość, dodawała uroku temu wesołemu i uwielbiającemu żarty mężczyźnie, w którym Merry się zakochała.

- Czy ten twój irlandzki wdzięk działa zawsze i na wszystkich? - zapytała cierpko.

- Jeszcze jak! - uśmiechnął się do niej niezrażony.

- W każdym razie na pewno działa na twoją mamę. Właśnie dzwoniła i życzyła mi wesołych świąt. Była bardzo wyrozumiała, choć trochę się zmartwiła, że muszę pracować w pierwszy dzień świąt.

- Więc już się dowiedziałas o tym drobnym kłamstewku? - - skrzywił się. - Nienawidzę kłamać, ale akurat to było najmniej szkodliwe. Musiałem jakoś usprawiedliwić naszą nieobecność na rodzinnym spotkaniu.

- Nie rozumiem jednak, dlaczego sam do nich nie pojedziesz, Patrick.

- Chyba nie muszę ci tłumaczyć, kotku. - Dotknął jej policzka. - Skoro ty nie jedziesz, to i ja zostanę. Chcę być jutro jak najbliżej ciebie. Nawet jeśli mi powiesz wieczorem, że wszystko skończone, będę jutro czuwał na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie i zapragnęła mojego towarzystwa.

- Och, Patrick... Dlaczego nie chcesz przyjąć do wiadomości, że to naprawdę koniec? - Czy

zrobiłam albo powiedziałam coś, co mogłeś odebrać jako zachęty

- Poza tym dozwolonym od lat osiemnastu pocałunkiem i potwierdzeniem, że bardzo cię pociągam? - Udał, że się zastanawia nad jej pytaniem. - Powiedziałaś mamie, że odwołałaś ślub? - Hmm, nie, ale...

- To już coś! - przerwał. Pochylił się, zbliżył usta do jej ucha i zapytał: - Chcesz wiedzieć, co myślę?

Merry wolałaby nie pokazać po sobie, że ogarnia ją drżenie.

- Nie za bardzo.

- Myślę, że w skrytości ducha pragniesz spędzić święta ze mną - dokończył.

Chciała zaprzeczyć, ale głos odmówił jej posłuszeństwa.

- Nie jesteś jedynym mężczyzną na świecie, Patrick - wykrztusiła wreszcie, starając się przybrać obojętny wyraz twarzy.

- Wiem - uśmiechnął się łagodnie. - Ale oboje rozumiemy, że dla ciebie jestem tym jedynym.

- To brzmi potwornie egoistycznie.

- Kiedy to prawda - uśmiechnął się ciepło.

- Zróbmy z tego jak najlepszy użytek, Merry

- powiedział tym swoim niskim, melodyjnym głosem. - Powiedz mi tylko, co złego robię, a postaram się to naprawić.

- Proszę cię, nie utrudniaj sprawy.

- Przecież ktoś musi walczyć o nasz związek, kotku. Jest o co!

- Nie wszystkie związki się udają... - Głos Merry zaczynał się łamać. - Nie wszystkie pary, które się kochają, kończą na ślubnym kobiercu.

- Kiedy ludzi łączy coś wartościowego, za wszelką cenę starają się to utrzymać.

Merry z trudem powstrzymywała łzy.

- Nie chcę z tobą walczyć.

- Ja też nie chcę, Merry. - Przyłożył dłoń do policzka dziewczyny i przyglądał jej się z uwagą. - Jeśli nie przemawia do ciebie żaden argument, pamiętaj chociaż, że cię Kocham i zawsze będę kochał.

- Już ci powiedziałam - wyszeptała - że miłość to nie wszystko.

- I tutaj się mylisz, Merry. Miłość zawsze jest najważniejsza. A zwłaszcza w Boże Narodzenie.

Patrick nie zdawał sobie sprawy, jakemu podlegał stresowi w ostatnich miesiącach pracy, dopóki nie zaczął się stopniowo odprężyć.

Dzień spędzony w charakterze operatora wiadomości telewizyjnych miał wiele dobroczynnych skutków. I nie wszystkie wymagały uruchamiania kamery.

Ostatnia taka korzyść miała pyzate policzki, jasnobrązowe oczy i blond loczki na głowie.

Malec miał nie więcej niż metr wzrostu i cztery, najwyżej pięć lat.

Jego matka, która miała wystąpić przed kamerą i właśnie poprawiała makijaż w toalecie, zostawiła chłopczyka w barze pod opieką Patricka i Merry.

- Mylisz się, chłopie - tłumaczył małemu Patrick. - Czerwona czapka na mojej głowie wcale nie oznacza, że jestem jednym z pomocników świętego Mikołaja. Pomagają mu tylko elfy, a ja jestem o wiele za duży, żebym mógł być jednym z nich.

- Są malutkie - przyznał chłopczyk. - I zielone. I mają spiczaste uszka.

- To prawda, zwykle ubierają się na zielono, noszą czerwone czapeczki i mają spiczaste uszy. Ale czy wiesz, że nie wszystkie elfy mieszkają na biegunie północnym?

Chłopczyk aż otworzył buzię, tak był przejęty i zasłuchany. Nie na darmo Patrick był Irlandczykiem. Jak większość jego rodaków, miał dar opowiadania bajek.

- To gdzie jeszcze mieszkają?- - zapytał malec.

- Jeśli naprawdę wyteżysz wzrok, możesz wyśledzić takie ludki u stóp świętych drzew w gęstym lesie. Tak bywa w Irlandii, skąd pochodzę. Ale możesz je spotkać tylko nocą, bo unikają ludzi. Może się ich boją.

Oczy dziecka zrobiły się wielkie jak talerze.

- A czy mają warsztat, w którym robią zabawki dla dzieci?- Nie, elfy zajmują się głównie leśną zwierzyną. Ale czasami wyświadczają przysługi ludziom, którzy na to zasłużą. Podobnie jak święty Mikołaj, który też wynagradza tylko grzecznych chłopców i dziewczynki - powiedział Patrick i zmierzwił malcowi czuprynę.

Aż do tej chwili Merry przysłuchiwała się im z leciutkim uśmiechem na twarzy. Patrick był tak wyczulony na jej nastroje, że natychmiast się zorientował, że powiedział coś nie po jej myśli. Dopiero kiedy zostali sami, dowiedział się, o co chodzi.

- Musiałeś opowiadać małemu takie bzdury?-Mówić, że od elfa można dostać coś za nic? - zapytała Merry. - Robisz chłopcu wodę z mózgu; teraz będzie uważał, że nie tylko święty Mikołaj przynosi prezenty.

- Chyba niezbyt dobrze mnie słuchałaś, kotku. Irlandzkie elfy bardzo starannie wybierają tych, którym pomagają. Specjalizują się w dobrych uczynkach i robią to jedynie z czystej radości dawania...

Rozmowę przerwał im mężczyzna w jaskrawozielonym garniturze, który chciał się dowiedzieć, czy w Charlotte będą białe święta.

- Tak sędzę - zagalopował się Patrick. - Czuję śnieg w powietrzu.

- Jak mogłeś coś takiego powiedzieć? - Oburzyła się Merry po odejściu mężczyzny. - W prognozie nie było mowy o śniegu. Patrzyłeś na niebo?- Nie widać nawet jednej chmurki.

- Nie było ich rano, ale teraz mogą już być. Poza tym nie mówiłem, że spadnie śnieg. Powiedziałem, że tak sądzę.

- Jaka to różnica?- Ogromna, kotku. To tak jak z tymi elfami.

Ani razu nie powiedziałem, że na pewno istnieją. Merry najwyraźniej nie nadażała.

- Ale wierzysz, że są?

- Nie mam pewności, że ich nie ma. Wiara to dziwna rzecz. Weź na przykład takiego świętego Mikołaja. Nie musisz wierzyć, że wesoły staruszek pędzi na saniach unoszonych przez renifery, żeby czuć magię Bożego Narodzenia. Czy twoi rodzice opowiadali ci kiedykolwiek bajki, kiedy byłeś dzieckiem?-

Zauważył, że przed udzieleniem odpowiedzi Merry z trudem przełyka ślinę; nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że nagle dostała chrypki.

- Znasz moich rodziców, Patrick. Są prawnikami. Rzadko bujają w obłokach.

- Szkoda, choć zawsze to podejrzewałem. Nie sądzisz, że to z tego powodu nie dostrzegasz magii i radosnej atmosfery tutaj, w tym centrum?- Może po prostu dlatego, że jej tu nie ma

- powiedziała po namyśle Merry.

- To dlaczego nie znalazłaś niczego, co by pasowało do twojego pomysłu na reportaż?- Coś ci powiem - ciągnął, nie czekając na odpowiedź. - Musisz otworzyć serce na magię, którą przesycone jest powietrze.

Chwilę później, idąc z Patrickiem przez sklep w stronę wozu transmisyjnego, Merry cały czas zastanawiała się nad jego słowami.

Ma otworzyć serce? Przecież jest otwarte. On powinien najlepiej o tym wiedzieć.

Nagle wokół miniaturowego świątecznego miasteczka, które mijali, podniosła się wrzawa.

Merry odwróciła się w porę, żeby zobaczyć gęsty śnieg, padający na dzieci, które czekały w kolejce do świętego Mikołaja.

Przystanąła i patrzyła na ten niezwykle widok z otwartymi ustami. Nie dowierzała własnym zmysłom. I rzeczywiście, śnieg znikł. Ale widziała go. Była tego pewna.

- Co się stało?- - zapytał ją zaintrygowany Patrick.

- Nie widziałeś, co się działo nad miasteczkiem świętego Mikołaja?- - zdumiała się.

Patrick wydał jęk zawodu.

- Czyżbyś zobaczyła śnieg?- Przeoczyłem to, jak na złość - uśmiechnął się. - Tylko mi teraz nie mów, że nadal zależy ci na nagraniu naburmuszonego świętego Mikołaja.

Merry nie odezwała się. Pokręciła głową, pró-

bując nadać sens temu, co się stało. Ale nie potrafiła, bo przecież nagła śnieżycą wewnątrz centrum nie miała sensu.

- Dobrze się czujesz?- - zapytał Patrick.

- Doskonale - odpowiedziała, i stwierdziła, że mówi szczerą prawdę.

Patrick miał rację - w centrum działa magia.

Młoda kobieta, którą Merry zaprosiła do występu przed kamerą, tryskała większą energią niż szampan w sylwestra. Tym razem Merry z uśmiechem odbierała jej żywiołową wylewność. A może jej uśmiech przeznaczony był dla mężczyzny z drugiej strony kamery?-

Prawie godzinę czekałam w kolejce na najnowszy odtwarzacz DVD, ale ubiegła mnie osoba, która stała przede mną - powiedziała kobieta do Merry i widzów oglądających program na kanale WZLM-13 na żywo. - A przedtem wpadł na mnie dzieciak z gorącą czekoladą, parząc mi nogę, a potem złamałam obcas.

- Ciekawa jestem, skąd w takim razie bierze się pani wspaniałe nastrój? - Merry zadała pytanie, które samo cisnęło się na usta.

- Jak to?- Robię zakupy w centrum, występuję w telewizji, a do tego mamy Wigilię Bożego Narodzenia! Czego więcej trzeba do dobrego nastroju?-

Merry pokiwała głową, jakby ta odpowiedź ją

satysfakcjonowała. I tak zresztą było; od jakiegoś czasu przestała się rozglądać za sytuacjami i ludźmi, ilustrującymi jej pierwotne założenie.

Poprosiła nawet Francine o puszczenie taśmy z kolejką przytupującą i nucącą kolędę.

- Sami państwo widzicie - powiedziała do kamery, uważając, żeby pożyczona od Patricka czapka świętego Mikołaja nie zsunęła jej się z głowy. - Pomimo tłoku, długich kolejek i szybko zbliżającego się do końca tego ważnego dnia w roku, ludzi ogarnął nastrój wielkiego święta. Wspaniałą atmosferę świąt Bożego Narodzenia odczuwa się na każdym kroku. Z King's Mall mówiła do was Merry Deluca, wiadomości WZLM-13.

Patrick opuścił kamerę i uśmiechnął się do niej szeroko, podnosząc do góry kciuk. Poczowała radość. Jej dobry nastrój nadrabiał teraz straty.

Wieczorny program nadawali w głównym holu centrum. Ludzie odrywali się od zakupów, żeby osobiście uczestniczyć w wiadomościach na żywo, a entuzjazm tłumu narastał.

Merry wysłuchiwała jeszcze wielu opowieści o radosnym Bożym Narodzeniu, i to nie z obowiązku, ale dlatego, że nią także ogarnęło uczucie szczęścia.

Patrick miał rację, mówiąc o magii Bożego Narodzenia, o autentycznej radości i świątecznym nastroju, które nie mają nic wspólnego z komercją.

231

Patrick pochodził z krainy mitów i leśnych elfów. Z krainy, której mieszkańcy wierzą w magię i wieczną miłość.

I w tym właśnie mężczyźnie Meny jest zakochana po uszy i nie może się doczekać, żeby wyjść za niego za mąż.

Ogarnęło ją przyprawiające o zawrót głowy poczucie szczęścia; musiała użyć całej siły woli, żeby nie wykrzyknąć na głos, że chce zostać żoną Patricka.

Pragnęła z nim spędzić noc... dzisiaj, jutro i zawsze... i pozostać w jego sercu do końca życia. Wyciągnęła szyję i dostrzegła go. Wychodził ze sklepu, żeby odnieść sprzęt do wozu transmisyjnego. Francine zabrała już mikrofon i słuchawki Meny. Na szczęście, bo w tej chwili Meny nie byłaby w stanie się ruszyć. Tłumowi, który ją otaczał, nie było spieszno do kontynuowania zakupów.

Uśmiech nie schodził z jej twarzy, biła od niej radość. Nie mogła doczekać się powrotu Patricka, ale najpierw pojawiła się Francine, która pomachała jej z daleka, a Meny posłała jej w powietrzu pocałunek. Nie mogła się nadziwić, że jeszcze parę godzin temu miała swojej przyjaciółce za złe próbę połączenia jej z Patrickiem na święta.

Francine musiała wiedzieć, co naprawdę dzieje się w sercu Merry, zanim ona sama to odkryła.

- Już nie mogę doczekać się świąt - powiedziała

młoda kobieta, pewnie jej równolatka. Zniżyła głos prawie do szeptu i zwierzyła się Merry:

- Kupiłam sobie szalenie seksowne czerwone teddy ¹, ale tak naprawdę, to będzie prezent dla mojego chłopaka. Chcę, żeby mnie w tym zobaczył. To nasze pierwsze wspólne święta Bożego Narodzenia.

- Nasze też - powiedziała Merry, dostrzegając w tłumie sylwetkę ciemnowłosego, wysokiego mężczyzny, który zbliżał się do niej jakby w zwolnionym tempie.

Spotkali się wzrokiem i nagle wszystkie jej obawy znikły. Rzeczywiście stchórzyła przed ślubem, ale to nie znaczy, że nie mogą żyć z Patrickiem szczęśliwie i długo. To prawda, bardzo się różnią, ale przecież tak jest chyba we wszystkich małżeństwach, a niegroźne różnice dodają tylko pikanterii związkowi, jak zauważył Patrick. A teraz jego spojrzenie było pełne czułości... i dumy.

- Świetna robota, kotku - powiedział. - Nie zawsze jest łatwo przekazać to, co się widzi, a nie to, co chce się zobaczyć.

- Tylko dzięki tobie zobaczyłam to w taki sposób. - Aż dziw, że wyrażam się logicznie i składnie, pomyślała Merry. - Dziękuję.

¹Teddy - seksowna bielizna, rodzaj body, przeważnie mocno powycinane, często składające się z wąskich pasków materiału (przyp. tłum.).

233

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Patrick patrzył jej w oczy z uśmiechem.

Na dole coś zaszeleściło i Merry spuściła wzrok. Jak mogła nie zauważyć, że Patrick dźwiga takie mnóstwo toreb z zakupami?- Wiedziałam, że robisz zakupy - powiedziała

- ale nie miałam pojęcia, że wyniesiesz cały towar ze sklepów.

Patrick wzruszył ramionami i zrobił niewyraźną minę.

- No wiesz, miło jest zaszaleć dla rodziny w Boże Narodzenie. A ponieważ rodzina jest duża, więc i lista zakupów jest długa. Aha, byłbym zapomniiał... kiedy byłem w wozie, zadzwoniła Betsy - dodał szybko. - Powiedziała, że jeżeli chcemy, możemy już skończyć pracę, a ona puści o jedenastej wieczorem powtórkę z tego, co nagraliśmy wcześniej. Ale ja jej powiedziałem, że zrobimy nowy materiał.

- Dlaczego? - zapytała, choć już знаła odpowiedź.

- Chcę wykorzystać każdą minutę, jaka została do zamknięcia centrum, na przekonanie cię, żebyś do mnie wróciła. - Zanim Merry zdążyła zapewnić, że już ją przekonał, Patrick dodał:

- Poza tym praca kamerzysty to świetna zabawa.

- Lepsza niż zajmowanie się fuzjami i kupowaniem firm?-

Parsknął śmiechem.

234

- Praca w The Goulden Group ma wiele różnych zalet, ale nie ma w niej nic zabawnego. Merry nie zdążyła poprosić, żeby rozwinął temat, bo Patrick wskazał ruchem głowy torby z zakupami.

- Muszę to zanieść do samochodu. Nie przeszłabyś się ze mną?

Przytaknęła i znów poczuła zawrót głowy. Chciała mu jak najszybciej wyznać, że go kocha i że pragnie zostać jego żoną.

Dzień przeszedł w zmierzchu, sygnalizujący prawdziwy początek Wigilii Bożego Narodzenia. Było rześko i chłodno, a nad miastem zawisły gęste chmury.

Będą białe święta, ucieszył się Patrick, ale jego optymizm podtrzymywała inna myśl: Merry jakby zmiękła. Już od dłuższego czasu ani razu nie wspomniała o tych nieszczęsnych gołębiach, nie unikała jego wzroku i nawet radośnie uśmiechała się do niego.

Wstąpiła w niego nowa nadzieja, że może uda im się dojść do porozumienia. Może spędzi resztę życia z kobietą, którą kocha.

Zostawił zimową kurtkę w samochodzie i podmuchy zimnego wiatru przeszywały go na wylot. Merry też drżała. zaproponował, że wróci po jej płaszcz, ale odmówiła, twierdząc, że szybciej dotrą do samochodu.

235

- Chętnie bym cię ogrzał, kotku, ale mam zajęte ręce - usprawiedliwił się. Taszczył swoją kamerę i niezliczone torby z zakupami.

- Daj, pomogę ci - zaproponowała. Wręczył jej dwie najlżejsze paczki, ale nadal nie miał wolnego ramienia, którym mógłby ją objąć. - Fatalnie, że w centrum nie mają wózków - zauważyła Merry.

- Już za chwilę dojdziemy do samochodu, kotku, i zwałę to wszystko do bagażnika. Parking był ogromny, a samochód stał daleko. Wokół trzaskały drzwiczki aut, słychać było ożywione głosy ludzi, docierały stłumione rozmowy, ruch kołowy powoli się rozładowywał. Patrick słyszał swój płytki oddech i czuł, że pomimo chłodu pocą mu się dłonie - wyraźne oznaki zdenerwowania.

Postanowił sobie, że zaczeka do końca dnia, zanim zapyta Merry, czy zmieniła zdanie w sprawie zaręczyn, ale nie mógł wytrzymać ani chwili dłużej. Musi wcześniej poznać jej decyzję.

Lexus, którego kupił sobie w prezencie po przeniesieniu się do nowej firmy, pojawił się w zasięgu wzroku, niczym oaza bezpieczeństwa, a złocisty kolor auta zdawał się zapowiadać dobry nowy początek.

Patrick z rozmysłem zwolnił tempo. Wolałby wprowadzić bardziej romantyczną scenerię niż parking King's Mall, ale innej nie było.

- Moje zaproszenie jest nadal aktualne - powiedział.

Słowa zawisły w zimnym, rześkim powietrzu. Ważył się los Patricka.

- Które zaproszenie?- - zapytała Merry po chwili ciszy. - Do twoich rodziców czy do twojego łóżka?-

Patrick zatrzymał się na pustym miejscu parkingowym i stwierdził, że nie może złapać tchu

- bynajmniej nie z winy spalin produkowanych przez ruszające z miejsc samochody.

- Jedno albo drugie, a najlepiej oba - wykrztusił. - Którekolwiek. Nie, oba.

Merry przekrzywiła głowę. W świetle lampy ulicznej, pod którą stanęła, widział jej roześmiane oczy.

- Jak już parę razy wspominałeś - powiedziała cichutko - nie mam dokąd pójść w te święta.

Walilo mu serce. Modlił się, żeby uniknąć pomyłki i właściwie odczytać jej intencje. Warczała na niego od rana, a teraz... teraz wysyłała wyraźne sygnały, tak wyraźne, jak zapalone przed świętami w oknach świeczki.

Czy zapraszała go do powrotu?- Czy powita go radośnie, jak te płonące świeczki oczekiwanych gości świątecznych?

Nie mógł oderwać od niej wzroku. Widząc ją skąpaną w ciepłym świetle latarni, wiedział, że jest wszystkim, czego pragnie w życiu.

- Zapraszam cię nie tylko na wspólne święta,

Merry. Proszę cię, żebyśmy spędzali razem wszystkie Boże Narodzenia, które nadejdą. Wszystkie... do końca życia.

Wpatrywała się w niego - kobieta, w której zakochał się prawie od pierwszego wejrzenia, kobieta, bez której jego życie nie miało sensu.

- Dlaczego nie zapytasz wprost, czy nie zmieniłam zdania co do ślubu? - wyszeptała.

Rozpierała go nadzieja. Czuł, że kręci mu się w głowie. Przecież Merry by go nie zwodziła, gdyby znów zamierzała dać mu kosza.

- Naprawdę zmieniłaś zdanie, kotku? - Zrobił krok w jej stronę. - Wyjdiesz za mnie? - Tak, wyj...

Trzask pękającej torby, a następnie brzęk czegoś spadającego na ziemię przerwał odpowiedź Merry. Parę centymetrów od jej stóp wylądowało pudło z domowym grillem i uderzyło o bruk. Jakże nie w porę...

- Co to jest? - zdumiała się Merry.

- Coś, czego nie powinnaś była jeszcze zobaczyć - skrzywił się Patrick.

Schylił się po pudełko i przy okazji upuścił kilka innych toreb, z których wysypały się prezenty. Pluszowa świnka, iPod, reagująca na promienie słońca torba plażowa. Wszystko spoczęło obok pudła z grillem.

Merry z niedowierzaniem wpatrywała się w różności rozsypane na bruku.

238

- Te rzeczy - zapytała dziwnie spiętym głosem - nie były chyba przeznaczone dla twojej rodziny?

Niespodzianka przestała już być niespodzianką.

- Masz rację - przyznał. - To wszystko dla ciebie.

Merry długo się nie odzywała. Wpatrywała się w Patricka tak, jakby zobaczyła go po raz pierwszy. Wyraz jej twarzy stawał się coraz chłodniejszy.

- No to masz odpowiedź — padły wypowiedziane ostrym głosem słowa. - Nie, nie zmieniłam zdania. Nie będzie żadnego ślubu.

Rzuciła torby, które jej powierzył, zakręciła się na pięcie i odeszła, zabierając ze sobą nadzieje Patricka.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zimny wieczorny wiatr siekł Merry w twarz, kiedy biegła w kierunku centrum. Piekły ją powieki, tak mocno je zaciskała, żeby nie płakać.

I pomyśleć, że była bliska wyznania Patrickowi, jak bardzo go kocha i że chce go poślubić. Serce jej się krajało na myśl, że nigdy nie zostanie jego żoną... ale teraz to było niemożliwe.

- Merry, zaczekaj!

Patrick był tuż za nią, ale ona, gnając na oślep, minęła drzwi centrum i pędziła dalej środkiem sklepu. Jeszcze nigdy w życiu tak szybko nie biegła. Przed nią wyrosło bożonarodzeniowe miasteczko, gdzie niedawno zaskoczył ją widok wirujących płatków śniegu, padających na rozradowane dzieci.

I znów zobaczyła śnieg. Tym razem jednak zbliżała się do miniaturowego miasteczka z innej strony, więc zobaczyła ogromną dmuchawę, która wzbijała sztuczne płatki do góry. Przystanęła

i patrzyła przez łyzy, jak świąteczna magia, której przebłysk dane jej było poznać, znika niczym topniejące na słońcu płatki śniegu.

Nie widziała żadnej śnieżycy. Wszystko to było złudzeniem.

- Mamy, porozmawiaj ze mną - usłyszała głos Patricka. Był tak blisko, że nie mogła mu już uciec. Zamrugowała kilka razy, żeby odpędzić łyzy, i odwróciła się, gotowa na nieuniknioną konfrontację.

Miał zdumioną i zmartwioną minę. Najwyraźniej nic nie rozumiał.

- Co takiego stało się na parkingu? - zapytał.

- Dlaczego tak nagle uciekłaś? - To przez prezenty - wyjaśniła, wątpiąc, czy Patrick ją zrozumie.

- Przez prezenty? - powtórzył z niedowierzaniem. - Nie wyjdiesz za mnie dlatego, że kupiłem ci prezenty?

Miałam rację, zrywając zaręczyny, pomyślała Merry. Jak mogłam być taka naiwna, dać się ponieść radosnej przedświątecznej atmosferze i uwierzyć, że możemy dojść do porozumienia? -

Nie będzie magicznego rozwiązania ich problemów, tak jak nie było żadnej magii w miniaturowym miasteczku.

Ścisnęła ją w gardle, ale się nie rozpłakała.

- Co ty o mnie wiesz? - W ogóle mnie nie znasz

- wykrztusiła.

- Jak możesz tak mówić? - Podszedł bliżej

i zaczął tłumaczyć: - Kupiłem ci grilla, bo lubisz gotować. Wziąłem pluszową świnkę, bo to twoje ulubione zwierzątko. Obrazek na torbie przedstawia plażę i zmienia kolory w słońcu, a ty lubisz jedno i drugie.

- A więc nadal nie rozumiesz, że prezenty to jeszcze nie wszystko - oświadczyła i nagle zrozumiała, że dotknęła istoty sprawy. Zagryzła dolną wargę, żeby powstrzymać jej drzenie. Wzięła się w garść i dodała: - Nie przywiązuję do nich wagi. Zwłaszcza gdy pochodzą od ciebie... i od rodziców

- Od rodziców?- Co mają z tym wspólnego twoi rodzice?- Nic. Wszystko. - Próbowała zebrać myśli, by

po chwili dać upust goryczy. - Przy każdej okazji zasypywali mnie prezentami. Pod choinkę dostawałam ich tyle, że nie nadążałam z otwieraniem.

- Czy to nie jest marzeniem każdego dziecka?- Tylko że ja pragnęłam czegoś innego. Chciałam mieć takich rodziców jak twoi.

- Jak moi?- Ale nas było w rodzinie pięcioro, więc dostawaliśmy bardzo skromne prezenty na święta.

- Za to byli przy was rodzice, którzy cieszyli się razem z wami, kiedy otwieraliście prezenty. Moi przebywali wtedy na Karaibach, w Meksyku albo na Hawajach - wyrzuciła z siebie Merry. -A czy ty byłbyś w taki dzień ze swoimi dziećmi, Patrick?- Byłbyś ze mną?-

- Oczywiście, że tak.

- „Oczywiście” to za mało. Czy nie widzisz, o co tu chodzić? Moi rodzice kupowali mi te wszystkie prezenty, żeby mi wynagrodzić swoją nieobecność. Ciebie też nigdy nie ma, odkąd zmieniłeś pracę.

- Jesteś niesprawiedliwa, Merry. Przecież dopiero ją zacząłem. Muszę sobie wyrobić pozycję, żeby zacząć budować naszą bezpieczną przyszłość. Zależy mi na tym, żebyś miała wszystko, co najlepsze.

- Tak się to właśnie zaczyna. Kiedy już kupisz duży dom i drogi samochód, i wszystko, co według ciebie potrzeba nam do szczęścia, będziesz musiał pracować coraz więcej i dłużej. W przeciwnym razie nie będzie cię stać na utrzymanie tego wszystkiego.

Patrick przygładził ręką włosy. Wyglądał dziwnie bezradnie.

- Mogę zwrócić prezenty. Nie powinno być z tym żadnego problemu.

- Żadnego problemu? - powtórzyła za nim Merry i potrząsnęła głową. - Tak jak z tymi gołębiami?

- No właśnie. Ile razy mam powtarzać, że mi na nich nie zależy?-

Ale powód, dla którego Merry nie zależy na małżeństwie, pozostawał dla Patricka zupełnie niezrozumiały. A przecież podobne problemy

musiałyby się pojawiać co jakiś czas, gdyby się pobrali. Gołębie czy prezenty, czy jeszcze coś... mechanizm byłby zawsze taki sam.

- Możesz zwrócić prezenty, jasne. Ale to niczego między nami nie zmieni. To koniec, Patrick. - Ostatnie słowa wypowiedziała drżącymi wargami.

Patrick posmutniał, jakby jego twarz spowiła ciemna chmura. Merry poczuła, jak ten sam smutek ogarnia i ją.

- Jesteś pewna swojej decyzji? - zapytał jeszcze. Łzy znów napłynęły jej do oczu, ale i tym razem je powstrzymała.

- Jestem pewna - powiedziała łagodnie.

Spojrzała na Patricka i niemal zobaczyła obracające się w zawrotnym tempie trybiki w jego głowie. Cóż, za mało ją znał, żeby tak na poczekaniu przedstawić racjonalne argumenty, które mogłyby ją przekonać.

- Zwrócę ci oczywiście pierścionek zaręczynowy - powiedziała, z trudem pokonując ściśnięte z żalu gardło.

- Nie rób tego - zaprotestował Patrick. - Możesz go sprzedać, jeśli chcesz, ale mi go nie oddawaj. Dałem ci go. Jest twój.

Powiedział to tak stanowczo, że Merry skinęła głową na znak zgody. Wiedziała już, że nigdy nie sprzeda pierścionka, i wcale nie dlatego, że wart jest spore pieniądze. Zatrzyma go na zawsze, jako

pamiętkę po mężczyźnie, którego nigdy nie przestanie kochać.

- Merry! Patrick! - Rozległ się dźwięczny kobiecy głos, co przypomniało im, że znajdują się w miejscu publicznym. Merry odwróciła się i zobaczyła, że w ich stronę szybko drepcze blondynka, dźwigająca wielkie pudło. Skądś znała tę kobietę - Znalazłam was!

Kobieta była niewysoka, miała głowę w lokach i sprężysty chód. Po chwili Merry ją rozpoznała. To była Kelly, ta, która szukała idealnego prezentu dla męża.

- Już wiem. Kije golfowe - odgadła Merry, gdy Kelly do nich dotarła.

Kobieta pokiwała radośnie głową.

- I to ma być ten idealny prezent?- Dlaczego?- zdziwiła się Merry.

- Wiesz, czemu rozpadło się nasze małżeństwo?- Bo wieczne narzekałam, że mąż spędza za dużo czasu na polu golfowym.

- Moje gratulacje! - wtrącił Patrick. - To naprawdę idealny prezent.

- Dlaczego?- - Nie przestawała dziwić się Merry. - Nadal nie pojmuję, o co tu chodzi.

- Dając mężowi w prezencie kije golfowe - wyjaśniła Kelly - daję mu do zrozumienia, że nie będę go więcej zadręczać wymówkami i że akceptuję go takim, jaki jest.

Kelly nalegała, żeby nakręcili jej wypowiedź;

245

zależało jej na tym, żeby widzowie kanału WZLM-13 poznali finał całej historii.

A że Patrick w końcu nie zdążył zanieść sprzętu do samochodu, wyjął kamerę z torby, Merry zaś włączyła się bez entuzjazmu, podczas gdy Kelly kończyła swoją opowieść.

- Dziękuję, to wszystko - uśmiechnęła się wreszcie od ucha do ucha, a na odchodnym dodała: - Nie gniewajcie się, że to powiem, ale pasujecie do siebie jak ulał i na pewno będziecie świetną parą!

Kelly pognęła dalej, unosząc ze sobą ładunek żywiołowej energii. Wiedząc już, że ich związek nie ma przyszłości, Merry wolała się nie zastanawiać nad przepowiednią tej kobiety. Co prawda Patrick stwierdził, że miłość wystarczy za wszystko, ale przecież to bzdura.

- Powinieneś pozbierać te rzeczy, które rozsypałeś - zwróciła uwagę Patrickowi. - Poczekam na ciebie tutaj.

Patrick pokiwał głową, odwrócił się i poszedł. Gdy patrzyła za nim, a przecież szedł tylko do samochodu, zdawało jej się, że z każdym krokiem oddala się z jej życia.

Rozsypane prezenty leżały tam, gdzie je zostawił, chociaż każdy przechodzień mógł je zgarnąć. Ale nie dzisiaj, w Wigilię Bożego Narodzenia powinny wydarzać się tylko same dobre rzeczy. Przecież to dzień cudów i magii.

Więc dlaczego Patrick w ten zaczarowany wieczór traci jedyną kobietę, którą kocha? Zupełnie nie mógł tego pojąć. Z tego by wynikało, że Merry ma rację: nie rozumie jej i może nigdy nie zrozumie, choćby nie wiadomo jak się wysiłał.

Pozbierał prezenty, które wybrał tak starannie, i załadował je do bagażnika. Prowadząc auto jak w transie, podjechał bliżej centrum, zaparkował i wysiadł z leksusa. Wciąż zachodził w głowę, dlaczego nic nie wyszło z poszukiwania idealnego prezentu dla Merry. Jego była dziewczyna uwielbiała dostawać prezenty, podobnie jego matka.

Kiedy zaczął sam zarabiać, zasypywał matkę owocami swojego sukcesu: biżuterią na urodziny, sprzętem elektronicznym na Dzień Matki, kwiatami bez żadnego powodu i mnóstwem niespodzianek na Boże Narodzenie.

Bridget MacFarland cieszyła się z najmniejszego drobiazgu, może dlatego, że jej męża stać było tylko na to, co niezbędne. Po wyemigrowaniu z Irlandii ojciec Patricka utrzymywał liczną rodzinę, harując na budowach. Odkładali każdy zaoszczędzony grosz.

W końcu Sean MacFarland zdołał zainwestować pieniądze w firmę dekarską. Dochód z niej szedł na opłacanie college'u dwóch młodszych sióstr Patricka.

Patrick znał wartość ciężkiej pracy. On sam skończył college dzięki stypendiom, grantom i pieniądzom, które zarabiał podczas letnich wakacji. Ale nigdy nie pracował ciężiej niż przez te trzy ostatnie miesiące w The Goulden Group, I robił to dla Merry.

Wśród ludzi opuszczających centrum dostrzegł starszego pana nucącego na głos kolędę o Rudolffie - czerwono nosym reniferze, a także młodych rodziców z dziećmi, które rozmawiały wcześniej ze świętym Mikołajem.

Wszystko wyglądało tak jak w każdą Wigilię Bożego Narodzenia, poza tym, że on stracił Merry.

Czekała na niego przy informacji u wejścia do centrum. Przez cały dzień w King's Mall panował straszny tłok, ale od jakiegoś czasu zaczęło ubywać ludzi, teraz została ich tylko garstka.

Podchodząc do Merry, Patrick wyprężył się jak struna i wyprostował ramiona, liczył, że wbrew wszystkiemu zdarzy się jeszcze cud.

- Jakie masz plany? - - odezwał się możliwie najbardziej naturalnym głosem.

Odpowiedziała profesjonalnym tonem reporterki telewizyjnej, pozwalającym jej zachować dystans do osoby, z którą prowadziła wywiad:

- Myślę, że powinniśmy wrócić do działu z artykułami gospodarstwa domowego Harrington and Vine's, tam gdzie rano była najdłuższa kolejka.

To właśnie w tym sklepie wesoły starszy pan wyśpiewywał kolędy, i tam Patrick oszukiwał się jeszcze, licząc na szczęśliwy finał ich związku.

W tej chwili w centrum panowała cisza, tylko w tle cicho brzmiały melodie kolęd. Idąc, słyszeli stukanie swoich obcasów o podłogę, a także czyjeś rozgniewane głosy. Patrick przystanął.

- Słyszysz? - zapytał. Odgłosy kłótni były wyraźniejsze. - Chyba jest jakaś awantura w sklepie z osobliwościami.

- Chyba tak - przyznała Merry.

Razem ruszyli do sklepu - tego samego, jak się okazało, w którym Patrick wcześniej buszował. Upewniając się, że Merry idzie za nim i że jest bezpieczna, wszedł do środka.

Dwaj mężczyźni - na oko mogli mieć koło trzydziestki - stali przy ladzie i wydzierali się na siebie.

Jeden miał włosy do ramion i gęsty wąs, ale najbardziej rzucały się w oczy jego czerwone ze złości policzki. Drugi mężczyzna, ostrzyżony jak rekrut, wydawał się bardziej opanowany, chociaż zaciskał dłonie w pięści.

- Ja pierwszy go wypatrzyłem - krzyczał Czerwona Twarz. - Jest mój!

Bzdura - odparował Ostrzyżony na Rekruta. Ścisnął w rękę prostokątne pudełko, które Patrickowi wydało się znajome. - Pierwszy po niego sięgnąłem, a kto pierwszy, ten lepszy.

- Pierwszy to złapałeś, bo wepchnąłeś się przede mnie.
- Nie moja wina, że jesteś taki powolny. Merry wyciągnęła szyję i wyjrzała zza pleców Patricka, który na wszelki wypadek zasłaniał ją własnym ciałem.
- O co oni się kłócą? Co jest w tym pudełku?-Patrick przyjrzał się uważniej i stwierdził, że identyczne pudełko ma w bagażniku leksusa.
- To kiwająca się głowa Waltera Cronkite'a. Biją się o lalkę - stwierdził i włączył kamerę.
- Co robisz? - zapytała Merry.
- Chcę to nagrać. Czy nie o taki materiał ci chodzi?- Tak, ale...
- Ja, powolny?- Lepiej uważaj, co mówisz! - Czerwona Twarz zrobiła się purpurowa. - Mam czarny pas.
- Do kogo ta mowa! - parsknął Ostrzyżony na Rekruta. - Ja grałem w futbol w college'u. Sprzedawca, nieduży człowieczek, który mógłby uprawiać gimnastykę, ale nie sporty kontaktowe, podszedł bliżej, ale zatrzymał się w bezpiecznej odległości.
- Może spróbowalibyśmy to jakoś inaczej załatwić - zaproponował nieśmiało. - Mam jeszcze inne lalki ruszające głową. Może któryś z panów wolałby na przykład Johnny'ego Carsona?- A może Jimmy'ego Cartera albo Ronalda Reagana?

- Ja chcę Cronkite'a - wrzasnął Ostrzyżony na Rekruta. - Mój ojciec oszaleje ze szczęścia na jego widok. To jego ulubiony komentator!

- Ja też chcę Cronkite'a - wrzasnął Czerwona Twarz. - Mój syn marzy, żeby zostać dziennikarzem telewizyjnym.

- Cronkite od dwunastu lat jest na emeryturze. Twój syn pewnie nawet nie wie, kto to taki!

- To się dowie ode mnie! - Głos Czerwonej Twarzy grzmiał coraz donośniej. - Wytłumaczę mu, że to była najbardziej niezawodna osoba w Stanach.

- Panowie, proszę. - Sprzedawca podniósł ręce do góry. - Nie możecie się tak zachowywać w Wigilię Bożego Narodzenia.

- Nie obchodzi mnie, jaki to dzień. Chcę tę lalkę! - ryknął Ostrzyżony na Rekruta.

- Ja też! - Nie pozostał dłużny Czerwona Twarz.

Piorunowali się wzrokiem, a żaden nie zamierzał ustąpić. Zwykle Patrick nie odrywałby się od kamery i zostawił sprawy własnemu biegowi, ale w tak uroczysty dzień jak Wigilia nie mógł stać beczynnym i z czystym sumieniem przyglądać się, jak tych dwóch przechodzi do rękoczynów. Wyłączył kamerę i podszedł do obu facetów.

- Mogę wam pomóc rozstrzygnąć ten spór - wtrącił się. Awanturnicy nie zareagowali, a sprzedawca tylko smutno potrząsnął głową.

251

- Obawiam się, proszę pana, że tutaj mogłaby pomóc tylko jeszcze jedna taka figurka.

- Mam identyczną w samochodzie, kupiłem ją wcześniej - wyjaśnił Patrick, przypominając sobie, jak wiedziony impulsem wszedł do tego sklepu. Myślał wówczas, że Merry podskoczy z radości na widok takiego gadżetu, ale najwyraźniej był w błędzie. - Jeśli jednemu z nich sprzeda pan tę, którą ma pan w sklepie, ja odstąpię swoją drugiemu.

- Mnie to odpowiada. - Sprzedawca poczuł taką ulgę, że aż ochrypl. Zwrócił się do mężczyzn, którzy cały czas gotowi byli skoczyć sobie do oczu. - No więc który z was chce kupić zabawkę ode mnie? - Ja - warknął Czerwona Twarz.

- Nie, ja - sprzeciwił się Ostrzyżony na Rekruta. - Ani mi się śni ryzykować i zostać z pustymi rękami.

- Pójdę po to do samochodu i zaraz wrócę

- zaproponował Patrick wyraźnie zniesmaczony.

- Zapewniam, że obaj opuścicie centrum z Walterem.

Nie czekając na ich zgodę, odwrócił się i wyszedł, przechodząc koło Merry bez słowa.

No bo co mógł jej powiedzieć teraz, kiedy w końcu nakręcił materiał ilustrujący pierwotny zamysł Merry? - Kiedy udowodnił, że Wigilia Bożego Narodzenia w ogromnym sklepie bardzo się różni od wyidealizowanego święta, przy której to wizji w swojej naiwności tak się upierał?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Merry usiadła na ławeczce przed sklepem z osobliwościami i czekała, aż Patrick załatwi sprawę z dwoma narwańcami.

- Sytuacja opanowana? - zapytała, gdy pojawił się z powrotem.

- Mam nadzieję, że niebezpieczeństwo bójki zostało zażegnane, choć nadal się na siebie boczą.

W zachowaniu Patricka wyczuwała zniechęcenie - stan, którego Merry nigdy u niego nie widziała. W ostatniej chwili powstrzymała się, żeby nie wyciągnąć do niego ręki.

- Miło, że oddałeś im swoją figurkę - powiedziała, na co Patrick wzruszył ramionami.

- Była dla ciebie, więc pewnie i tak bym ją zwrócił. Wyraźnie dałaś do zrozumienia, że jej nie chcesz.

Ale właśnie chciała - olśniło ją nagle. Fajnie byłoby mieć taki gadżet na biurku. Przecież Cronkite był ikoną telewizyjnego dziennikarstwa.

Ale to nie był jedyny powód, dla którego ucieszyłaby się z prezentu. Patrick kupował go z myślą o niej.

Powoli srebrzyste kraty sklepu z osobliwościami zaczęły się opuszczać. Merry spojrzała na zegarek. Do zamknięcia centrum pozostał tylko kwadrans. Najwyraźniej, po tym co się stało, sprzedawca chciał już mieć za sobą ten pracowity i trudny dzień.

- Gdyby się pobili, miałabyś dobry materiał wieńczący twój reportaż. Tylko jeszcze coś takiego mogłoby zdyskredytować zakupy świąteczne.

Wszystko w Merry buntowało się przeciwko temu pomysłowi. Z przyjemnością wsłuchiwała się w płynące z głośników dźwięki kolęd, które wcześniej działały jej na nerwy. Święta Bożego Narodzenia powinny być radosne, pełne muzyki i... no właśnie, magii.

Widok dwóch mężczyzn szamoczących się o kiwającą głową kukłę nie miał w sobie nic magicznego.

- Może będzie lepiej, jeśli Betsy powtórzy materiał, który nagraliśmy wcześniej - powiedziała. - Albo zrobmy nowe zakończenie, wykorzystując wywiad z Kelly, opowiadającą o zdobyciu idealnego prezentu.

- Twierdziłaś, że nie istnieje nic takiego jak idealny prezent.

- A ty powtarzałaś przez cały dzień, że nie

mam racji, mówiąc o komercjalizacji świąt Bożego Narodzenia. Czyżbyś zmienił zdanie? Może dzięki tobie doszedłem do ważnego wniosku: ludziom tylko się wydaje, że muszą mieć akurat to czy tamto. Przecież żaden z tych facetów nie potrzebował aż tak- bardzo tej lalki.

Merry nie mogła nic zarzucić takiemu rozumowaniu. Jeszcze rano myślała tak samo. Ale od tego czasu minął prawie cały dzień i jej punkt widzenia zasadniczo się zmienił.

- Ci dwaj zachowywali się koszmarnie - przyznała. - Ale niezależnie od tego, działali w dobrej intencji.

Patrick uniósł brwi.

- Mogłabyś mi bliżej wyjaśnić, dlaczego tak uważasz?

- Jeden z nich chciał kupić lalkę dla swojego ojca. Drugi zamierzał zainspirować nią syna.

Jak się dobrze zastanowić, okaże się, że obaj pasują do tematu pierwszego reportażu, który dzisiaj zrobiłam... tego z przesłaniem, że lepiej jest dawać, niż otrzymywać.

Kiedy Merry zwerbalizowała swoje myśli, doszła do zaskakującego ją samą wniosku.

- Chyba już teraz rozumiem - zadumała się. - Ci wszyscy rozpychający się łokciami i biegający jak opętani ludzie nie robią tego z chciwości. Szukają prezentów, by pokazać swoim bliskim, jak bardzo ich kochają.

- Przez cały dzień próbowałem ci to uświadomić, kotku. Właśnie dlatego zdobywałem te wszystkie rzeczy - uśmiechnął się niewesoło Patrick. - Nie bardzo rozumiałem, dlaczego byłaś taka zła, kiedy pękła mi torba, ale zastanowiłem się i teraz już wiem, co miałaś na myśli, mówiąc o domu moich rodziców. Dotychczas traktowałem swoją rodzinę jako coś oczywistego, ale teraz wiem, że spotkało mnie szczęście, skoro dane mi było dorastać w domu pełnym ciepła i miłości. Tego samego pragnę dla nas, Merry. Ale chciałbym też, żebyś miała różne ładne rzeczy. Uważam, że zasługujesz na wszystko, co najlepsze.

- Tak samo uważają moi rodzice. Patrick westchnął.

- Znów mnie z nimi porównujesz?- Nic na to nie poradzę, Patrick. Żadne z was nie rozumie, że najbardziej upragnionym prezentem jest dla mnie wasza obecność.

Patrick otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

- Ależ, kotku! Czy nie po to wziąłem dzisiejsze zlecenie, żebyśmy mogli być razem?- Czy nie dlatego tak naciskam, żebyś spędziła ze mną święta?- A z jakiego powodu zamierzam rzucić obecną pracę przy pierwszej nadarzającej się okazji?

Merry z wrażenia aż otworzyła usta.

- Chcesz rzucić pracę?- Kiedy podjąłeś tę decyzję?

256

Patrick podrapał się po głowie; wyglądał na równie zaskoczonego jak Merry.

- W tej chwili. Właśnie sobie uświadomiłem, że nie cierpię tej pracy, więc wydaje mi się to zupełnie oczywiste.

Dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo stresuje go nowe zajęcie. Dopiero dzisiaj, gdy po długiej przerwie stanął za kamerą, znów poczuł się w swoim żywiole.

- To dlaczego jeszcze stamtąd nie odszedłeś?- zapytała Merry.

Nosił się z takim zamiarem po pierwszym tygodniu, a może nawet już po pierwszym dniu pracy w The Goulden Group, ale bał się do tego przyznać. Aż do teraz.

- Bo wmówiłem sobie, że chcesz wyjść za odnoszącego sukcesy biznesmena, który da ci wszystko, czego zapragniesz.

- A jeśli ja pragnę tylko ciebie? - zapytała czule.

- Cóż, będziesz mi tylko musiała wybaczyć moją głupotę - odpowiedział z równą czułością.

Uśmiechnęła się do niego.

- Sama jestem głupia, skoro pozwoliłam ci sprzedać mojego kiwającego głową Waltera Cronkite'a!

Roześmiał się i wyciągnął do niej ramiona, a ona wtuliła się w nie ochoczo.

257

- Nie pocałujesz mnie? - zapytała stłumionym głosem.

- Poczekaj chwilę - powiedział, czując, jak ich serca biją tuż obok siebie.

- Jeśli zrobisz to natychmiast, wyjdę za ciebie. Położył ręce na ramionach Merry i odsunął ją lekko, żeby móc na nią popatrzeć.

- Mówisz poważnie?-

Pokiwała głową i chciała odpowiedzieć, ale Patrick jej nie pozwolił - po prostu zamknął jej usta pocałunkiem. Delektował się dotykiem miękkich warg, słodkim zapachem włosów, chłonąc smak ust Merry, jakby już nigdy nie miał tego wszystkiego doświadczyć.

Z trudem się od niej oderwał i natychmiast nabrał ochoty na dalszy ciąg.

- Chciałam ci coś powiedzieć, ale nie pozwoliłeś mi dokończyć. - Merry oddychała z trudem.

Patrick uśmiechnął się i odsunął kosmyk włosów z jej rozpalonego policzka.

- Słucham cię, kotku.

- Nawet gdybyś mnie teraz nie pocałował i tak wyszłabym za ciebie.

Rozumiał, że chciała go w ten sposób rozśmieszyć, ale sprawa była zbyt poważna.

- Nie musisz tego robić, jeśli nie jesteś gotowa.

- Ależ jestem! Mogłabym wziąć ślub nawet jutro. Kocham cię... od zawsze.

258

- Więc znajdziemy sędziego pokoju i pobierzmy się jeszcze dziś albo jutro.

Meny poczuła, że z wrażenia szeroko otwiera usta. Mówiąc o ślubie cywilnym, Patrick bynajmniej nie żartował.

- Ale jutro są święta - powiedziała niepewnie. - Żaden sędzia pokoju nie pracuje w Boże Narodzenie.

- No to polecimy do Vegas. Założę się, że w Vegas udzielają ślubów na okrągło. - Rozpromienił się, jakby zawsze marzył o przestąpieniu razem z Merry progu kaplicy ślubów w tym centrum hazardu i rozpusty.

- A co z hucznym ślubem według twojej mamy?- Przecież pomysły z gołębiami, orkiestrą i dwunastoma druhami uznałeś za świetne.

- Pod warunkiem, że to ty chciałabyś mieć takie wesele. Ale jeśli nie, trzymam twoją stronę. Zrozum, kotku: zawsze, w każdej sprawie będę po twojej stronie. Nieważne, kto udzieli nam ślubu: sędzia pokoju czy sobowtór Elvisa. Liczy się tylko sam fakt.

- No to pobierzmy się w Charlotte na walentynki, tak jak planowaliśmy - postanowiła.

- Dlaczego? Przecież powiedziałaś, że nie chcesz hucznego wesela.

- Bo teraz, kiedy już wiem, że ożeniłbyś się ze mną nawet przed sędzią pokoju, czuję się usatysfakcjonowana. - Zrobiła krótką przerwę. - Chcę,

żeby twoja rodzina była obok, kiedy będziemy brać ślub, Patrick. Naprawdę pokochałam twoją rodzinę.

- Z wzajemnością, i pewnie nieraz to usłyszysz, kiedy pokażemy się jutro w Winston-Salem

- powiedział. - Ale moja rodzina jest wyrozumiała i nie wzięłaby nam za złe ślubu w Vegas... tyle że później trzeba by go pewnie powtórzyć w kościele.

- Za to moi rodzice nie poczuliby się usatysfakcjonowani, dopóki by mi nie wyprawili hucznego ślubu. To ich sposób na okazywanie miłości... ofiarowanie wszystkiego, co można kupić za pieniądze. Tyle że teraz mogę to już zaakceptować.

Popatrzył na nią podejrzliwie.

- Czy to znaczy, że już nie zamierzasz mi zwrócić tego wszystkiego, co kupiłem dla ciebie na Boże Narodzenie?- Wszystkiego nie... - Ustąpiła i pogłaskała go

po policzku. - Musisz tylko pamiętać, że to ty jesteś dla mnie idealnym prezentem.

Nagrali jeszcze nowy wstęp do wieczornego reportażu, zabrali płaszcze i opuścili King's Mall, trzymając się za ręce.

Merry stanęła jak wryta w progu, nie wierząc własnym oczom. Przed nimi, w światłach wieczoru, wirowały płatki śniegu i spowijały ziemię. Parking upodobił się do baśniowej zimowej krainy.

260

- Nie do wiary! - zawołała Merry. - Pada śnieg!

- Kolejny bożonarodzeniowy cud - orzekł Patrick. - A my jesteśmy znów zaręczeni.

Pocałowali się przed gmachem centrum, w którym, wbrew wcześniejszym przekonaniom Merry, także działała magia. Teraz czuła ją w całym ciele, jak nagłą falę ciepła.

Jacobs Holly

Zdążyć przed wigilią

Niespodziewane szczęście

Krytyczny reportaż dziennikarki telewizyjnej Merry Deluki na temat bezsensownego szalu świątecznych zakupów okazuje się trudny do nakręcenia z powodu nowego kamerzysty, Patricka MacFarlanda, jej byłego narzeczonego. Nakłania ją bowiem nie tylko do zmiany scenariusza i innego podejścia do świąt, lecz także do niego samego...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Joy O'Connell nie była... no właśnie, nie była specjalnie radosna, choć z racji swojego imienia powinna taka być.¹

Prawdę mówiąc, gdyby usłyszała jeszcze jedną wersję uroczej skądinąd piosenki „Białe Boże Narodzenie”, zaczęłaby chyba wrzeszczeć na całe gardło. Jadąc do pracy samochodem, wysłuchiwała jednej wersji w stylu reggae, a po wejściu do King's Mall zaatakowała ją wersja klasyczna w wykonaniu Binga Crosby'ego.

To jeszcze można było znieść.

Z trudem.

Ale ten rap, który leciał w windzie?-Wzdrygnęła się. Nie miała nic przeciwko rapowi, ale jak można nadawać coś takiego w poczciwej, staroświeckiej windzie?-

Wybiegła z niej, gdy tylko otworzyły się drzwi, minęła puste o tej porze okienko obsługi klienta

¹Joy (ang.) - radość (przyp. red.).

i pognęła korytarzem do swojego pokoju, zatraskując za sobą drzwi, żeby nie słyszeć tego jazgotu.

Zerknęła na zegarek. Punkt dziewiąta. A więc dopiero za dziewięć godzin, czyli po zamknięciu magazynu, w momencie zakończenia sezonu świątecznego, będzie mogła wyłączyć bożonarodzeniową muzykę. Czyli że jeszcze nie tak prędko.

Strategia firmy Harrington and Vine's wymagała, żeby kolędy i inne świąteczne melodie zaczynały rozbrzmiewać z głośników tego ekskluzywnego sklepu wraz z pojawieniem się bożonarodzeniowej dekoracji.

Joy, która pracowała w handlu prawie od dwudziestu lat, odnosiła wrażenie, że z każdym rokiem sezon Bożego Narodzenia zaczyna się odrobinę wcześniej.

Na przykład w tym roku na mocy odgórnego zarządzenia sezon musiał się rozpocząć w październiku, jeszcze zanim zdjęto dekoracje związane ze świętem Halloween.

To mógł być powód, dla którego Joy O'Connell czuła się teraz niezbyt radośnie.

A może powód był inny? Jest Wigilia Bożego Narodzenia, a ona utknęła w Charlotte, w Północnej Karolinie, podczas gdy cała jej rodzina, wszyscy przyjaciele i znajomi zostali po drugiej stronie kontynentu - w San Diego, w Kalifornii. To były

jej pierwsze samotne święta. Nawet gdy studiowała w college'u, wracała na święta do domu.

Już na samą myśl o dorocznych przyjęciach i spotkaniach towarzyskich, w których uczestniczyła przez całe życie, a które opuści w tym roku, wpadała w wisielczy nastrój. I tak wczorajszy wieczór przesiedziała z miską prażonej kukurydzy, oglądając w telewizji klasyczny krwawy horror-mało pasujący do świątecznego nastroju, podczas gdy na drugim końcu kraju jej cała rodzina bawiła się na przyjęciu u ciotki Loisy i wuja Jacka.

Patrząc, jak kolejna głupia bohaterka filmu wchodzi do ciemnej piwnicy, wyobraziła sobie ich wszystkich - ciotkę Theresę i ciotkę Colleen, kuzynów i kuzynki, swoich rodziców - zgromadzonych w jadalni ciotki Loisy, roześmianych i wręczających sobie zabawne prezenty. A przecież ona też tam zawsze była przez wszystkie poprzednie lata.

Poza tym rokiem.

Przeżuwając popcorn o dziwnie metalicznym smaku, obserwowała filmową bohaterkę, która zdecydowanie była ZGŹŹ, czyli Zbyt Głupia, Żeby Życ.

To prawda, Joy nie była zupełnie samotna na Wschodnim Wybrzeżu. Miała tu jedną przyjaciółkę - Morgan, która przeprowadziła się niedawno do Pittsburgha. Ale choć obie mieszkały na

Wschodzie, odległość między Charlotte a położonym w północno-zachodniej części Pensylwanii Pittsburghiem była za duża, aby opłacało się wyruszać na poszukiwanie namiastki więzi rodzinnych i świątecznego nastroju.

Już te wszechobecne kolędy i brak rodziny działały deprymująco. Ale szczytem wszystkiego, przysłowiową kroplą, która przelała czarę goryczy, było coś innego: oto trzecia z zatrudnionych w sklepie kobiet rozłożyła się na gripę.

Joy spojrzała na zegar. Trzeba się otrząsnąć i wziąć do roboty. Powiesiła płaszcz, żałując, że nie włożyła czegoś cieplejszego na tę okropną pogodę. W Północnej Karolinie było dziś paskudnie i zdecydowanie zimno, a złowieszcze chmury nie wróżyły nic dobrego. Joy naalała sobie filiżankę kawy - na szczęście Susan, jej zastępczyni, przyszła wcześniej i włączyła ekspres.

Wypiła łyk i usiadła, by choć przez chwilę delektować się ciszą, kiedy zadzwonił telefon. Wolałaby nie odbierać i pewnie by tak zrobiła, gdyby ktoś był w pobliżu. Ale odkąd niedawno została kierowniczką Harrington and Vine's, spadło na nią mnóstwo nowych obowiązków. Na co dzień dawała sobie radę, ale teraz, tuż przed świętami, miała wrażenie, że wszystko wali jej się na głowę. Czowała, że niczego więcej nie zniesie.

Niczego.

Niestety, nie było wyjścia, więc odebrała telefon - niewątpliwie zwiastuna złych wieści. Ciekawa, co jeszcze się wydarzy, odezwała się:

- Halo?

- Panna O'Connell? - usłyszała ochrypły głos, którego nie potrafiła zidentyfikować.

- Tak. W czym mogę pomóc?

- To ja... - Przez dobrą minutę Joy słyszała tylko przeraźliwy kaszel, aż wreszcie osoba po drugiej stronie linii wzięła głęboki oddech i wykrztusiła: - Jamie. Mówi Jamie.

- Jamie? - Joy odstawiła kubek, dobrze wiedząc, że kawa nie podniesie jej na duchu. Dopiero kiedy skończą się święta i epidemia grypy, może odzyska równowagę. Pełna najgorszych przeczuć zapytała: - Co się stało, zakrztusiłaś się? Bo chyba nie jesteś chora? Nie taka odporna osoba jak ty!

Jamie nie odpowiedziała.

- Powiedz, że cię nie wzięło.

Ale Joy już wiedziała, że nie usłyszy zaprzeczenia. Jamie Anthony, codziennie pomagająca w zakupach klientom Harrington and Vine's, naprawdę miała grypę. Ten jeden z największych magazynów galerii handlowej w King's Mall sprowadzał do Charlotte wyroby wiodących firm, przeznaczone dla wymagających i wybrednych klientów. Właśnie takich klientów obsługiwała Jamie. Robiła zakupy dla tych, którzy nie mieli czasu,

żeby przyjść osobiście, pomagała i doradzała tym, którzy mieli pieniądze, a nie zawsze dobry gust.

- Przykro mi - wychrypiała Jamie. - Niestety, wzięło. Gdybym mogła, na pewno bym przyszła. Wiesz, jak lubię włączać się w zakupy, zwłaszcza o tej porze roku...

Kolejny atak kaszlu przerwał zdanie w połowie, zresztą Jamie nie musiała kończyć. I pomyśleć, że jeszcze wczoraj przesadny świąteczny entuzjazm Jamie doprowadzał Joy do szału. Dzisiaj dałaby wszystko, żeby tak zwana osobista doradczyni weszła tanecznym krokiem do pokoju

I zaczęła wychwalać pod niebiosa przyjemności związane ze świątecznymi zakupami z okazji Wigilii Bożego Narodzenia.

- No to ładnie! - Joy nie pozostawało nic innego, jak dzielnie stawić czoło temu, co nieuchronne. - Powiedz chociaż, że twój terminarz jest pusty, bo stali klienci zdążyli wcześniej zrobić zakupy w tym roku.

- Rzeczywiście, nie mam już żadnych tego typu zobowiązań... - Kolejny długi napad kaszlu.

- Ale pamiętaj o zwycięzcach konkursu. Aha, to ma być całodniowa impreza. Ze zdjęciami, lunchem, zakupami...

- Och, nie...

Harrington and Vine's wspólnie z King's Mall ufundowało nagrodę losową w postaci darmowych bonów na zakupy dla rodziny, której się

poszcęściło. Teraz wyglądało na to, że Joy, kierowniczką magazynu, będzie musiała zastąpić chorą na grypę Jamie i osobiście pomagać w konkursowych zakupach.

Trudno, nie ma wyjścia, trzeba się pogodzić z losem.

- Jak się nazywa ta rodzina i kiedy się zjawi? - zapytała Joy.

- Hall. Nazywają się Hall i przyjdą o jedenastej. Znajdziesz ich dane na moim biurku.

Przysłali listę zakupów. To trzech chłopcy, którzy mogą wydać po siedemdziesiąt pięć dolarów na prezenty dla osób z najbliższej rodziny - matki, ojca, ojczyma, przyrodniego rodzeństwa, dziadków, no i na siebie. Masz ich imiona i nazwiska, program dnia i wszelkie niezbędne informacje.

Joy spojrzała na zegar, odliczając minuty, jakie jej zostały do ich przybycia. Jej ponury nastrój chyba jeszcze się pogłębił.

- Tak mi przyk... - Znowu dopadł ją kaszel.

- Jamie, tylko nie rób sobie wyrzutów. Kładź się do łóżka i kuruj. Jeszcze się napracujesz w poświętecznym szczycie. Postaraj się miło spędzić jutrzejszy dzień.

- Dziękuję.

- Wesołych świąt, Jamie.

- Nawzajem - wychrypiała Jamie i rozłączyła się.

Joy wstała i poszła do pokoju Jamie po

270

dokumenty z danymi szczęśliwych wybrańców. Zastanawiała się gorączkowo, jak się z tego wymigać.

Musi być ktoś - ktokolwiek - kogo można by w to zrobić.

Długo nie musiała myśleć.

Wracając z papierami w ręku, natknęła się na Susan Thomas, swoją zastępczynię.

Pojawienie się jej uznała za znak dany od Boga. Nawet nie musiała jej wzywać, ponieważ Susan właśnie wchodziła do jej gabinetu.

Klasyczny przypadek, kiedy mucha sama wpada w pajęczynę.

Susan poradzi sobie ze wszystkim, nawet z zakupowym szaleństwem rodziny Hallów w Wigilię Bożego Narodzenia

No właśnie, Susan zastąpi Jamie i wybawi Joy z kłopotu.

Podniesiona na duchu Joy weszła za Susan do swojego gabinetu. Zaraz przekaze Hallów w dobre ręce, następnie uraczy się filiżanką kawy, a dopiero potem ruszy do walki ze świąteczną rzeczywistością.

Susan usiadła na krześle przed biurkiem Joy z ponuro opuszczoną głową.

- Posłuchaj, Susan... - zaczęła Joy i obeszła biurko, żeby zająć swój fotel. Odłożyła dokumenty i sięgnęła po kawę. Dopiero wtedy Susan podniosła głowę.

271

Zieleń jej twarzy nijak nie pasowała do odświętnego stroju, jaki miała na sobie. Optymizm Joy gwałtownie wyparował.

- O, nie - wyartykułowała dobitnie, jakby to słowo miało natychmiast uzdrowić koleżankę. - Nie jesteś chora, Susan.

Na pewno nic jej nie jest. Wystarczy odrobina silnej woli, żeby...

- Przykro mi, Joy, ale... - Susan poderwała się z krzesła i jak szalona pobiegła w stronę toalet. Joy poszła za nią, żeby sprawdzić, czy Susan w ogóle żyje. Już wiedziała, że jej zastępczyni nie zajmie się Hallami.

Została sama na placu boju.

Wesołych świąt! Cholernie wesołych i radosnych! A niech to szlag...!

- Jeżeli w ciągu dziesięciu minut nie znajdziecie się w samochodzie, odjadę bez was.

Doktor Edward Hall stał w drzwiach kuchennych, słuchając odgłosów z pierwszego piętra, które przypominały popłoch wśród stada bydła. Uśmiechnął się, chociaż nienawidził spóźniać się i robić wszystko na ostatnią chwilę. Niestety, chłopcy mieli zawsze mnóstwo niecierpiących zwłoki zajęć, więc mimo wiecznego pośpiechu, spóźnienia były normą.

Po namyśle zawołał jeszcze:

- Hej! Zasada numer jednaście!

Chociaż jego trzech synowie nie odziedziczyli po nim nawet jednego genu punktualności, Ed uwielbiał być ich ojcem. Czuł się w tej roli cudownie.

I zawsze tak było.

Może tylko wyszedł trochę z wprawy w zwykłych codziennych czynnościach w ciągu tych pięciu lat, to znaczy od czasu polubownego rozvodu z żoną.

Nie rozstali się w specjalnej przyjaźni, ale obojgu im zależało, żeby rozpad rodziny nie pozostawił na chłopcach trwałego urazu i żeby im było jak najlepiej, więc po jakimś czasie ich wzajemne stosunki ułożyły się poprawnie. Dzielili się opieką nad dziećmi, dbali o ich wychowanie i wszystko przebiegało harmonijnie, dopóki trzy miesiące temu sytuacja nie uległa zmianie.

Do niedawna, głównie ze względu na szkołę, chłopcy w ciągu tygodnia mieszkali u mamy. Ale weekendy i święta spędzali z Edem.

Zawsze miał dla nich czas. Jako lekarz reumatolog rzadko bywał wzywany do nagłych wypadków i miał w miarę uregulowany czas pracy. Przyjmował pacjentów od dziewiątej do piątej w dni powszednie i do południa w soboty. Idealny układ dla ojca, pragnącego żywo uczestniczyć w pozaszkolnych zajęciach swoich dzieci.

Trenowali razem, kibicował im i dopingował zza linii boiska, zabierał samochodem na wycieczki... jednym słowem żył z nimi i dla nich.

Ale wszystko się zmieniło, kiedy obecnemu mężowi Leny zaproponowano wymarzoną pracę w oddalonym o dwie i pół godziny jazdy Raleigh. Chłopcy nie chcieli opuścić Charlotte. Byli w wieku, w którym zawiązują się trwałe więzy koleżeńskie, znaleźli też swoje miejsce w szkołach, do których uczęszczali.

Lena znalazła się między młotem a kowadłem.

Dwie przyrodnie siostry chłopców były jeszcze w wieku, w którym przeprowadzka nie stanowi problemu, ale dla nich samych porzucenie szkoły i przyjaciół byłoby bardzo trudne. W końcu Ed i Lena uzgodnili, że chłopcy zostaną z nim na czas trwania szkoły, natomiast weekendy i święta, a także, o ile to będzie możliwe, letnie wakacje będą spędzać z nią w Raleigh.

Żeby mieć więcej czasu dla synów, Ed zatrudnił w gabinecie wykwalifikowaną pielęgniarkę.

Spędzą więc razem Wigilię i poranek pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia, po czym chłopcy pojedą na tydzień do matki. Jednak zanim do tego dojdzie, trzeba jakoś przeżyć dzisiejszy dzień.

A dziś pora na zakupy!

Ed nie cierpiał zakupów, zwłaszcza w Wigilię. W centrum handlowym panuje tego dnia totalny chaos, pełno tam ludzi kupujących w ostatniej chwili. Dla kogoś tak systematycznego jak Ed, miotający się po sklepie klienci muszą być co najmniej irytujący. Chyba wolałby mieć do

czynienia z panią Majors, swoją najtrudniejszą i najbardziej oporną pacjentką, niż robić zakupy w Wigilię.

Ale nie było wyjścia. A skoro musi się tam stawić, zrobi to punktualnie.

- Dziesięć, dziewięć, osiem... - zaczął odliczać na głos. Efekt był natychmiastowy. Cała trójka zbiegła po schodach i sapiąc, ustawiła się przed ojcem.

- Co, pali się, tato? - zapytał Jake, szesnastolatek z szopą brązowych włosów, które co chwila odgarniał z oczu. - To ja wygrałem konkurs. Nic się nie stanie, jeśli się trochę spóźnimy.

Zaczekają na nas.

- Synu, jest Wigilia i założę się, że kobieta, która łaskawie zgodziła się pomóc nam dzisiaj w zakupach, ma ważniejsze sprawy na głowie, niż czekanie na trzech chłopaków.

Ed popatrzył na dwóch młodszych synów, którzy wyglądali prawie jak klony starszego brata. Za długie włosy, szelmowskie ciemne oczy. Piętnaście i dwanaście, no, prawie trzynaście lat. Jak ten czas leci! Wydaje się, że tak niedawno nosili pieluszki...

- No i zasada numer jedenaście, prawda, tato? - zapytał T.J.2

Ed roześmiał się.

275

- Tak. Zasada życiowa numer jedenaście.

- Zlustrował wzrokiem dwóch młodszych.

- Tim, T.J., jesteście gotowi?

- Tak - odpowiedzieli chórem.

- Nie sądzicie, że przyda się wam coś cieplejszego?- Weźcie lepiej kurtki. Na dworze jest zimno. Zapowiadali nawet śnieg.

Chłopcy tylko uśmiechnęli się pod nosem.

Ed pamiętał czasy z własnej młodości, kiedy odjazdowy wygląd liczył się bardziej niż wygoda. Może na tym polega urok dojrzałego wieku czterdziestu lat, pomyślał. W jego przypadku zwyciężyła wygoda. Sięgnął po skórzaną kurtkę i spojrzał wymownie na chłopców, ale oni pozostali niewzruszeni.

- Tato, nasze bluzy są w porządku - zapewnił Jake tonem, który oznaczał:

biedny-tata-nie-na-dąża. - Dlatego za bardzo się martwisz naszym zdrowiem, bo przez cały dzień masz do czynienia z chorymi.

- To nie ma nic wspólnego z tym, że jestem lekarzem, tylko z tym, że jestem waszym tatą. A swoją drogą martwienie się jest częścią mojego zawodu - dodał. Wiedział, że rodzic nigdy nie może zanadto dbać o dzieci, niezależnie od tego, czy jest lekarzem, czy nie. - A wasz tata lubi punktualność, pamiętacie? Biegiem do vana!

- Chcesz, żebym prowadził?- - zapytał Jake. Ed wiedział, że prawdziwy problem jest inny.

Pytanie powinno brzmieć: „Tato, czy mogę prowadzić”?

Jake miał prawo jazdy zaledwie od paru miesięcy i Ed wolałby, żeby chłopiec nie siadał za kierownicą, kiedy samochodem jadą jego młodsi bracia, ale Jake radził sobie nieźle, a w dodatku było Boże Narodzenie.

Nie odpowiedział, tylko pomachał kluczykami, a Jake szybko je przechwycił.

- Super. A teraz wszyscy do samochodu. I niech nikt nie zapomni zapiąć pasów bezpieczeństwa.

Ed roześmiał się, chociaż było już późno, chociaż pogoda była parszywa, chociaż jutro po południu chłopcy pojedą do matki, a on będzie się obijał samotnie po domu do końca świątecznych ferii.

Ale przecież, pomimo nachodzących go w tym tygodniu ponurych myśli, były święta.

Sytuacja miała też swoje dobre strony: Ed wraca do pracy dopiero w środę, chłopcy są zdrowi i zaraz zrobią zakupy na koszt luksusowej firmy Harrington and Vine's.

Więc się uśmiechał i choć jego dobry nastrój był trochę wymuszony, przynajmniej pasował do panującej świątecznej atmosfery.

Nawet przy takiej pogodzie i nieuchronności świątecznych zakupów dzień zapowiadał się nie najgorzej.

Jake usiadł na miejscu kierowcy.

- Przy tak złej pogodzie należy włączyć...

- zaczął od razu Ed.

- Światła, nawet jeśli jest dziesiąta rano. Wiem, tato.

- Jedźmy już - wrzasnął T.J. - Nie mogę się doczekać, kiedy się wreszcie dobiore do działu z elektroniką.

- A teraz przypomnijmy sobie zasady...

- W drodze do King's Mall Ed zrobił chłopcom powtórkę z zasad dobrego wychowania.

Przypominało to chór. Głosem wiodącym był Ed, podczas gdy chłopcy pojękiwali i postękiwali w różnych rejestrach. Wyśmienie się uzupełniali.

Jake dowiózł ich w jednym kawałku pod centrum handlowe i zaparkował vana na końcu długiego rzędu samochodów. Cholernie daleko. Ed pomyślał, że i tak mają szczęście, bo zmieścili się jeszcze w granicach parkingu. Nie mógł uwierzyć, że taka masa ludzi zostawia zakupy na ostatnią chwilę, ale widok zapchanego doszczętnie parkingu nie pozostawiał złudzeń.

Ed przeprowadził bez szwanku swoją trójkę przez środek centrum, aż dotarli do Harrington and Vine's. Sklep udekorowano stylowo i ze smakiem, nawet obfitość czerwieni i zieleni w tym przypadku nie razila. Z ukrytych głośników nieprzerwanie płynęła muzyka - kolędy i świąteczne standardy - ale nie była w stanie

zagłuszyć gwaru wyjątkowo dziś aktywnych klientów.

Ed wolałby, żeby wygraną w konkursie można było zrealizować odrobinę wcześniej i w ten sposób uniknąć tak ogromnej fali spóźnionych łowców prezentów.

Nienawidził tłumów i...

Spróbował zapanować nad swoimi negatywnymi myślami.

Chodziło przecież o chłopców, a ich podekscytowanie skutecznie przeciwstawiało się brakowi entuzjazmu Eda.

- Naprzód i do góry - wydał komendę, która spotkała się z jednogłośnym jękiem protestu.

- Daj spokój, tato. Może choć przez ten jeden dzień moglibyśmy zachowywać się jak normalni ludzie - zaapelował Jake, kiedy jechali windą na pierwsze piętro, zgodnie z instrukcjami fundatorów nagrody.

- Niczego nie mogę obiecać, ale jeśli się postaracie i będziecie się dobrze sprawować, ja też spróbuję. - Ed przekonał się już jakiś czas temu, że chłopcy w obawie przed jego interwencją hamują się i starają się nie stawiać go w kłopotliwych w ich mniemaniu sytuacjach.

- Witam - zwrócił się do siwowłosej kobiety w okienku obsługi klienta. - Nazywamy się Hall. Wygraliśmy konkurs i o godzinie jedenastej mamy się tutaj spotkać z Jamie Anthony.

- Och, pan Hall, właśnie na pana czekamy. Zaraz poproszę pannę O'Connell, która się państwem zajmie.

Ed rzucił okiem na drukowaną instrukcję, gdzie było wyraźnie napisane „panna Anthony”.

- Czyżby jakaś zmiana? - zapytał.

Ciekaw był, czy to perspektywa robienia zakupów w Wigilię Bożego Narodzenia z taką czeredą przeraziła pannę Anthony do tego stopnia, że scedowała ich na koleżankę.

Ale kobieta pokręciła głową.

- Grypa. Prawie jedna trzecia personelu jest na zwolnieniu z tego powodu, włącznie z Jamie. Ale proszę się nie martwić. Ręczę, że będziecie zadowoleni z panny O'Connell.

Ed uświadomił sobie, że stojący za nim chłopcy zachowują się podejrzanie cicho i spokojnie.

- Jake, Tim i T.J., jeżeli się odwrócę i zobaczę, co robicie, zostaniecie uziemieni na całą Wigilię, więc radzę wam przestać. - Uśmiechnął się do kobiety. - Przepraszam panią.

- Proszę się nie przejmować. Sama wychowałam dwóch, a teraz jeszcze doszły mi wnuki.

Wiem, co to znaczy. - Kobieta podeszła do bocznych drzwi. - Zaraz wracam. Jestem pewna, że z niecierpliwością czekacie na zakupy.

Z niecierpliwością?-

Ed odwrócił się i ujrzał anielskie miny chłopców, na które jednak nie dał się nabrać.

280

Jeśli ktoś miał się niecierpliwić, to tylko biedna panna O'Connell, która ma im pomagać w zakupach.

- Nic nie zrobiliśmy, tato - zaprotestował Jake.

- To nie ja - zapewnił T.J. -Tylko on iTim byli... W połowie wyjaśnień i wzajemnych oskarżeń zadzwoniła komórka Eda. Włączając ją, pomyślał o kobiecie, która spędzi z nimi ten dzień. Miał nadzieję, że wie, co ją czeka.

ROZDZIAŁ DRUGI

Joy naprawdę bardzo się starała wykrzesać z siebie odrobinę świątecznego entuzjazmu dla rodziny, którą miała się zająć.

Jakieś pół godziny temu włączyła nawet interkom i wysłuchała kolęd, próbując przypomnieć sobie czasy, kiedy nie dostawała wysypki na dźwięk świątecznych melodii.

Na siłę przywoływała błogie chwile, kiedy kolędy kojarzyły się jej ze świętami i radosną atmosferą, z oczekiwaniem i niespodziankami, no i czasem spędzonym z rodziną.

Próbowała sobie przypomnieć te motylki, które zagnieźdżały się w Wigilię w żołądku i nie opuszczały go aż do wieczora następnego dnia.

Wracała myślą do czasów, kiedy tak chętnie śpiewała kolędy. Jingle bells, Cicha noc...

Wtedy jeszcze czerwono-nose renifery, na czele z reniferem Rudolfem, sprawiały jej radość i pobudzały wyobraźnię.

To wszystko musiało odnieść skutek. Kiedy

Betty otworzyła drzwi i weszła do pokoju, Joy prawie z entuzjazmem nuciła hymn do bożonarodzeniowego drzewka.

- Już są! - W głosie Betty brzmiał ostentacyjny optymizm.

Joy natychmiast przestała nucić. Zatrwożył ją podniosły nastrój Betty, wyglądało to raczej złowieszczo i nie wróżyło niczego dobrego. Wypracowany z trudem entuzjazm Joy szybko się ulotnił.

- Co o nich sądzisz? - zapytała.

Betty uśmiechnęła się, co było ze wszech miar irytujące.

- Cóż, chyba będziesz miała pełne ręce roboty. Podczas gdy ojciec się przedstawiał, stojący za nim chłopcy, ci starsi, przewiesili młodszego głową w dół przez poręcz schodów.

- Urocze - mruknęła Joy. - Zakupy z bandą chłopaków!

- I z mężczyzną - zaszcebiotała Betty.

- I z mężczyzną - powtórzyła Joy. - Tak, właśnie tego brakuje mi na święta.

- Może rzeczywiście ci tego brakuje - podchwyciła Betty. - Odnoszę wrażenie, że w ostatnim czasie podupadłaś na duchu i nie przejawiasz świątecznego zapału.

- Jasne, przyganiał kocioł garnkowi! Czy to nie ty twierdziłaś wczoraj, że Boże Narodzenie jest zwykłym chwytem marketingowym i że zbojkotujesz święta w przyszłym roku? Zwra-

cam ci zresztą uwagę, że kiedy weszłaś, nuciłam właśnie kolędę.

- Ale już nie nuczysz.

- Nie nucę, od kiedy się dowiedziałam, że zamiast zajmować się miłą, dobrze wychowaną rodzinką, będę się uganiać za nieznośnymi chło-paczyskami po całym centrum. Wiem, jak to wygląda, bo jeszcze w liceum niańczyłam takie bachory przez całe lato.

Latami usiłowała wyprzeć z pamięci tamto wspomnienie, ale bez powodzenia. Bitwy wodne na szlauchy i hydranty, obrzucanie się błotem i przewracanie w brunatną maź, uządlenia pszczoł i złamana ręka, kiedy najmłodszy z rodziny, Ronny, ubrany w pelerynę ulubionego superbohatera, postanowił zrezygnować ze zbawiania świata i rzucił się na piłkę do rugby z huśtawki, gdy znajdowała się w najwyższej pozycji.

Tego dnia Ronald dokonał odkrycia - przekonał się, że miękkie dziecięce kocyki nie chronią graczy w rugby przed działaniem prawa ciężenia. Tego samego dnia Joy postanowiła, że nigdy więcej nie będzie się zajmowała cudzymi dziećmi, nawet gdyby miała przymierać głodem.

- To było najdłuższe lato w moim życiu - dodała Joy.

Kiedy następnego roku ta sama rodzina poprosiła ją o opiekę nad dziećmi, Joy odmówiła

i podjęła swoją pierwszą pracę w miejscowym domu towarowym.

Ale tej trójki braci nie może zostawić na lodzie.

- Chłopcy - mruknęła pod nosem, a słowo zabrzmiało jak przekleństwo.

Betty zarechotała basowo, niczym żeńska wersja świętego Mikołaja.

- Miałaś braci?

- Nie. Byłam jedynaczką. Ale miałam kuzynów. Wystarczy, żeby się utwierdzić w przekonaniu, że chłopcy tak naprawdę wcale nie są ludźmi. Czasami, oczywiście, dorastają i stają się mężczyznami, ale bywa, że pozostają chłopcami przez całe życie.

Ostatni facet, którego Joy traktowała poważnie i z którym umawiała się na randki, był swego rodzaju Piotrusiem Panem, który nigdy nie chciał dorosnąć. Powodem, dla którego zerwali, była właśnie ta jego niezdolność do funkcjonowania w charakterze osoby dorosłej. Spóźniał się albo zapominał o randkach, często zmieniał pracę - głównie dlatego, że nigdy nie zdążał na czas.

Ich romans na początku był fajny i beztroski, ostatecznie okazał się denerwujący i przygnębiający. Joy, która miała dość stresów w swoim życiu, doszła w końcu do wniosku, że facet nie jest wart zachodu.

I nie tęskniła za nim.

Co nie znaczy, że wykluczyła mężczyzn ze swojego życia. Broń Boże.

Mężczyźni?- Proszę bardzo, byle nie chłopcy.

Tymczasem dzisiaj musi pomóc w zakupach takim właśnie stworzeniom.

- Jest ich trzech? Trzech chłopców? - zapytała, licząc na to, że Betty zaprzeczy. Może ją źle zrozumiała, a może Jamie coś pokręciła. Może to tylko jeden chłopiec. A jeżeli liczba się zgadza, to może chodzi o trzy dziewczynki?

Niechby nawet o dwie dziewczynki i jednego chłopca.

Ale Betty tylko się zaśmiała.

- Tak, trzech chłopców. I ich ojciec. Ponieważ nie widać w okolicy żadnej mamy, należy przypuszczać, że to on ma prawo opieki. Musisz wykrzesać z siebie trochę autentycznego świątecznego entuzjazmu.

Joy parsknęła pod nosem.

- Jesteś taka radosna, że wystarczy za nas obie. Co się stało z tamtą zgryźliwą Betty, która przez ostatnie tygodnie chodziła ponura niczym chmura gradowa?

- Jest Wigilia Bożego Narodzenia i zamierzam ją spędzić z wnukami. Dzięki temu odzyskałam humor. Życzę ci tego samego, i to jeszcze przed końcem dnia.

- Bardzo śmieszne! Ja i wnuki!

- Pospiesz się. Chłopcy czekają.

Joy sięgnęła po papiery i sprawdziła ułożony przez Jamie program dnia. Krok pierwszy: sesja zdjęciowa z tutejszym świętym Mikołajem.

Czy to okaże się trudne?

Joy wzięła się w garść i wyszła na spotkanie losowi, który przypadł jej w udziale w dniu Wigilii.

Powierzona jej rodzina siedziała na krzeselkach w pobliżu biura obsługi klienta. Zanim ją zauważyli, miała okazję przyjrzeć im się i ocenić, co tak naprawdę ją czeka. Dwaj starsi chłopcy sprzeczali się, co lepsze - Marvel Comics 1, czy DC 4, najmłodszy zaś wydzierał kartki z jakiegoś pisma i robił z nich samolociki.

Ojciec rozmawiał przez komórkę, wyraźnie obojętny na to, co wokół niego się dzieje. Może, gdyby Joy spotkała tego człowieka w innym miejscu i w innych okolicznościach, uznałaby go za interesującego, a nawet seksownego mężczyznę. Ale w tych okolicznościach...

Miał ciemne, prawie czarne włosy, lekko siwiejące na skroniach. To pewnie zasługa tych chłop-

1Marvel Comics - jedno z amerykańskich wydawnictw komiksowych. Stworzyło takie postacie jak np. Kapitan Ameryka, Spiderman czy grupa X-men. (przyp. tłum.).

4 DC - jedno z największych amerykańskich wydawnictw komiksowych, które wykreowało takie serie komiksowe, jak Superman, Batman czy Sandman, (przyp. tłum.).

ców, pomyślała, postanawiając nie zwracać uwagi na tego proporcjonalnie zbudowanego mężczyznę.

Wolała raczej skoncentrować się na jego wadach. O, na przykład jego nos... zdecydowanie zbyt wydatny. Ale zaraz dostrzegła ładny zarys tego nosa i uśmiezek, od którego tworzyły się drobne zmarszczki w kącikach ust. W sumie wydawał się sympatyczny.

Zgoda, facet wygląda nieźle, ale to nie powinno w ogóle jej obchodzić. Ma się zająć tą rodziną, a im szybciej złączą rundę pó sklepie, tym prędzej się od nich uwolni.

Stała blisko nich. Dwaj starsi nadal się sprzeczali, młodszy puszczał samolociki, a sympatyczny tatuś kontynuował rozmowę.

Na domiar wszystkiego z interkomu na cały regulator leciała znana kolęda, a słowa jej refrenu „i pokój na ziemi” zakrawały na ironię. Może na ziemi jest gdzieś pokój, ale z pewnością nie tutaj, w Harrington and Vine's. No i nie teraz. Może za parę godzin, kiedy za tą czwórką zamkną się drzwi.

Chrząknęła.

Komiksowa debata trwała, pan Hall nadal rozmawiał, śmiejąc się z czegoś, co usłyszał, tylko najmłodszy z chłopców podniósł głowę i wycelował w Joy jeden z papierowych samolocików. Zwinnie go złapała.

Dzieciak uśmiechnął się do niej. I chociaż Joy miała alergię na chłopców, wcale nie musiała się wysilać, żeby unieść kąciki warg.

- Możemy zabrać się za zakupy? - zapytała. Komiksowcy przerwali dyskusję w pół słowa, najmłodszy zgarnął samolociki i wepchnął je do tylnej kieszeni, a ojciec powiedział „dzień dobry” i zamknął telefon.

- Cześć - powiedziała, zdobywając się na uśmiech. - Nazywam się Joy O'Connell. Będę wam towarzyszyć w zakupach.

- Cześć, Joy. A ja jestem Edward Hall. - Mężczyzna wstał i zbliżył się do niej z wyciągniętą ręką-

Podawała mu swoją i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że od dotyku jego palców poczuła nagły przypływ adrenaliny, a jej serce zaczęło walić w nienormalnie szybkim tempie.

Joy zdławiła w zarodku to dziwne doznanie.

- Eee... miło mi, panie Hall.

- Doktor Hall - wtrącił najmłodszy. - Mój tata jest lekarzem. To znaczy nie takim prawdziwym lekarzem. Nie kroi i nie otwiera ludzi, i nie ogląda ich bebechów, nic z tych rzeczy.

Prawdziwy lekarz to robi. On tylko idzie do swojego gabinetu, a potem wraca do domu.

Nazywam się T.J. Złapałaś mój samolot jak chłopak, nie jak dziewczyna.

Ostatnie zdanie wymówił z odcieniem po-

dziwu, jakby to był najlepszy komplement, na jaki go stać.

Joy, która na widok chłopców dostawała wysypki, uśmiechnęła się szeroko.

- Powinieneś wiedzieć, że dziewczyny potrafią łapać, a nawet robić papierowe samoloty nie gorzej od chłopców, T.J.

Jeśli uda się jej przeżyć ten dzień, może zademonstruje mu, co potrafi.

Pan doktor wskazał ruchem głowy dwóch starszych chłopców.

- A to moi synowie...

- Pan Marvel Comics i pan D.C. - odpowiedziała Joy.

- Jake i Tim - dokończył doktor Hall.

- Cześć, Jake... cześć, Tim - przyjęła do wiadomości, kiwając głową. - Teraz, kiedy się już znamy, możemy zabrać się do roboty. Jamie okazała się na tyle przezorna, że zostawiła mi harmonogram waszych zajęć, który jest wyjątkowo napięty. Na początek^v złożymy szybką wizytę świętemu Mikołajowi.

Liczyła na to, że uda jej się obudzić zainteresowanie chłopców, ale sądząc po niezadowolonych pomrukach, jakie wydali, chyba nic z tego nie wyszło.

- Nie przesadzajcie - powiedziała, usiłując wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu i demonstrując szeroki uśmiech. - Chodzi tylko

o parę reklamowych zdjęć. To nie takie straszne. Sfotografujecie się, a potem kolej na zakupy. Spojrzenie, jakie rzucił jej doktor Hall, mówiło dość wyraźnie, że mogą być z tym kłopoty. Joy była nawet skłonna ustąpić. Gdy holowała rodzinę najpierw do windy, a potem do miniaturowego miasteczka, gdzie rezydował święty Mikołaj, wymuszony uśmiech nie schodził z jej warg.

Z głośników płynęły słowa: „Przybądź, święty Mikołaju”, a Joy pomyślała, że powinny brzmieć: „Oto przybywa rodzina Hallów”.

Miała nadzieję, że święty Mikołaj jest przygotowany na najgorsze.

ROZDZIAŁ TRZECI

Okazało się, że święty Mikołaj nie był przygotowany na takie wygłupy. Podobnie jak Joy. Czy dla trzech chłopców i jednego mężczyzny ustawienie się obok świętego Mikołaja i zrobienie odpowiedniej miny do aparatu fotograficznego jest zbyt wielkim wysiłkiem? - Okazało się, że owszem.

Ze to jest po prostu niewykonalne.

- Tak mi przykro - setny raz powtórzył doktor Hall.

Było południe i stali w kolejce do baru kawowego, znajdującego się na wprost bocznego wejścia do sklepu. Chłopcy popędzili do działu ze sprzętem elektronicznym, a dwoje dorosłych próbowało odzyskać siły dzięki wzmacniającym właściwościom kawy.

- Nie ma sprawy. - Machinalnie powtarzała Joy, próbując zbagatelizować sprawę.

Żeby wypaść bardziej przekonująco, zaprezentowała zawodowy uśmiech. Wszystkie jej zapewnienia były oczywiście jednym wielkim kłamstwem. Zakupy okazały się taką samą torturą jak sesja zdjęciowa ze świętym Mikołajem.

Czekając na kawę, Joy z trudem utrzymywała pogodny wyraz twarzy.

Przeczytała gdzieś, że groźna mina uruchamia trochę mniej mięśni niż wymuszony uśmiech.

Nie bardzo w to wierzyła, ale ponieważ od stałego uśmiechania rozboleły ją mięśnie twarzy, postanowiła to sprawdzić. Na chwilę odwróciła się od doktora Halla i zmarszczyła wściekle brwi.

Jezu, co za ulga.

Odwracając się do gościa i próbując przywołać uśmiech na twarz, prawie jęknęła z bólu.

- Czterdzieści cztery - zawołała dziewczyna za ladą.

- To my - powiedział Ed i odebrał ich kawę. - Poszukamy stolika? Dobrze by było odpocząć chwilę i zebrać siły przed dalszą akcją.

- Może chłopcy sami coś znajdą, skoro trafili do działu z elektroniką?

Miała taką nadzieję. Byłoby cudownie, gdyby udało się zrobić zakupy w ekspresowym tempie. Potem jeszcze tylko szybki lunch i do domu...

Ed potrząsnął głową, kierując się do jedyne go wolnego stolika.

- Nie liczylibym na to. To źle, że pozwoliliśmy im się urwać. Założę się, że kompletnie zapomnieli o kupowaniu prezentów dla przyrodniego rodzeństwa. Jedyne, co ich teraz absorbuje, to najnowsze gry komputerowe, sprzęt stereo i tak dalej. Kocham moich chłopców, ale nie mam złudzeń. Najpierw sami się obkupią.

- Świetnie - wymknęło się Joy. Zabrzmiało to jak jęk rozpaczny.

- Świetnie - spróbowała jeszcze raz, z większym entuzjazmem. - Mają się dzisiaj dobrze bawić. Jeżeli nawet wybierają prezenty tylko dla siebie, to i tak posuwamy się do przodu. A teraz, żeby nie tracić czasu, proszę mi przypomnieć, kogo jeszcze mają obdarować.

- Cóż... dwie młodsze przyrodnie siostry, matkę i ojczyrna, a także babcie i dziadków z obu stron.

- No i oczywiście pana, doktorze Hall.

- Ed - poprawił ją z uśmiechem. - Dwoje ludzi, którzy uszli z życiem po czymś takim, jak zdjęcia ze świętym Mikołajem, może śmiało przejść na ty. Mów mi Ed.

- A ty mnie Joy. - Wypiła duży łyk kawy i poczuła się odrobinę lepiej. - Masz jakiś pomysł na prezent dla ciebie, który mogłabym im podsunąć?

Jest lekarzem, pomyślała. Co robią lekarze dla przyjemności?

- Może sprzęt golfowy? - zaryzykowała.

- Nie gram w golfa.

- Ach, tak? - W porządku, podeszła do sprawy stereotypowo i nie trafiła. Jak widać, nie wszyscy lekarze grają w golfa.

Upiła jeszcze jeden łyk bardzo gorącej kawy.

- No więc, doktorze Ha... Ed - poprawiła się, widząc jego skrzywioną minę. - No więc, Ed, co jest twoją ulubioną rozrywką?

- Jestem tak zaabsorbowany chłopcami i ich sprawami, że jeśli nawet kiedyś miałem jakieś hobby, jeśli coś mnie bawiło, to dawno o tym zapomniałem. Pracuję, wykonuję ojcowskie obowiązki i... - urwał, jakby usiłował sobie przypomnieć, co jeszcze robi, po czym wzruszył ramionami. - Zdaje się, że trochę przynudzam. Ale dla mnie wszystko, co wiąże się z ojcostwem, jest zabawą i czystą radością,

- Nie przynudzasz - zaprzeczyła. - Jesteś dobrym ojcem, skoro stawiasz dzieci na pierwszym miejscu. Więc co ci mogą dać w prezencie, żeby cię uszczęśliwić?

- Uszczęśliwić? - prychnął.

Co to było?, pomyślała zdziwiona Joy. Czyżby niezadowolenie?- Czy pod maską świątecznie radosnego tatusia, który tak entuzjastycznie zapewniał ją, że pozowanie do zdjęć ze świętym Mikołajem to sama przyjemność, kryło się jakieś zniechęcenie?

Sama widziała, że nawet po dwudziestym ujęciu uśmiechał się szeroko, zapewniając, że tym razem żaden z synów nie przystawi rogów drugiemu, nie wywali języka ani nie szturchnie brata.

Może świąteczny entuzjazm doktora Halla jest udawany? Czyżby spotkały się dwie bratnie dusze? Postanowiła to sprawdzić.

- Nie czujesz jakoś serdecznej atmosfery jak pod świąteczną choinką?

- Chyba że jest to choinka uschnięta i kłująca. Tak to odczuwam dzisiaj... a właściwie przez cały okres świąt.

- A wyglądałeś tak entuzjastycznie i bojowo. Nawet w najgorszych momentach sesji zdjęciowej. - Zniżyła głos i sparodiowała Eda najlepiej, jak umiała: - „Chłopcy! To jest właśnie to zdjęcie!” - Roześmiała się. - W zagrzewaniu do boju prześcignąłeś samego świętego Mikołaja, co zresztą nie było trudne. Jestem pewna, że miał dość tej akcji już po pierwszym ujęciu. Nie należy chyba do najweselszych świętych Mikołajów. Prawdę mówiąc, jest najmniej sympatyczny ze wszystkich, z którymi miałam tutaj do czynienia.

- Po prostu udawałem, przykro mi - zwierzył się jej Ed konspiracyjnym szeptem. -

Myślałem, że potrafię wczuć się w bożonarodzeniowy nastrój, ale ponury święty Mikołaj zrobił swoje.

Zauważyłaś, z jakim upodobaniem ten człowiek powtarzał słowo „różga”? Jak jakąś mantrę. A kiedy chłopcy pociągnęli za sznurek, przytrzymujący jego brodę, dosadnie sprecyzował, co by im najchętniej dał na Boże Narodzenie. A kiedy ty go sparodiowałaś, mówiąc: „Ho, ho, ho, idą święta”, on mruknął pod nosem: „Wielka blaga”. Ed powoli sączył swoją kawę.

- I nawet wtedy święty Mikołaj był w bardziej świątecznym nastroju niż ja. Rzecz w tym, że jutro po południu mam odwiedzić chłopców do mojej byłej żony do Raleigh. Zostaną tam przez tydzień. Są co prawda nieznośni, ale będzie mi ich brakowało. Wiem, że to brzmi melodramatycz-nie, ale taka jest prawda. Doprowadzają mnie do szału, ale perspektywa ich nieobecności w czasie świąt odbiera mi całą radość z przeżywania tych cudownych dni.

- To wasze pierwsze Boże Narodzenie od czasu rozvodu? - zapytała ze zrozumieniem Joy. Wiedziała, jak bardzo brak rodziny może popsuć świąteczny nastrój.

- Nie. Rozwiedliśmy się parę lat temu, ale aż do tego roku moja była żona mieszkała w Charlotte, więc mogliśmy dzielić się chłopcami w dowolnych terminach. Parę godzin, a nawet cały dzień bez nich traktowałem jak wytchnienie, ale cały tydzień... zwłaszcza teraz... w czasie świąt?

- Potrafię to zrozumieć. - Joy czuła to samo, gdy myślała o swojej rodzinie. Te wszystkie świąteczne spotkania uznawała za męczące i przez następny rok od czasu do czasu marzyła, żeby gdzieś uciec i spędzić święta na przykład na meksykańskiej plaży. Ale kiedy się teraz okazało, że nie pojedzie do domu i nie weźmie udziału w rodzinnych przyjęciach, święta straciły dawny blask. - Naprawdę potrafię.

- Wiem, że nie powinienem narzekać - westchnął Ed. - Większość czasu chłopcy przebywają ze mną. Nie chcieli zmieniać szkół, a ja jestem wdzięczny Lenie za to, że pozwoliła im zostać w Charlotte, więc tym bardziej nie powinienem mieć żalu, że spędzą z nią ferie...

Joy czekała na dalszy ciąg: „ale będzie mi ich brakowało”, i po chwili się doczekała:

- Rozumiem, że po tej błazenadzie ze zdjęciami może ci się to wydawać dziwne, ale naprawdę będzie mi bez nich smutno.

Wypił kolejny łyk kawy i podniósł oczy do góry. Spotkali się wzrokiem i patrzyli długo na siebie, aż Ed powiedział:

- Przepraszam. Nie chciałem ci psuć świątecznego nastroju.

- Daj spokój. - Joy była niemal pewna, że powiedział to, żeby z niej zadrwić. - Nie sądzę, żeby można go było jeszcze bardziej zepsuć, nawet gdyby teraz miała nastąpić całodzienna

sesja zdjęciowa ze świętym Mikołajem. Ale mówiąc poważnie, coś jest na rzeczy.

- A wydajesz się taka radosna. - Tym razem to Ed wyglądał na zaintrygowanego. - Więc ty też oszukujesz?

- Jestem niezłą aktorką, prawda? To moje pierwsze Boże Narodzenie w Charlotte. Cała moja rodzina mieszka w San Diego, a jedyna koleżanka z Kalifornii - w Pittsburgu, i chociaż jestem pewna, że Morgan nie miałaby nic przeciwko moim odwiedzinom, to wydaje mi się za daleko. No i zostałam sama. Wszędzie panuje grypa i mniej więcej jedna trzecia mojego personelu jest na zwolnieniu, a do tego... - Joy zniżyła głos prawie do szeptu - ...choć się bardzo staram, kolędy doprowadzają mnie do szału, a jeśli jeszcze raz usłyszę słowa „świętecznie”, „wesoło” albo „radośnie”, przysięgam, że zacznę wrzeszczeć. A jeszcze te kolędy w rytmie rapu! - Joy otrząsnęła się ze wstętem, nie zamierzając rozwijać tego wątku.

- A wiesz, jak jest u mnie? Moja recepcjonistka jest w ciąży i lada dzień będzie rodzić, więc przez najbliższe trzy miesiące jestem zdany na zastępstwo.

Uśmiechnął się szeroko, jakby wyzywał Joy na pojedynek.

Cóż, mogą się pobawić w „czyje na wierzchu”. Policytują się, czyje święta będą bardziej parszywe.

- Ale, doktorze Hall...

- Ed - przerwał.

- No, dobrze... Ed - zgodziła się. - No więc, Ed, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: jestem kierowniczką sklepu i tylko zastępuję Jamie, która na ogół pomaga w zakupach w Harrington and Vine's. Jamie jest chora, a robienie zakupów z czterema facetami, z których trzech to smarkacze, nie należy do moich obowiązków. - Joy zaniepokoiła się, czy tymi ostrymi, pochopnie wypowiedzianymi słowami, nie obraziła Eda, ale on tylko się roześmiał.

- Głowę daję, że ma grypę, jak wszyscy dokoła. Joy potwierdziła skinieniem głowy.

- Niezłe, ale zaraz cię przebiję.

- Och, bardzo wątpię. Na razie idziemy łeb w łeb. Obojgu nam będzie brakowało rodziny, obojgu brakuje albo wkrótce zabraknie współpracowników. A co powiesz na robienie zakupów w Wigilię z czterema facetami?- Sam rozumiesz, że kładę cię na obie łopatki.

- Zaraz się przekonasz, że mam coś lepszego. Jak wiesz, muszę pomóc chłopcom kupić prezenty dla byłej żony, jej męża i ich dwojga dzieci. Nawet twoja awersja do kolęd...

- Nadają je, odkąd skończyło się Halloween, a firma nie pozwala ich wyłączyć aż do ostatniej godziny Bożego Narodzenia - przypominała Joy, chociaż znała już prawdę. Przegrała tę bitwę.

300

- Przykro mi - pokręcił głową Ed. - Kupowanie prezentów dla byłej żony i jej nowej rodziny przebija nawet trzy miesiące słuchania kolęd i wigilijne zakupy z nieznośnymi chłopcami. Wygrałem.

Joy wzniosła toast swoim cappuccino.

- Chylę czoła przed zwycięzcą i potwierdzam, że masz najbardziej parszywe Boże Narodzenie pod słońcem.

Kiedy się stuknęli plastikowymi kubkami, Joy uświadomiła sobie nagle, że ten dzień wcale nie okazał się tak bardzo parszywy. Po raz pierwszy od długiego czasu nie czuła się samotna i wcale nie chciało jej się stąd ruszać. Ale po chwili poczucie obowiązku przeważało. Wypiła ostatni łyk kawy i odstawiła puste naczynie.

- Wiesz co? Im szybciej uwiniemy się z zakupami, tym szybciej poprawi ci się humor.

- I tym szybciej ty wrócisz do swoich obowiązków i zapomnisz o koszmarze robienia zakupów z czterema facetami w Wigilię Bożego Narodzenia - zrewanżował się Ed.

Uznała, że mimo wszystko nie użyłaby słowa „koszmar” do opisanie swojego dzisiejszego doświadczenia.

- Szczerze mówiąc, myślałam, że będzie gorzej - przyznała.

- Jeszcze nie mów hop - zaśmiał się Ed. - Sesja zdjęciowa ze świętym Mikołajem to kaszka man-

301

na w porównaniu z nakłonieniem moich trzech gagatków do kupowania czegoś innego niż gry komputerowe i płyty DVD.

- Aż tak źle? - zapytała, tracąc tę odrobinę otuchy, która niedawno w nią wstąpiła.

- Jeszcze gorzej - skrzywił się Ed.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy w drodze do magazynu przeciskali się przez tłum, zadzwoniła komórka Joy. Ed dyskretnie odsunął się na bok, ale nie oparł się pokusie i raz czy drugi zerknął na Joy. Miała dość przeciętną urodę: nieokreślony kolor włosów - ni to brązowe, ni to blond - średni wzrost i miłe rysy, nieduży, lekko zadarty nos i jasnobrązowe oczy. A jednak Joy O'Connell wcale nie była przeciętna. Kiedy się przekomarzali przy kawie, emanowało od niej coś... czego Ed nie czuł od lat.

Oderwał się myślami od swojej zdecydowanie sympatycznej hostessy i spróbował ogarnąć wzrokiem centrum handlowe.

Podczas ostatnich godzin, jakie pozostały do zamknięcia King's Mall, ludzi ogarnęło zbiorowe szaleństwo. Biegali od jednego stoiska do drugiego, ścigali się z czasem, żeby tylko skreślić kolejne pozycje z listy zakupów.

Ed kupił wszystko parę tygodni temu. Już

nawet zapakował prezenty. Miotanie się w ostatniej chwili było sprzeczne z jego naturą i zupełnie mu nie odpowiadało.

Wziął się w garść, ale kiedy Joy wreszcie dołączyła do niego, znowu dały o sobie znać rozbudzone i szybko stłumione erotyczne doznania.

- Przepraszam - powiedziała Joy. - Czy zanim zgarniemy chłopców, moglibyśmy wpaść na chwilę do mojego biura? Muszę przejrzeć parę dokumentów i pewnie kilka podpisać.

- Nie ma sprawy - zapewnił Ed.

- Jesteś pewny?

Pomyślał, że po doświadczeniu z sesją zdjęciową Joy ma prawo nie ufać jego chłopcom i zadać mu takie pytanie, i nie miał jej tego za złe.

- Jake ma szesnaście lat. Liczę na to, że jeszcze przez parę minut utrzyma braci w ryzach. Zwłaszcza w dziale z grami.

Mówiąc to, Ed modlił się, żeby tak było naprawdę. Pewnie powinien wrócić i poczekać razem z synami, ale z przyczyn, których nie potrafił wytłumaczyć, nie chciał opuścić Joy.

- Świetnie - powiedziała z miłym i szczerym uśmiechem.

Może to przez ten uśmiech, przy którym znikła cała jej przeciętność, Ed nie chciał się z nią rozstawać. Uśmiech rozjaśniał jej twarz i kazał zapomnieć o niedostatkach urody.

Pomaszerowali w milczeniu w stronę biur zajmujących się obsługą klientów. Ed doszedł do wniosku, że Joy mu się podoba.

Już dawno mu się nic takiego nie zdarzyło.

Jasne, spotykał się z kobietami i zawsze zwracał uwagę na te urodziwe. W końcu nie przestał być mężczyzną, ale szkoda mu było czasu na sporadyczne kontakty.

Dotarli na pierwsze piętro, gdzie Joy wdała się w pogawędkę z recepcjonistką.

Ed przysłuchiwał się rozmowie.

- W porządku, Betty, chyba będę musiała się tym zająć - powiedziała w końcu Joy. - Właściwie to nie mam wyboru. Ale zaczynam się czuć jak przysłowiowa Kurka Złotopiórka, która wszystko robi sama. Tyle że znam zakończenie tej bajki i wiem, że nie tylko nikt mnie nie pochwali, ale jeszcze przybędzie mi pracy.

- Przykro mi, Joy. Sama bym to zrobiła, ale moje wnuki... - Betty zawiesiła głos.

Joy pokiwała głową.

- Wiem. Mogłabyś poprosić kogoś, żeby załadował to wszystko do mojego samochodu?

Kluczyki są w mojej torebce - powiedziała i podpisała jakieś pismo.

- Naturalnie - ucieszyła się Betty.

- W porządku. Ruszamy? - zapytała Joy, odwracając się do Eda. Nie czekając na jego odpowiedź, poszła z powrotem w kierunku windy.

305

- Co się stało? Jeszcze jedna chora pracownica? - zapytał.

Joy potrząsnęła głową, aż jej włosy rozsypały się w nieładzie.

- Tym razem zachorowała wolontariuszka. A raczej wolontariusze.

Ed z trudem się powstrzymał, żeby nie wyciągnąć ręki i nie poprawić jej włosów.

Wydawały się takie miękkie, że miał ogromną ochotę ich dotknąć. To pragnienie burzyło jego spokój.

Joy wyglądała na zagubioną, najchętniej wziąłby ją w ramiona i pocieszył, tak jak to robił z chłopcami, kiedy byli mali.

- A więc, jaka jeszcze praca cię dzisiaj czeka?

- Trudno to nazwać pracą. To może być całkiem fajna sprawa. Harrington and Vine's wspólnie z dyrekcją centrum patronują akcji „Tajemniczy święty Mikołaj”. Wolontariusze współpracują w tej akcji z różnymi firmami na terenie Charlotte i razem opiekują się ubogimi rodzinami, które nie mają nawet pojęcia, że zostały wybrane. W Wigilię Bożego Narodzenia wolontariusze zbierają prezenty od różnych firm i podrzucają je do domów tych rodzin. Tymczasem nasi pochorowali się na grypę, a główny organizator nie ma kogo tam posłać. Czyli albo załatwi to ktoś z naszej firmy, albo nikt. A to już byłby skandal.

Wzięliśmy na siebie samotną matkę dwojga dzieci, która wychowuje prócz tego

trójkę innych, pochodzących z wielodzietnej rodziny. Jeśli im nie pomożemy, pod ich choinką będzie pusto albo bardzo niewiele.

- Czyli to ty zostałeś wybrana na pomocnika świętego Mikołaja?

Joy wzruszyła ramionami.

- To mój obowiązek. Nie wyobrażam sobie, jak ta kobieta radzi sobie z piątką dzieci...

- Skoro ja z trudem radzę sobie z trzema... - powiedział Ed.

- No właśnie. Martwię się tylko, jak to zorganizować, żeby mnie nie nakryli.

- Kiedy masz dostarczyć prezenty?

- Sąsiadka tej kobiety ma klucze do jej mieszkania, a cała rodzina nie wróci do domu wcześniej niż przed trzecią. Chyba jednak będę musiała pojechać tam później i jakoś ukradkiem podrzucić te rzeczy.

- Albo...

- Co albo?

- Czy moglibyśmy ci pomóc? Możemy załadować wszystko do naszego vana. W piątkę uwiniemy się szybko i zdążymy podrzucić prezenty przed trzecią. Praca na ochotnika dobrze zrobi moim chłopcom, będzie też okazja, żeby ci pomóc.

- Doktorze...

Obrzucił ją karcącym wzrokiem, jak swoich chłopców, i aż się zdziwił, że to działa również na dorosłych.

- Ed, nie musisz tego robić. Na pewno miałeś inne plany.
- Nic takiego, co nie mogłoby poczekać godzinę albo więcej. Skoro ty mogłaś zmienić swoje plany, żeby komuś pomóc, my też możemy to zrobić. - Po chwili milczenia zapytał ponownie: - Skoro już jesteśmy przy planach... co robisz wieczorem? Bo my spożyjemy w domu miły rodzinny posiłek.
- Umiesz gotować? - odpowiedziała pytaniem Joy.
- Mam trzech chłopców, więc muszę umieć. A widziałaś kiedyś pałaszujących wyrostków?- Joy pokręciła głową.
- Zapewniam cię, że karmienie ich to prawdziwy horror. Musiałem się nauczyć dostarczać im jedzenie odpowiednio często i w ogromnych ilościach, w przeciwnym razie rzuciliby się na mnie. Ale przyznam się, że dzisiaj jedzenie przywiezie wypróbowana przez nas firma cateringowa. Czasami dobrze jest zrobić sobie odpoczynek, no i zjeść coś lepszego.
- A na co dzień czym ich karmisz? - Nie wytrzymała Joy.
- Powiedzmy, że pewna firma produkująca makaron i ser dzięki nam wychodzi na swoje.
- To i tak lepsze niż moja kolacja składająca się z sałatki z plastikowego pojemniczka - roześmiała się Joy. - Przynajmniej jadacie coś

gorącego. Może powinnam poprosić o adres tej firmy?

Ed wyjął z kieszeni kluczyki i podał je Joy.

- Najpierw zajmiemy się dostawą prezentów. Zaczekaj w vanie, a ja poszukam chłopców. Samochód stoi...

- Myślę - przerwała - że tobie łatwiej będzie go znaleźć. Mógłbyś podejść pod wejście dla personelu z drugiej strony centrum? Ja przez ten czas sprowadzę chłopców.

- Czy ty aby na pewno wiesz, co mówisz?

- Myślisz, że samodzielnie nie doprowadzę ich do vana?

- Myślę, że nie oderwiesz ich od gier komputerowych.

- Kieruję dużym sklepem, więc chyba poradzę sobie z trzema chłopcami.

Ed pozostawił to bez komentarza, wiedział, do czego są zdolni jego synowie, kiedy dorywają się do gier.

Kochał chłopców i rozumiał ich słabostki, a gry wideo zdecydowanie podpadały pod tę kategorię.

Żeby dostać się do vana, musiał przejść ponad pół kilometra. Niby nie tak dużo, ale chłód i ponura pogoda nie zachęcały do spaceru. Ciemne, złowieszcze chmury pasowały do jego nastroju sprzed rozmowy z Joy przy kawie. Miał nadzieję, że od tamtego czasu jej humor też się poprawił.

Kiedy zdał sobie sprawę z tego, że bardzo fałszując, gwizdże fragment popularnej kolędy, zachichotał w duchu.

Wsiadł do samochodu, włączył ogrzewanie i podjechał pod wejście dla personelu, gdzie, ku jego zdumieniu, czekała już Joy z chłopcami.

- Jezu, jak ci się to udało? - zapytał, zdumiony, że chłopcy tak ochoczo zaoferowali pomoc w ładowaniu prezentów do bagażnika. - Jestem ich ojcem i wątpię, czy oderwałbym ich tak szybko od gier. W ich wieku nie skutkuje już wizja otrzymania różgi od świętego Mikołaja.

- Nie wiem, jak to się stało - szelmowsko uśmiechnęła się Joy. - Powiedziałam tylko, że podobno zdjęcia ze świętym Mikołajem nie wypadły najlepiej i że trzeba je będzie powtórzyć, ale jeśli dostarczymy prezenty na czas, może uda się wybrać najlepsze i poddać stosownej obróbce. Od czego jest program photoshop!

- Przebiegłe z ciebie stworzenie, Joy O'Connell. - A po krótkiej przerwie dodał: - I nawet ci z tym do twarzy.

- Och, nie doceniasz mnie. Gdyby to nie podziałało, przywołałabym ich do porządku siłą!

- Tym bardziej doceniam twoją przebiegłość.

- Miałam w odwodzie coś jeszcze gorszego.

- Możesz mi zdradzić, co?

- Kolędy. Chciałam im je zaśpiewać. Na

310

początek wybrałabym rapową wersję „W żłobie leży”.

- Niewykluczone, że zanim skończy się dzień, ta kolęda stanie się twoją ulubioną - powiedział ze śmiechem, a Joy mu zawtórowała.

- Szczerze mówiąc, dzisiejszy dzień jest znacznie lepszy, niż przypuszczałam.

- Poważnie? - zapytał Ed.

Joy przytaknęła ruchem głowy i posłała mu uśmiech. Ten uśmiech rozgrzał te partie ciała Eda, które prawie spisał na straty, jako bezużyteczne i ulegające atrofii.

- Bez porównania lepszy - odpowiedziała niskim, seksownym głosem.

- Dla mnie też - wyznał. Uświadomiła sobie, że flirtuje z Edem.

Od kiedy jakiś czas temu zerwała z ostatnim partnerem, bo ich związek popadł w rutynę, rzuciła się w wir pracy. Była zajęta, ale zadowolona, choć po pewnym czasie...

Nadal jest zajęta i zadowolona, ale okazało się, że to nie wystarcza.

Zerknęła na Eda, który prowadził vana, ale zaraz odwróciła się, żeby zobaczyć, co porabia siedząca podejrzenie cicho trójka.

- Dla kogo są te prezenty? - zapytał Jake, czując na sobie wzrok Joy.

- Dla rodziny, której wszystkiego brakuje. Samotna mama z dwójką własnych i trójką

311

cudzych dzieci, które przyjęła do rodziny. Ich sąsiadka poddała myśl, że przydałoby im się trochę rzeczy, więc... - Ruchem głowy Joy wskazała bagażnik. - Nasz sklep ofiarował prezenty, a my je ukradkiem podrzucimy. Sąsiadka wpuści nas do mieszkania, położymy to wszystko pod choinką i znikniemy.

- Ale ta kobieta nie będzie wiedziała, że to od ciebie - zauważył T.J.

- Nie ode mnie, ale od Harrington and Vine's. A że rodzina się nie dowie, no cóż, o to właśnie chodzi. Czasami wystarczy świadomość, że zrobiło się coś pożytecznego.

- To prawda - przyznał Ed, zatrzymując vana przed niepozornym piętrowym domem z cegły.

Joy pokiwała głową.

- Poczekajcie, aż porozumiem się z sąsiadką, a potem zobaczymy, czy potraficie się szybko ruszać, chłopcy.

Podeszła szybkim krokiem do niedużego domu w farmerskim stylu i zapukała do drzwi.

Otworzyła jej siwa pani o promiennym uśmiechu.

- Wesołych świąt - powiedziała zamiast powitania.

- Pani Jeffreys? - zapytała Joy, na co kobieta przytaknęła ruchem głowy. - Jestem Joy O'Con-nell z Harrington and Vine's.

- O Boże, udało się! - klasnęła w dłonie siwa pani. - Kobieta, z którą rozmawiałam przez

telefon, powiedziała, że wolontariuszka jest chora. - Gdyby to było możliwe, pani Jeffreys uśmiechnęłaby się jeszcze szerzej.

- To prawda, dlatego ją zastępujemy.

- Cudownie, cudownie. Będą tacy zdziwieni. Już biorę klucze i żakiet.

- Powiem chłopcom, żeby zaczęli wypakowywać. - Joy pobiegła z powrotem do vana. - To tu. Zaczniemy opróżniać samochód. Pani Jeffereys zaraz nam otworzy drzwi.

Ed i chłopcy zanurkowali w bagażniku. Zaczęli wyładowywać sterty paczek i stawiać je przed frontowym gankiem.

- O rany! Pada śnieg! - krzyknął T.J.

- Nie nazwałbym tego padaniem - zauważył Ed. Miał rację. Z nieba sfruwały duże, mokre płatki, które w zetknięciu z asfaltem natychmiast topniały. Po chwili w ogóle przestało padać.

- Ojej, już po wszystkim - zmartwił się Tim, patrząc tęsknym okiem na niebo, jakby w oczekiwaniu na więcej.

- Opamiętajcie się, przecież jesteśmy w Północnej Karolinie. Tutaj coś takiego uważa się za śnieg - powiedziała Joy, zonglując paczkami.

- Dopóki nie będzie można lepić pigułek, nie traktuję tego jako śnieg - mruknął Jake, uśmiechając się z nadzieją.

Pani Jeffereys szybkim krokiem przemierzyła ganek.

313

- Śpieszmy się - zawołała, otwierając frontowe drzwi.

- Układamy to wszystko pod choinką i zmykamy - poinstruowała swoją załogę Joy.

Choinka wyglądała bardzo oryginalnie. Od razu było widać, że ubierano ją starannie i z troską. Przeważały ozdoby wykonane w szkole: gwiazdy z kolorowego papieru ze zdjęciami szkolnymi pośrodku, bałwany z kulek waty, a także zabawnie i z fantazją przerobione pokrywki po mrożonym soku pomarańczowym, ozdobione pomysłowymi wzorami.

- Zdolne dzieciaki - powiedziała Joy cicho. Uklękła na podłodze i zaczęła rozmieszczać prezenty pod drzewkiem.

- Prawda? Zawsze przynoszą ze szkoły coś ciekawego - powiedziała pani Jeffereys. - Anne od lat nie widziała drzewek swojej lodówki, która jest od góry do dołu pokryta małymi dziełami sztuki. Ja też dostaję od nich różne ładne rzeczy, które sami robią.

- Pod jednym względem ta choinka przypomina mi naszą - odezwał się Ed, kładąc swoją stertę prezentów pod drzewkiem. - Na czubku umieściłem anioła, którego T.J. zrobił w przedszkolu.

- Tato! - krzyknął oburzony T.J.

Joy podniosła głowę i zobaczyła, że Ed uśmiecha się od ucha do ucha

314

- Wydaje mi się, że o aniołach, które nastolatek robił w przedszkolu, nie powinno się opowiadać w miejscu publicznym - zwróciła mu uwagę.

- Tak samo, jak nie powinno się wieszać na choince - zażartował Jake. - Tata staje się sentymentalny, kiedy zdejmuje z pawlacza pudełka i wyjmuje z nich stare zabawki. A kiedy dochodzi do papierowego krążka, na którym Tim napisał: „Dla najlepszego taty na świecie”, przysięgam, że ma łzy w oczach.

- Może się i rozklejam, ale na pewno nie płaczę - oburzył się Ed prawie identycznie jak przed chwilą T.J. - Poza tym, co w tym złego, gdy ojciec się cieszy, że dzieci chciały mu zrobić przyjemność?

Chłopcy przewrócili jednocześnie oczami. Joy zaczęła podnosić się z kolan, a Ed podał jej rękę.

- Gwarantuję wam, że przyjdzie taki dzień, kiedy zrozumiecie swoich rodziców - zapewniła chłopców.

Sceptyczne miny całej trójki braci rozśmieszyły dorosłych.

Joy uświadomiła sobie, że coś trzyma w ręku i spojrzała na dół. To była dłoń Eda. Do licha, jak to się stało?

Puściła ją, jakby to był gorący kartofel.

To prawda, pomagał jej wstać, a potem oboje

315

jakoś zapomnieli o tym, że już nie muszą trzymać się za ręce.

Teraz Joy wołała nie patrzeć w jego stronę.

- No, chłopcy - zawołała - dokończmy to, zanim ktoś wróci do domu.

Żeby wnieść wszystko, potrzeba było jeszcze paru rund. Potem sprawdzili, czy wszystko wygląda idealnie.

- Odwaliliście kawał dobrej roboty - pochwaliła chłopców Joy. - A skoro mowa o pracy, co byście powiedzieli na powrót do sklepu i zajęcie się waszą listą zakupów?

Chłopcy zawołali „hurra” i omijając dorosłych, pobiegli do vana.

- Naprawdę serdecznie wam dziękuję - powiedziała pani Jeffreys, zamykając drzwi na klucz. - To naprawdę wyjątkowa rodzina i wiem, ile będzie dla nich znaczył taki wspólnomyślny gest.

- Cieszymy się bardzo, że mogliśmy pomóc - zapewniła Joy.

Ruszyli z Edem w stronę samochodu.

- Joy? - odezwał się Ed.

Udała, że nie słyszy jego cichego głosu, który brzmiał dziwnie intymnie. Kiedy przypomniała sobie swoją pierwszą ocenę atrakcyjności Eda, poczuła się niezręcznie. Do cholery, przecież jest w pracy, a nie na randce.

- Chłopcy, jedziemy - zawołała, jak gdyby nigdy nic.

316

- Jeszcze chwileczkę - poprosił T.J. Zawrócił na ganek i położył na krześle garść papierowych samolocików, które miał w tylnej kieszeni.
- Może się spodobają tym dzieciom - powiedział i zbył swój gest wzruszeniem ramion. Przez chwilę, naprawdę krótką, Joy miała ochotę wziąć Eda za rękę i uścisnąć ją. Zamiast tego spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.
- Miły dzieciak - powiedziała prawie bezgłośnie. Ed pokiwał głową na znak zgody.
- No, chłopcy, pora ruszać na zakupy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Wasz tata coś wspomniał, że sporządziliście listę zakupów. Może zaczniemy od sklepu z zabawkami i załatwimy prezenty dla waszych przyrodnich sióstr.

- Nie moglibyśmy po prostu kupić im obu konsoli do gier? - zapytał Tim.

Jake pokiwał głową z aprobatą.

- Najlepiej dwuekranową, z odświeżoną wersją Nintendo DS.

Widać każdy chciał dodać coś od siebie.

- Albo przenośną konsolę do gier firmy Sony - zawołał T.J.

Oczyma duszy Joy widziała już kolejną sprzeczkę, taką, jak ta o komiksy. Żeby temu zapobiec, szybko wtrąciła:

- Kiedy kupuje się komuś prezent, powinno to być coś, co sprawi mu radość. Czy naprawdę uważacie, że wasza siostrzyczka pragnęłaby otrzymać przenośny aparat do gry?

- Chyba tak - zawahał się Tim.

- Eee, raczej nie. Ona dopiero nauczyła się chodzić. Założę się, że nawet nie potrafi utrzymać urządzenia sterującego. Ale uwielbia wszystkie telewizyjne filmy dla dzieci. Może by jej kupić jakąś jej ulubioną postać, na przykład któregoś z pluszowych zwierzątek, które występują w tych filmach? - poddał myśl Jake.

Chłopcy zaczęli się spierać, co ich siostrzyczka lubi najbardziej. Więcej było przy tym śmiechu i przekomarzania się niż kłótni. Bardzo przypominali Joy jej własnych kuzynów. Znow pomyślała o rodzinie i zateśniła. Zateśniła za całym klanem O'Connellów, nawet za wujem Fredem, zwłaszcza za nim.

A to już było dziwne, bowiem recepta wuja Freda na wesołe święta wiązała się z butelką wina - butelką, którą musiał samodzielnie opróżnić każdego roku do dna. Kiedy był mniej więcej w połowie, zaczynał śpiewać sprośne piosenki. Kiedy dochodził do przeboju „Honky Tonk Woman”, można było śmiało zaryzykować przypuszczenie, że przyjęcie dobiega końca.

Przez całe lata Joy czuła się zażenowana, gdy wuj Fred znajdował się w stanie upojenia alkoholowego, ale w tej chwili ni stąd, ni zowąd naszła ją ochota, żeby posłuchać jego sprośnej piosenki o babci, która udała się w podróż z reniferem. Ta niewybredna piosenka w jego inter-

pretacji na pewno byłaby lepsza od większości kolęd, które była zmuszona słuchać w tym ekskluzywnym centrum handlowym.

- Chłopcy, dajcie już spokój. - Głos Eda wyrwał Joy z zadumy i wspomnień minionych świąt Bożego Narodzenia. - Pamiętajcie, że panna O'Connell wspaniałomyślnie zastąpiła chorą na grypę koleżankę. Sama ma wiele spraw na głowie, a jeszcze musi przez cały dzień oprowadzać nasze stadko po sklepie.

Jeszcze nie tak dawno Joy podchodziła do sprawy identycznie, ale od jakiegoś czasu jej nastawienie zmieniło się dość radykalnie. Uśmiechnęła się do chłopców, żeby dodać im otuchy.

- W porządku, a więc najpierw udamy się do działu z zabawkami dla młodszych dzieci. Przyszły wam do głowy jakieś nowe pomysły?

- Tak - przyznał Jake. - Pomyśleliśmy, że zrzucimy się we trzech i kupimy sobie wspólny prezent. Nową konsolę do gier z różnymi akcesoriami. Policzyliśmy dokładnie, włącznie z sumą na przyjemności każdego z nas, dodaliśmy wszystko razem i wyszło na to, że wystarczy na zakup tego fantastycznego urządzenia. Czy możemy tak zrobić, skoro mieścimy się w budżecie?

- Oczywiście - zapewniła Joy. - To zależy tylko od was. Miło, że chcecie wspólnie zainwestować. Tylko nie zapominajcie, że jeszcze jest

długa lista osób do obdarowania. Co z nimi zrobicie? Macie jakiś pomysł?

Trzej ciemnowłosi bracia pokręcili przecząco głowami, a najmłodszy zrobił to tak energicznie, że Joy zaniepokoiła się, czy chłopiec czegoś sobie nie uszkodził.

- No to do roboty - zaordynowała ponownie, przywołując świąteczny entuzjazm. - Zacznijmy od działu z zabawkami, a może przez ten czas wpadną wam do głowy nowe pomysły.

Gdy mijali dział z elektroniką, Joy zatrzymała sprzedawcę i poprosiła, żeby odłożył na bok najnowszą konsolę do gier, o której wspomnieli chłopcy.

- Nie ma sensu nosić się z takim pudłem przez resztę dnia - wyjaśniła Edowi.

Ed został trochę w tyle, podczas gdy chłopcy popędzili przodem..

- Przepraszam, że to wszystko tak długo trwa - zwrócił się do Joy. - Jeśli chcesz, sam zrobię z nimi zakupy, a potem zadzwonię po ciebie, żebyś obejrzała i zaakceptowała prezenty.

- Zabawne... gdybyś poprosił mnie o to z samego rana, pewnie bym skorzystała z propozycji. Ale teraz? No cóż, powiedzmy sobie wprost, że ta akcja nie jest taka straszna, jak się początkowo obawiałam.

Ed zerknął znacząco w stronę synów.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

321

Wpadła w prawdziwie radosny nastrój, który trwał do momentu spotkania z chłopcami.

Właśnie klócili się o to, jaka gra będzie najlepsza do nowego systemu.

- Czy chodzi o to, kto kogo przekrzyczy?

- zapytała Joy.

Ed pokiwał głową, rzucił chłopcom groźne „ojcowskie” spojrzenie i nawet mruknął ostrzegawczo „chłopcy” tonem mającym ich zachęcić do współpracy z Joy.

Bracia chyba nie bardzo się tym przejęli. Co prawda trochę się wyciszyli, i, jak zauważyła Joy, sprzeczali się teraz szeptem, ale ilekroć ojciec spuszczał ich z oczu, poszturchiwali się i częstowali kuksańcami.

- Może opuścimy na razie ten dział, bo przecież zawsze możemy tu wrócić. Powiedźcie, co sądzicie o takim prezencie dla waszej czteroletniej siostrzyczki? - zapytała Joy, podnosząc do góry lalkę w stroju księżniczki.

- Eee, ona nie lubi dziewczyńskich zabawek, bo to chłopczyca - upierał się T.J. - Wiem, pani myśli, że jej się to spodoba, ale tato, ona na pewno będzie wołała...

- Niech zgadnę - wszedł mu w słowo Ed.

- Czy nie jakąś grę komputerową?

Trzy głowy przytaknęły równocześnie identycznym, zautomatyzowanym ruchem.

- Więc może ustalmy, czy macie na liście

zakupów kogoś, kto nie chciałby dostać elektronicznej gry? - ironicznie zapytała Joy. Ciepłe rodzinne wspomnienia gdzieś odpłynęły, zniknęły także resztki radosnego nastroju, w jaki ją wprowadziło podrzucenie prezentów nieznamym rodzinie. Przypomniała sobie za to, że po entuzjastycznych powitaniach, pełnych pocałunków i okrzyków, wizyty najmłodszych członków jej rodziny do złudzenia przypominały to, co miało miejsce tutaj. Aha, jeszcze jedno - wuj Fred fałszował.

Okropnie fałszował.

- To prawda, że mała dziewczynka może wolałaby dostać coś innego niż sprzęt elektroniczny - przyznał Tim. - To znaczy... to nie takie proste, bo ona ciągle jeszcze wkłada wszystkie zabawki do buzi. A ty, tato, zawsze mówiłeś, że nie łączy się wody z elektrycznością.

- Ma się rozumieć. Zasada numer jeden - odpowiedział Jake.

Ed wyglądał na lekko zakłopotanego.

- Zacząłem o tym mówić po tym, jak Tim doszedł do wniosku, że jego rybka chciałaby posłuchać radia i wrzucił ją do czołgu... to znaczy radia w kształcie czołgu. Do radia na prąd, nie na baterie!

Joy żałowała, że nie przyniosła ze sobą filiżanki kawy. Może porcja kofeiny podtrzymałaby jej upadającego ducha, choć nie sądziła, żeby była

w stanie wymazać z jej umysłu obraz porażonej prądem rybki.

- Przestań - zaprotestował Tim. - Miałem wtedy tylko sześć lat i nie za bardzo się na tym znałem.

- Jasne, to prawda - włączył się Jake. - Ale dzięki tej usmażonej rybce i przepalonemu bezpiecznikowi zasada: „Woda i elektryczność nie idą w parze” pojawiła się na tablicy.

- Na tablicy? - zdziwiła się Joy.

- To tata wpadł na ten genialny pomysł. Sporządził nam listę pod tytułem „Szkoła życia”, czyli spis zasad, które nas ustrzegą przed różnymi wpadkami. - Tim powiedział to takim tonem, jakby powątpiewał w sens takiego praktycznego poradnika.

- Ustawił tę tablicę w piwnicy - wyjaśnił T.J. - i dał podtytuł: „Praktyczne porady dla rodziny Hall”.

Ed wyglądał na bardzo zakłopotanego.

- Wystarczy, chłopcy. Jestem pewny, że panna O'Connell chciałaby już skończyć z zakupami i móc wrócić do pracy.

- Prawdę mówiąc, nie muszę. Jestem za to zafascynowana twoimi życiowymi radami. Co jeszcze widnieje na tej tablicy?

Bracia odpowiedzieli wszyscy naraz, ale T.J. był najgłośniejszy:

- „Codziennie zmieniaj bieliznę osobistą”.

Wymyśliłem to sam, po tym, jak tata zrobił pranie z całego tygodnia, a potem nie mógł znaleźć ani jednej sztuki z mojej bielizny. - T.J. przerwał na chwilę, po czym dodał poważnie:

- Teraz już z niej wyrosłem.

- Jest jeszcze zasada codziennego mycia się pod prysznicem o tej samej ustalonej porze

- oznajmił Ed.

- No i jeszcze nie strzelaj płonącymi strzałami... to chyba dwudziesta trzecia zasada! - wykrzyknął Jake.

- Niech zgadnę, to był twój pomysł? - zapytała go Joy.

- Prawdę mówiąc, wprowadzenie tej zasady to sprawka moich przyjaciół... Katie, Joeya i Ryana.

- Nie zapominaj, że ty też tam byłeś i że nie wyczułeś niebezpieczeństwa - zwrócił mu uwagę Ed. - To dlatego dodaliśmy zasadę dwudziestą czwartą: „Jeżeli twoi znajomi robią coś niebezpiecznego, każ im przestać albo pobiegnij powiadomić dorosłych”.

- Z tym powiadamianiem różnie bywa, no, ale czasami trzeba to zrobić - przyznał Jake, który w tej chwili wyglądał bardzo dorośle.

Nastroje wyraźnie się poprawiły.

Tim uśmiechnął się od ucha do ucha i zerknął na ojca, jakby z góry zakładał, że Ed udzieli mu reprimendy.

- No i jeszcze jest zasada numer osiemnaście:

„Jeśli wydasz nieprzyzwoity dźwięk, po prostu przeproś”. Sam to wymyśliłem. Nauczyłem się zwrotu: „Proszę mi wybaczyć, to nie było eleganckie, ale gdyby wyszło z drugiej strony ciała, byłoby...”

- Już dobrze - przerwał Ed. - Jestem absolutnie przekonany, że już dostatecznie oświeciliście pannę O'Connell na temat praktycznych zasad życia rodziny Hallów.

- Szczerze mówiąc, podobają mi się - zaśmiała się Joy.

W tym momencie z głośników popłynęła rapo-wa wersja piosenki „Życzymy wesołych świąt”.

- Kiedy znajdziecie się w domu, możecie jeszcze dopisać: „Żadnych kolęd aż do święta Dziękczynienia” - zaproponowała Joy.

- „I żadnej rapowej kolędy” - dodał Ed, posyłając Joy ukradkowy, przeznaczony tylko dla dorosłych uśmiech, który odwzajemniła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Było po wpół do trzeciej. Chłopcom udało się wreszcie wybrać dwa prezenty dla Hannah, lubiącej obgryzać zabawki przyrodniej siostrzyczki. Do lalki w stroju księżniczki dołożyli jeszcze futbolówkę, bo doszli do wniosku, że ich siostra nie powinna być za bardzo dziewczynska.

- Chłopcy lubią dziewczyny, które uprawiają sport - wyjaśnił Jake tonem wszystkowiedzącego mędrca.

Lalka, piłka, a do tego dwie srebrne ramki, które wypatrzyli w sąsiednim dziale z wyposażeniem domu - po jednej ramce dla każdej pary dziadków - to było wszystko, co zdobyli po godzinnych poszukiwaniach.

Kiedy Ed powiedział, że ma zdjęcie trzech braci, pasujące do ramek, Joy zaśmiała się tajemniczo i powiedziała, żeby zdali się na nią.

Przyglądał się jej podejrzliwie, kiedy podeszła do jednej z pracownic i szeptała jej coś do ucha.

Ta z kolei spojrzała na Eda, zaśmiała się i szybko oddaliła.

Patrząc na Joy, Edowi przyszło do głowy zaskakująco sentymentalne porównanie: uznał, że wygląda jak aniołek ze świątecznej szopki. Po prostu uosobienie słodczy. Tylko wyraz jej twarzy przeczył temu wrażeniu. Miała zadowoloną minę, jak kot, który dobrał się do śmietanki.

- Co ty knujesz? - zapytał podejrzliwie, kiedy wróciła.

- Nic- zamrugła oczami, udając niewiniątko. Takich technik nie praktykowali jego chłopcy, jednak Ed zorientował się, że to jakiś wybieg, mający uspić jego czujność.

- Zatrudniam w gabinecie dyplomowaną pielęgniarkę, która ma taką samą minę, kiedy wpadnie na jakiś szalony pomysł. Em ma specyficzne poczucie humoru, i uwielbia mi robić kawały.

- Ach, tak? Na przykład jakie? - Joy nachyliła się w jego stronę, cała zamieniając się w słuch.

- Dobra jesteś! - Ed potrząsnął głową. - Myślisz, że podsunę ci pomysł? Nie ma mowy. Zdążyłem się już przekonać, że potrafisz być niebezpieczna. I nie zaprzeczaj, bo dobrze widzę, że coś knujesz. Jestem ojcem trzech chłopców i na odległość wyczuwam, gdy się szykuje jakiś kłopot.

- Ze mną nie będzie kłopotu - zapewniła i przybrała jeszcze bardziej niewinną minę.

Uśmiechnęła się tak uroczo, że zapragnął ją pocałować.

Sam fakt, że taka myśl mogła zrodzić się w jego głowie, zdumiał go niepomiarownie.

Od dawna nie miał ochoty na takie rzeczy. Dzielił swój czas między chłopców i pracę. Pewnie, spotykał się z kimś od czasu do czasu i całował się z niektórymi z tych kobiet, ale nie było w tym takiej siły przyciągania. Takiego pożądania.

Próbując ukryć zakłopotanie, zwrócił uwagę na synów.

Byli w trakcie kolejnej sprzeczki, dyskutując zawzięcie nad zaletami Sea-Monkeys³ dla drugiej przyrodniej siostry.

Chociaż raz ich kłótnia była Edowi na rękę. Dzięki temu mógł przestać myśleć o ustach Joy O'Connell.

- Ale ona wszystko pcha do buzi. - Jack podsunął opakowanie Edowi. - Jesteś lekarzem. Jak myślisz, czy zjedzenie tego by ją zabiło?

Ed odłożył paczkę na półkę.

- Jeśli się obawiacie, że mogłaby to połknąć, nie powinniście jej tego kupować.

- No proszę! Tutaj nie ma nic, co by się nadawało - powiedział T.J. - Czyli że...

³ Sea-Monkeys - lekkie plastikowe akwarium z licznymi akcesoriami do karmienia, hodowli i obserwacji morskich żyjątek (przyp. tłum.).

- Wracamy do elektroniki? - z nadzieją w głosie zapytał Jake.

Joy spojrzała na zegarek.

- Słuchajcie, a może najpierw zrobimy przerwę na lunch? Mamy drobne opóźnienie z powodu przewożenia prezentów, ale lunch to część waszej nagrody. Podejrzewam, że umieracie już z głodu.

Ed chciał zaprotestować, obawiając się, że w ten sposób ich pobyt w galerii handlowej rzeczywiście zamieni się w całodniową wyprawę. Powstrzymał się jednak. Stanowczo szansa spędzenia dnia z Joy, nawet podczas zakupów, była miłą perspektywą. Zresztą wolał nie protestować, bo entuzjastyczne „hurra!” chłopców nie dawało mu żadnych szans.

- No to idziemy! - z uśmiechem zarządziła Joy, na co chłopcy, o dziwo, ustawili się w rzędzie i pomaszerowali za nią.

- Przecież odrywamy cię od zajęć - bez przekonania oponował Ed.

- Jeszcze się napracuję. W pierwszy dzień po świętach na wyprzedaży będą tłumy. Poza tym, gdyby raptem nastąpiło jakieś trzęsienie ziemi, wywołają mnie pagerem. Nakarmimy ich, a potem, odpowiednio zainspirowani, zrobimy wielkie zakupy w...

- ... dziale ze sprzętem elektronicznym - dokończył za nią.

Zaśmiali się równocześnie, a jego znów ogarnęła nieprzeparta ochota pocałowania jej. Zatrzymali się, zostając w tyle za dziećmi. Patrzyli sobie w oczy przez sekundę, minutę... może dłużej?

Jednocześnie zrobili krok w swoją stronę i przez chwilę zdawało się, że naprawdę się pocałują w zatłoczonym sklepie, gdy Joy nagle się cofnęła. A Ed poczuł gorzki smak rozczarowania.

- Tak, w dziale ze sprzętem elektronicznym

- powtórzył. - Możemy tam zakończyć, a potem odwiozę cię, dokąd zechcesz, na wigilijną kolację.

Pamiętał, jak mówiła, że cała jej rodzina mieszka w San Diego.

- Masz dokąd pójść? - zainteresował się.

- Słucham? Eee... no to chodźmy na lunch

- powiedziała wesoło, nie odpowiadając na jego pytanie.

Jest nowa w mieście, ma rodzinę na Zachodnim Wybrzeżu, pomyślał Ed. Ciekawe, co zamierza robić w święta. Czy spędzi je sama?

Najwyraźniej Joy nie ma ochoty dzielić się swoimi planami z prawie obcym facetem. Ale podejrzenie, że mogłaby samotnie spędzić Boże Narodzenie, nie dawało Edowi spokoju.

- Po drugiej stronie galerii znajduje się restauracja Patty's - zaproponowała.

- Mają tam dobrą pizzę - pochwalił Tim.

Jake i T.J. zgodzili się z bratem.

- A więc Patty's wam odpowiada? - upewniła się Joy.

Kiedy torowali sobie drogę, Ed nagle znalazł się przy niej.

- Zdaje się, że robi się coraz tłoczniej - powiedział i westchnął.

- Obawiam się, że masz rację. Dużo ludzi lubi czekać na ostatnią chwilę. Jakby zakupy w ścisku sprawiały im przyjemność. Zupełnie tego nie rozumiem.

Weszli całą grupą do restauracji. Powitała ich hostessa, zaprowadziła do przestronnego boksu, podała karty dań i postawiła przed nimi koszyczek z bułeczkami.

- Zaraz podejdzie kelnerka - poinformowała z uśmiechem i odeszła.

- Słuchajcie, chłopcy, jemy szybki lunch, a potem jeszcze szybciej uwijamy się z zakupami - zarządził Ed, siedzący naprzeciw Joy.

Chłopcy zaczęli porównywać swoje zamówienia. Ed próbował skupić się na menu i wybrać coś, co okaże się jadalne, ale ciągle łapał się na tym, że spogląda na Joy.

Kiedy z głośników popłynęły dźwięki piosenki „Rudolf, czerwono nosy renifer”, dostrzegł grymas niechęci na jej twarzy.

- Skoro już się krzywisz na kolędy, to czego będziesz słuchać w czasie świąt? - zainteresował

się. A potem, nie spuszczać wzroku z Joy, warknął: - Numer piętnasty!

- Piętnasty? - zapytała Joy z ironią w głosie.

- „Nie obrzucamy się jedzeniem” - wyjaśnił jej.

- Umieram z ciekawości, który to sprowokował - na wpół zapytała, na wpół stwierdziła Joy.

- Wystarczy, jeśli ci powiemy, że w mieście istnieje pewna sieć restauracji, gdzie mamy zakaz wstępu. Dożywotni zakaz wstępu. I to nie tylko tutaj, w Charlotte, ale w całej sieci, absolutnie wszędzie. W całym kraju.

- Kierownik coś wspominał, że na całym świecie, tato - dodał usłużnie Jamie.

- Myślisz, że rozesłali nasze zdjęcia do wszystkich restauracji tej sieci? - z nadzieją w głosie zapytał Tim. - Pewnie prowadzą rejestr osób, które otrzymały zakaz wstępu. A gdyby któryś z nas tam wszedł i został rozpoznany, to wezwaliby policję?

- Ale byłoby fajnie - ucieszył się T.J. - Może namówimy mamę, żeby nas tam zabrała, kiedy będziemy w Raleigh.

- To jest myśl! Jak będziemy w dużej grupie, może szef nas nie rozpozna - rozmarzył się Tim.

- Tak naprawdę, to oni nie mają nigdzie naszych zdjęć. A bitwa na jedzenie była odlotowa! - wspomniał z lubością Jake.

Ed rzucił chłopcu pełne dezaprobaty spojrzenie, ale Jake niezrażony kontynuował:

- Nie mówię, że jesteśmy z tego dumni. „Zasada numer piętnaście powinna być przestrzegana przede wszystkim w miejscach publicznych” - zacytował bez zająknięcia.

Joy nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem, co może było niezbyt pedagogiczne; ale już dawno nic jej tak nie rozbawiło.

Stres spowodowany przeprowadzką na drugi koniec kraju, nowa praca, no i te święta - wszystko razem nie wpłynęło zbyt dobrze na jej poczucie humoru.

- Mam dla was nową zasadę, o ile, oczywiście, ludzie spoza rodziny mogą wam coś sugerować - odezwała się.

- Jasne - odpowiedzieli chórem chłopcy, a Ed uśmiechnął się i pokiwał głową.

- „Śmiejemy się przynajmniej raz dziennie, niezależnie od tego, jak bardzo stresujące bywa życie”.

Nieźle, przekazał jej Ed wzrokiem pełnym podziwu.

Podziękowała mu skinieniem głowy. Tymczasem chłopcy przekrzykiwali jeden drugiego, zabiegając o jej uwagę.

Zamilkli tylko na chwilę, kiedy pojawiła się kelnerka i musieli złożyć zamówienia.

Joy popijała wodę, słuchając, jak chłopcy rozmawiają o rówieśniku z sąsiedztwa, który rozśmiesza wszystkich swoimi wygłupami.

- Aleśmy się pokładali ze śmiechu, prawda, tato? - wspominał T.J.

Ed żarliwie przytaknął.

- W przyszłości mogą zostać komikami - powiedziała Joy do Eda, kiedy na moment zrobiło się cicho.

- Przypuszczam, że oni wszyscy wylądują w branży rozrywkowej... albo skończą za kratkami. Nie widzę żadnego pośredniego wyjścia - zażartował.

Kiedy już zjedzono główne danie, chłopcy rozmawiali o szkole, o świętach, po czym wypłynął temat zbliżającego się wyjazdu do mamy.

- Ona tęskni za nami - powiedział T.J. - Kiedy mieszkali w mieście, było lepiej.

- Zrobiła wszystko, co było w jej mocy. - Jake popatrzył agresywnie na wszystkich, jakby w obawie, że ktoś temu zaprzeczy.

- Tak, to prawda - przyznał Ed. - Pozostawienie was ze mną było jedną z najtrudniejszych decyzji, jaką kiedykolwiek podjęliśmy.

Joy odnotowała, że Ed rozkłada równo odpowiedzialność na siebie i byłą żonę. Robi to niewątpliwie w trosce o chłopców, dla których jednomyślność rodziców musi mieć wielkie znaczenie, a przy tym podkreśla, że decyzja należy do dorosłych, a nie do nich.

Joy stwierdziła, że coraz bardziej podziwia i szanuje tego mężczyznę.

- Powinniśmy kupić mamie coś wyjątkowego
 - uznał Tim.
 - Coś, co jej da do zrozumienia, że tęsknimy za nią, ale nie mamy żalu - dodał Jake.
 - Hej, Joy, co lubią dziewczyny? - zapytał T.J.
 - Kobiety - poprawił Ed.
 - Ej że, w moim wieku uznanie za dziewczynę jest raczej pochlebne - uśmiechnęła się Joy. - Ale nawet wśród kobiet każda lubi coś innego. Rozumiem, że chcecie wybrać coś, co da waszej mamie do zrozumienia, że myślicie o niej, że za nią tęsknicie i że rozumiecie, jak trudny był ten wybór dla was wszystkich, prawda?
 - Może coś z biżuterii? - zaproponował Jake.
 - Nosi pierścionek, z którym się nie rozstaje. Dostała go od swojej babci. Mówi, że nosi go dlatego, bo przypomina jej babciną miłość. Powinniśmy dać jej coś, co będzie jej przypominało, że my... - resztę zdania wymamrotał pod nosem, jakby się zawstydził, że zostanie uznany za mięczaka.
- Ed wspominał, że Jake ma szesnaście lat; chłopiec w tym wieku uważa się za zbyt dorosłego, żeby publicznie wyznawać, jak bardzo kocha matkę i jak bardzo za nią tęskni, choćby to było widać gołym okiem. To samo czuli pozostali bracia. Joy poznała to po ich spojrzeniach.
- Doskonały pomysł. Jak tylko stąd wyjdziemy, udamy się do stoiska z biżuterią, ale po kolei:

336

najpierw deser, bez którego nasz lunch nie będzie pełny.

- Jesteś pewna, że wystarczy ci czasu? - zapytał Ed.

- No właśnie, bo my możemy się obejść bez deseru - zapewnił Jake, choć dwaj młodszy chłopcy już się sprzeczekali, co lepsze: puchar lodów z owocami i bitą śmietaną czy ciastko z owocami.

Joy uśmiechnęła się do Eda.

- Nie martw się, zdążę. - i dodała pod adresem Jake'a: - To jest wigilijny lunch, a przecież wszyscy wiedzą, że nie ma świątecznego posiłku bez deseru.

Jake'a nie trzeba było dwa razy namawiać. Od razu włączył się do dyskusji braci nad wyborem deseru.

- A więc po lunchu idziemy do działu jubilerskiego, tak? - zwróciła się Joy do Eda. - To nie zajmie dużo czasu.

Zamiast się ucieszyć, że zbliżają się do końca, Joy poczuła się... sama nie wiedziała, jak.

Wreszcie znalazła odpowiednie słowo.

Poczuła się samotna.

Może to dziwne, ale już teraz wiedziała, że będzie jej brakowało czterech Hallów.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy torowali sobie drogę w tłumie, zadzwoniła komórka Eda.

Odszedł na bok, a Joy została z chłopcami.

Przypominała sobie, jak źle była do nich nastawiona na początku, jak uważała, że wszystkich osobników płci męskiej, niezależnie od wieku, należy ignorować. Ale kiedy tych trzech braci wspominało minione święta, musiała przyznać, że nie tylko mają dużo wdzięku, ale że są całkiem sympatyczni, chociaż wyszło to na jaw dopiero po wielu kłopotliwych przejściach.

- Pamiętam ten rok, kiedy TJ. za nic nie chciał dostać na Gwiazdkę takiego paskudztwa... czegoś w rodzaju galaretowatej meduzy, co strzelało rzadką mazią. Ta meduza stale pojawiała się w jego ulubionym programie telewizyjnym. Zapytał mamę, co ma zrobić, jeśli ktoś mu to ofiaruje, na co ona mu poradziła, żeby po prostu podziękował i odłożył to na bok - jednym tchem wyrecytował Jake.

Chłopcy zgodnie zarechotali, a Joy odniosła wrażenie, że coś ją ominęło. Coś bardzo ważnego.

- No i dostał to?- Jasne - odpowiedział Tim. - Zresztą nie od nas, tylko od babci, która chciała pokazać, jaka jest postępową, i kupiła to samo nam wszystkim. Kiedy T.J. otworzył swój prezent...
- Najpierw powiedziałem „dziękuję” - przypomniał T.J.
- Ale zamiast odłożyć, otworzył - opowiadał Jake. - No i rzucił przed siebie, a to paskudztwo uderzyło o ścianę, pękło i wypuściło z siebie galaretowaty śluz, który wczepił się babci we włosy.
- A babcia narobiła wrzasku - dodał Tim.
- Okazało się, że chociaż chciała nam udowodnić, jaka jest równa i fajna, to jak przyszło co do czego, nie chciała się. z nami bawić - powiedział T.J.
- Chciała wreszcie zerwać z tradycją babcinej paczki - zaśmiał się Jake.
- Babcinej paczki?- - zdziwiła się Joy. Jake pokiwał głową.
- No właśnie. Co roku daje nam pizamy...
- Chociaż wie, że śpimy w samych majtkach - dodał Tim.
- A do tego szczoteczki do zębów, chociaż...- wtrącił T.J.
- Chociaż wie, że zawsze dostajemy szczoteczki od dentysty - wyrwał się Jake.

- Ale od tamtych świąt nie daje nam już żadnych ekstrazabawek - ciągnął T.J. - Powróciliśmy do dawnych babcinych paczek.
 - Joy, mogłabyś nam pomóc wybrać damską piżamę? - zapytał Jake.
 - Mówi się „panno O'Connell”, Jake - poprawił chłopca Ed, który dołączył do grupy.
 - A dla kogo kupujecie damską piżamę?
 - Dla babci. Pomyśleliśmy, że zrewanżujemy się jej praktycznym bożonarodzeniowym prezentem: piżamą, szczoteczką do zębów i odrobiną tej zielonej galarety. Mają to w dziale z zabawkami. Jak myślicie, pozna się na żarcie?
 - Babcia? Na pewno się pozna. Pamiętacie to Boże Narodzenie, kiedy kupiła wam wszystkim meduzę, takie oślizgłe paskudztwo? - Ed nie krył uśmiechu.
 - Właśnie o tym opowiedzieliśmy Joy - poinformował T.J. i szybko się poprawił: - Pannie O'Connell.
 - Zostańmy przy Joy. Będzie o wiele łatwiej
 - zaproponowała.
- Chłopcy spojrzeli na swojego tatę.
- Skoro Joy woli być Joy, pójdźmy na kompromis i niech będzie „panna Joy”.
 - Może porozglądacie się za czymś, co spodoba się waszej mamie - zasugerowała Joy.
- Dopiero kiedy chłopcy pognali do sklepu jubilerskiego, Joy zauważyła promienną minę Eda.

340

- Masz jakąś dobrą wiadomość? - zainteresowała się Joy.

- Dobra dla jednej z moich pacjentek. Dlatego tak długo mnie nie było. Umówiłem się, że zadzwonię, gdy tylko dostanę wyniki. Nie ma nic lepszego od przekazywania dobrych wiadomości w Wigilię Bożego Narodzenia. Podejrzewaliśmy raka, ale na szczęście badania to wykluczyły.

Joy bez zastanowienia wzięła Eda za rękę i uścisnęła ją mocno.

- To cudownie.

Uświadomiła sobie, co robi, i szybko cofnęła rękę. Co się dzieje? Czyżby nie mogła się powstrzymać od dotykania Eda Halla? To zupełnie do niej niepodobne. Przecież dopiero co go poznała.

Co za dużo, to niezdrowo! Jeszcze tylko pomoże im dokończyć zakupy, a potem szybko zapomni o swoim dziwnym pociągu do doktora Halla.

- Eee... zobaczmy, jak sobie radzą chłopcy - zaproponowała.

- Panno Joy! - zawołał podekscytowany Tim, ledwo widoczny zza dużej gabloty. - Proszę zobaczyć!

Pokazał palcem naszyjnik za szybą.

- Co pani myśli o tym tutaj?

Joy zobaczyła elegancki otwierany medalion. Z przodu miał wygrawerowane trzy kwiatki, połączone brylancikami.

341

- Mama mogłaby tu włożyć nasze zdjęcia i nosić na szyi. W ten sposób będziemy z nią zawsze, nawet kiedy nas nie ma. - Jake miał zakłopotaną minę, jakby uznał, że taki sentymentalizm nie pasuje do szesnastoletniego młodzieńca.

Joy ze wzruszenia ścisnęło w gardle, ale przełknęła ślinę i skinieniem głowy przywołała sprzedawczynię.

- Proszę nam to pokazać - powiedziała, wskazując medalion.

Dziewczyna położyła go na filcowej podściółce, a chłopcy wpadli w zachwyty.

- Ile kosztuje? - zapytał Jake sprzedawczynię. Joy spodziewała się, że medalion jest drogi i że

jego cena znacznie przekracza zagwarantowane w konkursie finansowe możliwości chłopców, ale nawet ją zatkało, kiedy usłyszała cenę. W salonie jubilerskim za siedemdziesiąt pięć dolarów można kupić niewiele. Tylko niektóre przedmioty w tym dziale miały przystępne ceny, ale medalion do takich nie należał.

- A ze zniżką dla pracowników? - zapytała. Dziewczyna przeliczyła i wymieniła trochę niższą, ale nadal wysoką kwotę.

- A gdyby jeszcze uwzględnić poświęconą obniżkę cen? - próbowała dalej Joy.

Trochę lepiej, ale wciąż za dużo.

- Przykro mi, chłopcy. - Zwróciła się do sprzedawczynie: - Aubrey- powiedziała, zerkając

na jej identyfikator - mogłabyś nam znaleźć coś bardziej zbliżonego do możliwości finansowych chłopców?- Coś poniżej stu dolarów?

- Oczywiście, panno O'Connell. - Dziewczyna zaczęła sprawdzać półki.

Chłopcy, stojąc w tyle, szeptali coś między sobą.

- Panno O'Connell? - odezwał się w końcu Jake. - Czy możemy wykorzystać naszą premię bankową? Mamy po siedemdziesiąt pięć dolarów na głowę, a gdybyśmy dodali nasze premie na prezent dla mamy?- Policzyłem, że będziemy bardzo blisko. Resztę moglibyśmy wziąć z naszego rachunku... a dzisiaj tata by założył za nas.

- Nie ma sprawy. Po prostu dorzucę brakującą sumę - odezwał się Ed głosem ochrypłym ze wzruszenia.

Joy mogła tylko pokiwać głową. Bała się odezwać, bo była bliska płaczu.

Walczyła przez chwilę ze łzami, aż w końcu wychrypiała:

- Aubrey, bądź tak uprzejma i zapakuj to dla tych dżentelmenów.

- Tylko pamiętajcie, chłopaki - Jake zwrócił się do braci - mama nie może się dowiedzieć, że zrezygnowaliśmy z naszej konsoli. Czasami świadomość, że zrobiło się coś dobrego, wystarczy za wszystko, prawda, Joy... panno Joy? - natychmiast się poprawił.

343

- Racja - odpowiedziała, zdumiona, że udało jej się wykrztusić jakiekolwiek słowo. Wycofała w myślach wszystkie okropne opinie na temat chłopców, jakie kiedykolwiek przyszły jej do głowy. Okazali się wspaniali. I tacy mili! Przynajmniej ci tutaj. Byli...

- Trzynasta - warknął Ed.

Chłopcy, jakby już wyczerpali cały zapas dobrych manier, wdali się w nową walkę, tym razem połączoną z rękoczynami: zakładali jeden drugiemu nelsony, przejeżdżali sobie nawzajem kłykciami po głowie, jednym słowem rozkręcili się na dobre. W pewnej chwili T.J. znów zawisł do góry nogami, przytrzymywany przez dwóch starszych braci.

- Niedługo wrócimy, Aubrey - powiedziała Joy, uznając, że będzie bezpieczniej, jeśli chłopcy stąd odejdą. - Już dosyć, moi drodzy. Dokończmy zakupy.

Ed kochał swoich synów i choć wiedział, że jego opinie są na pewno stronnicze, twardo uważał, że jego chłopcy wyrastają ponad przeciętność. Są nadzwyczajni. Wyjątkowi.

Popatrzył na idącą obok Joy.

- Dziękuję za to, że załatwiłaś te wszystkie zniżki i umożliwiłaś im zakup medalionu.

- Czy mogłam postąpić inaczej?

Miłość Eda do synów nie była wolna od

pewnych zastrzeżeń, jak przystało na każdego rozumnego ojca. Ale w tej chwili ojcowska miłość i duma były wolne od głosu rozsądku.

- Fajne dzieciaki, prawda? - powiedział. Joy przytaknęła ruchem głowy.

- Wiem, że się powtarzam, ale kiedy rano dowiedziałam się, że będę musiała towarzyszyć przez cały dzień rodzinie Hallów, nie byłam tym zachwycona. Tymczasem okazało się, że po raz pierwszy w tym sezonie świątecznym odzyskałam dawną...

Szukała właściwego słowa.

- Radość? - podpowiedział Ed.

Zaśmiała się. Oczywiście, Ed miał na myśli jej imię. Joy - radość.

- Tak, radość. Tego mi właśnie brakowało. Ale dzisiaj twoje dzieciaki mi ją przywróciły. Są naprawdę wspaniałe. I ty też, doktorze Hall, choć wolałabym, żeby ci to nie przewróciło w głowie. Dołożenie się do prezentu dla byłej żony... do tego trzeba być naprawdę porządnym człowiekiem.

- Pewnie nie byłbym skłonny do takich gestów zaraz po rozwodzie, a nawet trochę dłużej. Wtedy widziałem tylko ujemne strony sytuacji. Teraz, patrząc na tamte lata z dystansu, zrozumiałem, że Lena jest wspaniałą kobietą, tyle że nie pasowaliśmy do siebie.

Ed podniósł wzrok i nagle wrzasnął:

- Hej! Chłopcy!

345

Joy też spojrzała w tamtą stronę. Bracia dotarli właśnie do stoiska z kosmetykami. Dział zatrudnił na sezon manikiurzystkę, malującą chętnym paznokcie na jaskrawą, świąteczną czerwień. Dziewczyna widocznie zrobiła sobie przerwę, bo nie było jej w zasięgu wzroku. Jake i Tim przygwoździli rękę T. J. do lady i malowali mu paznokcie, nie zważając na jego krzyki i wierzganie nogami - czasem nawet udawało mu się trafić któregoś z braci w piszczel.

- Chłopcy! - po raz drugi krzyknął Ed. Dwaj winowajcy podnieśli głowy, a rozwścieczony T.J. wrzasnął:

- Tato, widziałeś, co oni mi robią?- Widziałem.

Pojawiła się Rachel, manikiurzystka, i ze zgrozą ogarnęła wzrokiem całą scenę.

- Ojej, panno O'Connell, tak mi przykro! Powinnam była uprzątnąć stanowisko, zanim zrobiłam sobie przerwę. Ja...

- Na szczęście nic się nie stało - uspokoiła ją Joy. - Może zmyj tylko lakier temu chłopcu.

- Jasne.

Joy zaczęła pocieszać najmłodszego Halla, a Ed wręcz siłą odciągnął dwóch jego braci.

- Czasami rozpiera mnie duma, ale kiedy indziej po prostu mam ochotę...

Nie zdążył skończyć, kiedy obaj powiedzieli chórem:

346

- Przepraszam, tato.

- Bardzo mnie rozczarowaliście.

- Przecież żartowaliśmy.

- Jeśli wy dwaj się śmiejecie, a on nie, to już nie są żarty. Zasada dziewiąta?

- „Zachowuj się przyzwoicie i bądź życzliwy dla innych” - wyrecytował Jake.

- A byliście?

Nie musieli odpowiadać. Wiedzieli już, że zachowali się niewłaściwie. Wystarczyło na nich spojrzeć.

- I co teraz powinniście zrobić? - zapytał dla porządku Ed.

- Przeprósć T.J. - Tim spojrzał na najmłodszego brata ze skrucą.

- A jeszcze?

Jake westchnął z udręką.

- I pannę Joy,

- Zgadza się. Więc zróbcie to jak najszybciej, a potem dokończmy zakupy, żeby panna O'Connell mogła wrócić do pracy i zdążyła wyjść stąd o zwykłej porze.

Chłopcy podbiegli do Joy i do najmłodszego brata. Ed został z tyłu i obserwował, jak Joy pomaga zmyć lakier T.J. i z uwagą wysłuchuje, co dwaj pozostali mają jej do powiedzenia. Po chwili pokiwała głową i z uśmiechem poczochnęła im włosy. Również T.J. przyjął przeprosiny.

Teraz wszyscy czworo zbili się w ciasną grupkę i wyraźnie się nad czymś naradzali. Kiedy Ed zbliżył się do nich, mówili już prawie szeptem.

- O co chodzi? - zapytał.

- Zastanawiamy się, czy nie masz przypadkiem jakichś indywidualnych zakupów do zrobienia - wyjaśniła Joy.

Miała przy tym identyczną minę, jak jego synkowie, kiedy szykowali jakiś kawał.

- Co wy kombinujecie?

- Nie wiesz, że nie zadaje się takich pytań przed Bożym Narodzeniem? — skarciła go Joy.

- Potrzebujemy pół godziny, więc nie masz wyboru, doktorze Hall. Spływaj.

- Właśnie, tato, spływaj - powtórzył jak papuga T.J.

- Jesteś pewna, że sobie poradzisz z nimi trzema? - zapytał Ed, mając jeszcze w oczach incydent sprzed paru minut.

- Będą grzeczni.

Ed spojrział na chłopców, którzy równocześnie pokiwali głowami.

- Doszliśmy do porozumienia, tato - zapewnił ojca T.J. - Jake i Tim powiedzieli, że jest im przykro, więc przez cały najbliższy tydzień będę mógł jako pierwszy korzystać z Xbox-a.

- No cóż, zgoda. Joy, chyba wiesz, co robisz.

- Zabrzmiało to bardziej jak pytanie niż jak przyzwolenie.

348

Zauważył, że się zjeżyła, i musiał przyznać, że wygląda uroczo, kiedy się wścieka, że ktoś podaje w wątpliwość jej kompetencje.

Zebrała się w sobie, wyprostowała plecy i ramiona, i wycelowała w jego stronę palec.

- Doktorze Hall... - zaczęła.

- Mam na imię Ed.

Zmrużyła oczy i skrzyżowała ramiona na piersi.

- Ed, radzę sobie z prowadzeniem całego sklepu, przeżyłam przeprowadzkę z drugiego końca kraju, porzucając ludzi, z którymi się zżyłam, miejsce, gdzie dorastałam. Myślę więc, że dam sobie radę z trzema chłopcami. A więc do zobaczenia za dwadzieścia minut przy sprzęcie elektronicznym.

Patrząc na nią, taką wzburzoną i złą, nabrał znów nieodpartej ochoty na pocałunek. Rozumiał jednak, że to nierealne ze względu na chłopcowi tłum kręcących się wokół ludzi.

Rzucił więc tylko chłopcom ostrzegawcze, ojcowskie spojrzenie i ze słowami, „bawcie się dobrze”, uśmiechnął się do Joy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Co Joy miała na myśli, mówiąc:

- Radzę sobie z prowadzeniem całego sklepu, przeżyłam przeprowadzkę z drugiego krańca kraju... Myślę więc, że dam sobie radę z trzema chłopcami...

Tak, Joy wypowiedziała te słowa z pełnym przekonaniem.

I święcie w nie wierzyła.

Jest mądrą i odpowiedzialną kobietą. To chyba oczywiste, że sobie poradzi z trzema chłopcami przy kupowaniu prezentu dla ich taty.

W każdym razie nikt, kto choć trochę ją zna, nie miałby wątpliwości.

W dodatku jego synowie na razie zachowywali się przyzwoicie. Żadnego popychania się, szturchania, czy malowania paznokci.

Jedyne, co można im było zarzucić, to tylko głośne, nieustanne sprzeczenie się o to, co byłoby idealnym prezentem dla ojca.

Czy coś się stało złego, kiedy zabrała ich na górę do stoiska z porcelaną i kryształami? Jasne, że próbowała nimi tak pokierować, żeby ominęli ten dział, ale problem polegał na tym, że znajdował się on akurat na samym początku ich trasy, na wprost wyjścia z windy.

- To się wkrótce zmieni - mruknęła Joy, bardziej do siebie niż do chłopców.

A w dodatku, po wyczerpującej wędrówce, nic tam nie znaleźli.

- Tacie trudno coś kupić - powiedział Jake filozoficznie.

- Może spróbuję wam coś podpowiedzieć? Czy on chodzi na siłownię?- - Rozbawione spojrzenia chłopców wystarczyły Joy za odpowiedź.

- A narzędzia? To znaczy, czy interesuje się samochodami albo majsterkuje?

To pytanie wywołało głośny śmiech.

- Piżama?- - zaryzykowała bez przekonania. -W nawiązaniu do tradycji babci. - Zrobiło jej się trochę głupio, że proponuje coś tak prozaicznego, podczas kiedy chłopcy spodziewają się, że podsunie im jakiś nadzwyczajny i wyjątkowy pomysł. - Chodzi mi o to, że każdemu się przyda nowa piżama.

- Tata śpi nago - wyjaśnił T.J.

Obraz nagiego doktora Halla mignął Joy przed oczami... i nie chciał zniknąć. Ocknęła się dopiero, kiedy Jake trzepnął młodszego brata po głowie.

351

- Nie rozmawia się o tym publicznie - prychnął Jake. - Zasada numer dwadzieścia.

- Przepraszam, Joy. - T.J. wyglądał na skruszonego.

Jake skarcił brata wzrokiem, przypominającym do złudzenia ojcowskie spojrzenie Eda.

- O rany! Przepraszam, panno Joy - natychmiast poprawił się T.J.

- Wychodzi na to, że dalej nic nie wiemy. Nie pozostaje nam nic...

- Słuchajcie, mam pomysł - zawołał Tim.

- Możemy mu kupić...

Joy już wiedziała, co zaraz usłyszy.

- Pozwól, że zgadnę. Czy to ma coś wspólnego z elektroniką?

- Jeden z tych elektronicznych organizatorów

- ciągnął podekscytowany Tim. - Można w nim zapisywać wszystkie ważne sprawy...

telefony, spotkania i daty urodzin, tak, żeby o niczym nie zapominać...

- Jemu chodzi o to, żeby tata nie zapomniał o jego urodzinach, które są w styczniu -

poinformował Jake. - To głupi pomysł. Tata dotąd nie nauczył się posługiwać swoim iPodem. Tym bardziej nie poradzi sobie z czymś bardziej skomplikowanym.

- iPody są przecież proste - jęknął T.J. - Tata po prostu nie lubi się grzebać w komputerze, a przecież ma pełno płyt CD, które mógłby sobie

przegrać z komputera na iPod. Twierdzi, że to mu zajmie za dużo czasu.

- No właśnie, czasami bardziej liczy się pomysł niż to, ile wydasz pieniędzy na prezent. A gdybyście jeszcze raz ofiarowali mu jego iPod i położyli mu pod choinkę zobowiązanie na piśmie, że przegracie mu płyty CD z komputera na iPod?- To nie kosztuje wiele, a może go bardzo ucieszyć.

- Chyba da się zrobić - zgodził się Jake. - Stale narzeka na naszą muzykę. Gdybyśmy mu przegrali wszystkie jego starocie, mógłby sobie ich słuchać.

- Co macie na myśli, mówiąc o starociach?

- To słowo kojarzyło się Joy z Lawrencem Wel-kiem, ale jakoś nie wyobrażała sobie, żeby Ed lubił piosenkę o puszczaniu baniek mydlanych.

- Na przykład Meat Loaf - odpowiedział Tim.

- Zaraz, zaraz, sama lubię Meata Loafa, choć nie jestem taka stara - zaprotestowała Joy.

Miny chłopców wskazywały, że mają inne zdanie.

- O rety, wielkie dzięki!

- Możemy mu kupić takie urządzenie, które mu pozwoli słuchać iPod w samochodzie - dorzucił Jake.

Cała trójka namawiała się i dyskutowała jeszcze chwilę, po czym chłopcy zwrócili się do Joy. Domyśliła się, że chcą zasięgnąć jej opinii.

353

- Myślę, że to jest świetny pomysł - zapewniła i odetchnęła z ulgą, choć prawdę mówiąc, wolałaby, żeby to było coś oryginalniej szego.

- Panno Joy - zwrócił się do niej T.J. - Tata czeka na nas w dziale z elektroniką, więc mielibyśmy prośbę... Czy nie mogłaby go pani jakoś stamtąd wyprowadzić, żebyśmy mogli kupić to, co trzeba?

- Nie ma sprawy. I tak chciałam zajrzeć na chwilę do biura, więc wezmę go tam ze sobą. A kiedy kupicie ten aparat, poproście sprzedawcę, żeby go na razie odłożył na bok. Kiedy zapakuje go ładnie, wasz tata nic nie zobaczy.

Chłopcy przyklasnęli takiemu rozwiązaniu.

- Ale potem będziecie musieli dokończyć zakupy. Jest po czwartej, a ja nie chciałabym zamykać sklepu, dopóki nie zdobędziecie prezentu dla każdego.

- Uwiniemy się - obiecał Jake, a jego bracia potwierdzili, gorliwie kiwając głowami.

- Okay. I będziecie przestrzegać waszych rodzinnych zasad?

Wszystkie trzy głowy kiwnęły równocześnie.

- Musicie zachowywać się elegancko, kiedy zostaniecie sami. - Chłopcy wyglądali podejrzenie spokojnie. - Absolutnie elegancko, pamiętajcie. Obiecujecie mi.

- Obiecujemy - powiedzieli chórem, choć miny mieli podejrzenie niewinne.

Joy zwróciła się teraz do Eda.

- Doktorze Hall... przepraszam, Ed, czy mógłbyś mi towarzyszyć przez parę minut i udać się ze mną na górę? Jestem pewna, że przez ten czas chłopcy świetnie dadzą sobie radę.

Entuzjastyczne słowa „tak” i „jasne” zabrzmiały głośniejsz niż kolędy z interkomu.

- Przekonasz się, że wszystko będzie w najlepszym porządku. Wpadniemy tylko do mojego biura, gdzie ty jako prawny opiekun chłopców będziesz musiał podpisać parę stosownych upoważnień.

- Jakich upoważnień? - zdziwił się Ed.

- Och, chodzi o to, żebyś wyraził zgodę na wykorzystanie w promocji zdjęcia waszej rodziny ze świętym Mikołajem... no i jeszcze o zwolnienie sklepu Harrington and Vine's od odpowiedzialności za ewentualne szkody, gdyby na przykład któryś z kupionych u nas prezentów miał ukryty ładunek wybuchowy i... - Joy wzruszyła ramionami. - No, różne takie papierki.

Ponieważ najwyraźniej nie przekonała Eda, który nadal się wahał, czy może zostawić synów samych, postanowiła wypróbować na nim metodę, jaką czasami stosują rodzice wobec dzieci. Nigdy tego nie próbowała, ale wiedziała z doświadczenia, jak to działa.

Chodź ze mną - zasygnalizowała mu wzrokiem.

Jeszcze przez chwilę ścigała go wzrokiem, a kiedy nie zareagował, otworzyła szerzej oczy i spróbowała ponownie: Chodź ze mną.

Ponieważ Ed nadal nie reagował, postanowiła wysłać wyraźniejszy sygnał:

Chodź ze mną, kretynie - mówiła bez słów. - Nie widzisz, że twoi chłopcy nie mogą się doczekać, kiedy wreszcie pójdziesz i pozwolisz im kupić prezent dla ciebie?-

Tym razem, kiedy na nią popatrzył, dostrzegła w jego oczach rozterkę.

Chodź ze mną, spróbowała kolejny raz.

- Doktorze Hall... - Tym razem spróbowała powiedzieć to głośno.

- Ed - poprawił ją.

- Ed, to naprawdę zajmie nam tylko parę minut. Chłopcy zaczekają tutaj na dole i zastanowią się nad pozostałymi prezentami. Będziemy mogli szybciej skończyć zakupy. Jake bierze na siebie odpowiedzialność. Prawda, Jake?- Jasne, panno Joy. Będziemy przestrzegać wszystkich zasad, tato. I pomyślimy o pozostałych prezentach, żeby jak najszybciej skończyć zakupy.

- A widzisz? - powiedziała Joy do Eda, nie przestając go ścigać wzrokiem i myślami.

Chodź ze mną.

- No... dobrze.

W obawie, że Ed się rozmyśli, odezwała się do chłopców:

- Idźcie już, chłopaki. - Wzięła Eda za rękę i wyciągnęła go ze sklepu.

- Już myślałam, że nigdy nie odbierzesz mojej wiadomości.

- Jakiej wiadomości¹? - zdumiał się Ed.

- Użyłam języka spojrzeń, żeby cię skłonić do pójścia ze mną. Chłopcy wymyślili prezent dla ciebie i potrzebują odrobiny prywatności, żeby go kupić.

- Języka spojrzeń? - powtórzył. Joy poczuła, że się czerwieni.

- Wiem, że takie pojęcie nie istnieje, w każdym razie nie w nauce, ale poznałam skuteczność tej metody na własnej skórze. I najwyraźniej odebrałeś mój komunikat, skoro zgodziłeś się wyjść.

- Nie, po prostu pomyślałem, że dzieciaki dały ci w kość. Wyglądałaś tak, jakbyś miała zaraz dostać udaru, więc uznałem, że potrzebna jest ci chwila luzu. - Ed zachichotał, a zaraz potem Joy usłyszała, jak mruczy pod nosem: - Język spojrzeń... no, no.

Może się śmiać, ile mu się podoba, pomyślała bez urazy. Najważniejsze, że idzie przy niej i trzyma ją za rękę...

Szybko ją wyrwała.

- Przepraszam.

357

- Za co?

- Ja...

Chyba wyczuł jej skrępowanie, bo skierował rozmowę na właściwe tory.

- Czy rzeczywiście muszę coś podpisać?- Tylko zgodę na opublikowanie fotografii, o ile dobrze wyszły. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym też przy okazji załatwić kilka spraw. To nie potrwa długo.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Idąc ramię w ramię, doszli do recepcji, aż dotarli do stanowiska Betty, która wyglądała na lekko wykończoną.

- Czy w międzyczasie działo coś się ważnego? - zapytała Joy.

- Było do ciebie parę telefonów, które przesłałam na twoją pocztę głosową. A te pilne zadanie, które mi zleciłaś, jest już załatwione. Znajdziesz wszystko na swoim biurku.

- Świetnie. Jak wypadło?

- Myślę, że będziesz zadowolona - zachichotała Betty.

Joy nie mogła się doczekać, kiedy to zobaczy. Odwróciła się do Eda.

- Chodźmy. Odsłucham wiadomości, ty podpiszesz dokument, a potem zajrzemy do dzieci.

- Doskonale.

Joy otworzyła drzwi i odwróciła się, żeby przepuścić Eda. Betty szła tuż za nim.

358

- O co chodzi? - spytała Joy.

Betty chrząknęła i podniosła wzrok do góry. Ed stał pod jemiolą.

- Skąd to się tutaj wzięło? - zapytała Joy.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała Betty z niewinną miną.

- Nie stoi tam przypadkiem kolejka oczekujących klientów?

- Owszem, ale chciałam się upewnić, że dotarliście bez przeszkód do biura. Wesołych świąt, Joy. - Betty zerknęła ponownie na jemiolę. - Najprzyjemniejsze prezenty to te, które nie są zapakowane i nie leżą pod choinką - dodała.

Kiedy wreszcie wyszła, Joy pokręciła głową. Ed nadal stał pod jemiolą, a minę miał niewyraźną.

- Czy to dalszy ciąg języka spojrzeń? Przy- ' znam się, że nie nadażam.

- Nie. To język kobiety, a dokładniej język Betty. Każdy może się w tym pogubić.

- Możesz mi powiedzieć, o co tak naprawdę chodzić

- Betty wpadła tutaj po naszym wyjściu i zawiesiła jemiolę.

Ed spojrzał w górę, a potem na Joy. Minę miał rozbawioną, ale w jego oczach pojawił się nowy wyraz. I nie miało to nic wspólnego z wesołością.

- A więc... - zaczął.

- Co „a więc”? - wykrztusiła, pomimo nagłej suchości w gardle.

- A więc, czy każeś mi stać samotnie pod tą jemiolą?- - Zrobił króciutką przerwę i zanim Joy zdążyła zareagować, dodał: - Zanim odpowiesz, musisz wiedzieć, że jeśli zostawisz mnie tu samego, będę skazany na wizytę u psychoterapeuty. Twoja odmowa nieuchronnie wpędzi mnie w paraliżujący kompleks niższości i zwątpienie w siebie.

Joy zrobiła pół kroku do przodu.

- Cóż... nie chciałabym być odpowiedzialna za twoje kompleksy.

- Mam nadzieję.

Przysunęła się jeszcze troszkę. Teraz była już tak blisko, że czuła zapach wody po goleniu Eda. Świeży i leśny.

- Dobrze pachniesz - pochwaliła.

- Prezent od chłopców na Dzień Ojca. Podejdź trochę bliżej, żebyś mogła go lepiej poczuć - powiedział łagodnie.

Joy zrobiła ostatni krok.

- I jak?- - zapytał Ed. Wciągnęła głęboko powietrze.

- Bardzo przyjemny zapach.

Pochylił się do przodu, a Joy poczuła na szyi jego oddech.

- Twój też - wyszeptał i podniósł głowę. -1 co teraz? Jestem niemal pewny, że gdzieś czytałem, że kiedy człowiek znajdzie się z kimś pod jemiolą i nie pocałuje tej osoby, spotka go nieszczęście.

360

- Oj, nie chcę, żeby cię spotkało coś złego. - Zanim sobie uświadomiła, że właściwie nie zna tego mężczyzny, wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek.

Oderwała się od niego i natychmiast cofnęła o dwa kroki. Była zdumiona, że po tak niewinnym pocałunku może tak mocno walić serce.

- Możesz już się ruszyć - powiedziała. Wolą, żeby wyszedł spod jemioli i żeby już nie miała zdrożnych chęci.

- Boisz się, że nie wytrzymasz?

- Nie chcę kusić losu. Twój chłopcy biegają samopas po dziale elektroniki. Postąpiliśmy zgodnie z tradycją, ale teraz musisz podpisać ten papier, a ja przesłucham wiadomości. Potem szybko do nich wrócimy.

- Słusznie.

Oboje byli wytrąceni z równowagi po tym pocałunku.

Ed od bardzo dawna nie zareagował tak mocno na żadną kobietę. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, co z tym począć. Joy zaś musiała przyznać, że w miarę upływu dnia czuje się coraz swobodniej i lepiej z tą rodziną.

Na tyle dobrze, żeby zacząć się spotykać z samotnym tatą?

Ed wiedział, że wiązanie się z kobietą to na dłuższą metę trudna sprawa. Dlatego zawsze trak-

361

tował te układy dorywczo. Co nie znaczy, że był przeciwny poważnemu związkowi, ale nie spotkał jeszcze takiej kobiety, dla której warto by było lawirować między dzieciakami i pracą.

Aż do dzisiaj.

Aż do Joy.

Pomyślał nagle, że może warto spróbować i zaproponować jej spotkanie.

Widząc, jak nerwowo krząta się przy biurku, wodzi palcem po dokumencie i co chwila zerka na niego, nie potrzebował mowy spojrzeń, żeby się zorientować, jaka jest niespokojna.

Nie bez powodu przypuszczał, że ten pocałunek poruszył ją w równym stopniu co jego.

- Proszę bardzo - podsunęła mu z uśmiechem papier. - Przeczytaj i podpisz, a ja przez ten czas odsłucham pocztę głosową.

Osunęła się na fotel i nacisnęła guzik w telefonie. Zanotowała coś, potem zaaferowana wciskała jeszcze parę przycisków, aż nagle na jej twarzy pojawił się lekki uśmiezek, który po chwili zamienił się w szeroki uśmiech.

- Dobre wiadomości? - zapytał, kiedy odłożyła słuchawkę.

- Jeszcze jak! Moja kuzynka urodziła córeczkę. Mała waży trzy kilogramy i ma pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, a więc jest długa i chuda. Mąż kuzynki twierdzi, że wygląda jak mistrz Yoda, ale kuzynka go zakrzyczała, wołając, że mała jest piękna i że nazwie ją Leia. A tak

naprawdę chcą ją nazwać Noelle Joy, na cześć świąt Bożego Narodzenia...

- I na twoją. Joy skinęła głową.

- To okropne, że mnie tam nie ma.

- Przecież możesz ich niedługo odwiedzić.

- Nie tak znowu niedługo. Zaraz po świątach też mamy urwanie głowy. Ale może w nowym roku wygospodaruję parę dni.

- Trudno się z tym pogodzić, prawda? Wiem z góry, że kiedy chłopcy będą spędzać resztę ferii zimowych u swojej mamy, ja będę się snuł po domu i wszystko będzie nie tak, jak powinno. To może wydawać się dziwne, bo przez większość czasu dałbym wiele za odrobinę spokoju i ciszy.

- Dobrze cię rozumiem. Kiedy mieszkałam w San Diego, zdarzało się, że miałam dość całej rodziny. Może to dlatego, że przez dłuższy czas byłam jedynym dzieckiem w dużej wielopokoleniowej rodzinie. Dorośli, ilekroć się spotykali, mieli sobie tyle do powiedzenia, że czasami zapominali o moim istnieniu. Rozumiesz, co mam na myśli.

Ed pokiwał głową.

- Często się zastanawiałam, co by było, gdybym spędziła święta poza domem i uniknęła obowiązku odwiedzania wszystkich po kolei. Te niezliczone i niekończące się przyjęcia i poczęstunki! Bywałam tym zmęczona. Dopiero teraz wiem, jak mi tego brakuje.

363

- Przykro mi - powiedział Ed, który nie mógł wymyślić nic lepszego.

- Nie ma sprawy.

Joy postanowiła, że nie będzie uważać się nad sobą i nawet zdobyła się na uśmiech.

- Zaraz, zaraz, mam tu te ramki, które chłopcy kupili dla swoich dziadków. Mam też coś dla ciebie.

Ed zauważył na jej biurku trzy identycznie zapakowane prezenty. Joy wzięła ten z wierzchu i podała mu.

- Otwórz to teraz.

Uśmiechała się psotnie, jak chłopcy, kiedy szykowali jakiś szatański numer.

- Czy to wyskoczy na mnie z pudełka, wybuchnie albo coś w tym rodzaju?

- Nie bój się, nic ci nie grozi.

Ed rozerwał papier i otworzył długie, płaskie pudełko. W środku była ramka, identyczna jak te, które wybrali chłopcy. Zdjęcie w ramce przedstawiało zdegustowanego świętego Mikołaja, trzech chłopców i Eda. Jake stał z tyłu i obiema rękami robił rogi nad głowami T.J. i Tima. T.J. dla odmiany robił potwornego zeza, Tim zaś sięgał ręką do brody Mikołaja. Ed zauważył, że sam ma taką minę, jakby wstępował na szafot.

Kiedy robiono to zdjęcie, był potwornie zdegustowany, za to teraz znakomicie się bawił.

- Świetna fotka - pochwalił.

- Fotografia cyfrowa czyni cuda. Zauważyłam,

że fotograf odrzucił tę odbitkę na bok. A ponieważ Harrington and Vine's nie miałyby z niej pożytku, pomyślałam, że może spodoba się tobie.

- Joy, ja... - Chciał powiedzieć, że dzisiejszy dzień był zupełnie inny, niż się spodziewał. Że choć nie przepada za zakupami w Wigilię Bożego Narodzenia, to cieszy się, że mógł ją poznać.

Nie udało mu się jednak odezwać, bo Joy wszystko mu popsuła.

- Chodźmy zobaczyć, co zmajstrowali chłopcy.

Zauważył, że Joy omija wzrokiem powieszoną nad drzwiami jemiołę. W przeciwieństwie do niego. Podszedł więc, stanął dokładnie pod nią i chrząknął.

Joy natychmiast to spostrzegła.

- Zrobiłeś to naumyślnie.

- Co mogę powiedzieć na swoją obronę? Jestem facetem. Pozwij mnie

Joy westchnęła jak męczennica, ale Ed zauważył, że leciutko się uśmiechnęła, kiedy pochyliła się i cmoknęła go bardziej ochoczo niż za pierwszym razem. Nie pozwolił jej odejść, tylko przyciągnął bliżej i pocałował mocno w usta - chociaż i tak nie tak mocno, jak miał ochotę.

- Teraz dobrze? - zapytał.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała zakłopotana i zła.

- Bo wyglądałaś jak ktoś, kto potrzebuje pocałunku.

365

- Ja,, ty... - zająknęła się. - A niech to, chodźmy już stąd.

Opuścili biuro i szli korytarzem, kiedy z głośników popłynęła rockowa wersja świątecznej piosenki o mamie całującej się pod jemiolą ze świętym Mikołajem. Ucieszony z tego zbiegu okoliczności, Ed ochoczo podchwycił melodię.

Joy odwróciła się i spiorunowała go wzrokiem,

Zachichotał i nucił dalej. Sam nie wiedział dlaczego, ale rozpierała go radość.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Joy była zdumiona, jak szybko i sprawnie chłopcy uwinęli się z zakupami. Wystarczyło, że skończyli się wygłupiać, a poszło im jak z płatka.

Wreszcie udało im się kupić stosowne prezenty dla obu przyrodnych sióstr. Jamie na pewno była znakomitą doradczynią, ale Joy świetnie weszła w jej rolę. Wprawnie przejrzała stertę prezentów, a przy pudełeczku z prezentem dla mamy ponownie ogarnęło ją wzruszenie.

Chłopcy, sądząc po minach, byli z siebie nadzwyczaj zadowoleni.

- Teraz pojedziemy na górę do poczekalni, zapakujemy to wszystko i na tym zakończymy - zaordynowała Joy.

- Joy, to nie jest konieczne. Możemy to zrobić w domu - wtrącił Ed.

- Jak to nie jest konieczne? Harrington and Vine's jeśli już coś robi, to dobrze. Naszą dewizą

jest maksymalna troska o klienta. Dopilnujemy, żeby wszystko było gotowe do oglądania jutro rano.

Chłopców nie trzeba było dłużej zachęcać. Robiąc mnóstwo zamieszania, zaczęli rozdzielać między siebie torby z prezentami, a Joy i Ed udali się w stronę windy.

- Na pewno masz na to czas i ochotę? - z troską w głosie zapytał Ed. - Zajęliśmy ci przecież prawie cały dzień.

- Na pewno - uspokoiła go Joy. - Muszę ci wyznać, że byliście główną atrakcją moich tegorocznych świąt. Dzięki chłopcom zaznałam trochę świątecznego nastroju. Poza tym, kiedy wysłuchałam tylu entuzjastycznych pochwał na temat konsoli do gier, zastanawiam się, czy nie kupić tego dla siebie.

Ed zachichotał.

- A więc przekonałaś się do tych nieznośnych smarkaczy? - - Obejrzał się za siebie.

- Nie ulega wątpliwości. - Popatrzyła na trzech obładowanych chłopców, biegnących do windy. Sama nie mogła w to uwierzyć. Zrobiło jej się żal, że ten dzień dobiega końca.

Naprawdę bardzo ich polubiła. Wszystkich.

Akurat w tej chwili T.J. popchnął Tima, a Jake, najwyraźniej wczuwając się w rolę starszego brata, tak przyłożył T.J., że dzieciak aż się zachwiał.

- Uważajcie! - zawołała, bojąc się, że zrobią sobie krzywdę.

368

- Zasada numer trzynaście - warknął Ed, nie patrząc w ich stronę.
 - Skąd wiesz?
 - Ojciec musi mieć oczy z tyłu głowy. Roześmiała się na takie oświadczenie.
 - A co mówi zasada numer trzynaście?
 - Chłopcy! - przywołał ich Ed.
 - „Żadnych rękoczynów między braćmi. Nigdy. Zwłaszcza w miejscach publicznych” - wyrecytowali jak papugi.
 - Mówiłam ci już, że podobają mi się te zasady? - zapytała Joy.
 - Nie wiem, czy to najlepsza metoda uczenia dyscypliny. Moja była żona nigdy nie była ich szczególną entuzjastką. Ale wydają się skuteczne. Wolę ich wychowywać z humorem niż twardą ręką.
- Dotarli do stanowiska Betty.
- Dobrze się bawiliście, chłopcy? - zawołała. Potwierdzili chórem.
 - Poczekalnia znajduje się tam w głębi - powiedziała Joy i skierowała całą grupę do właściwego korytarza. Minęli jej biuro i weszli do poczekalni.
- Betty sprowadziła z miasta mnóstwo prześlicznych papierów do pakowania, gotowych kokard, wstążek, tasiemek, świątecznych toreb i taśm.
- O rany! - zawołali chłopcy, kładąc prezenty na długim stole.
 - Do roboty! - zawołała Joy. Zatrzymała się

z Edem w drzwiach, skąd mogli obserwować zbiorowe szaleństwo pakowania.

- Będę musiała wezwać ekipę sprzątaczy, żeby zrobili po was porządek - powiedziała ze śmiechem, kiedy Tim wpiął sobie kokardę we włosy.

- Kto jest twoim ulubionym synem, tato?

- zawołał Jake, trzepocząc rzęsami.

- Ty, synu... w niektóre dni.

- Czy dzisiaj jest właśnie taki dzień?

- Wiesz dobrze, że tego ci nigdy nie zdradzę

- obruszył się Ed.

- To jasne, że teraz tego nie powie, ale wszyscy dobrze wiemy, że jestem jego ulubieńcem

- oznajmił braciom Jake.

W odpowiedzi z rąk braci posypały się na niego kulki papieru.

- Masz naprawdę wspaniałe dzieciaki - zapewniła Joy Eda, wypowiadając na głos to, o czym od dawna myślała.

- Zdawało mi się, że masz alergię na chłopców.

- Z pewnością miałam, ale chyba się z tego wyleczyłam. Twoje dzieci działają jak szczepionka... może mnie uodpornili?

- A może... - W pomieszczeniu zadzwonił telefon, kładąc kres żartom. Joy podniosła słuchawkę.

- Joy, masz rozmowę na trzeciej linii - odezwała się Betty.

- Poczekaj, zaraz będę w biurze. - Uśmiechnęła się przepaszająco do Eda. - Za chwilę wracam.

370

Cisza w jej pokoju aż dzwoniła w uszach. Podniosła słuchawkę.

- Halo - odezwała się.

Kiedy skończyła rozmowę, dostrzegła stojącego w drzwiach Eda.

- Wszystko w porządku? - zapytał. Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Bardziej niż w porządku. Dzwoniła pani Jeffereys. Kiedy ta obdarowana rodzina wróciła do domu, była ogromnie uszczęśliwiona i bardzo wzruszona. Annę dopytywała się, czy przypadkiem pani Jeffereys nie wie, kto zostawił te prezenty, ale ona wszystkiego się wyparła. Ale Anne wiedziała swoje. Podobno nie wytrzymała i wybuchnęła płaczem. Ed podszedł bliżej.

- Zrobiłaś dobry uczynek.

- Bez was wszystkich nie dałabym rady.

- A skoro już mowa o nas... - zaczął Ed i urwał.

- Tak?

- Powiedziałaś, że mieszkasz tu od niedawna, a kiedy zapytałem, jakie masz plany na dzisiejszy wieczór, nie odpowiedziałaś. Pomyślałem sobie, że może niczego nie zaplanowałaś... a gdyby tak było rzeczywiście, to czy nie miałabyś ochoty na wspólną kolację ze mną i z chłopcami?

Joy zatkało. Z radością spędziłaby wieczór z Hallami, ale nie chciała się narzucać.

- Ed, nie wiem, co powiedzieć... przecież dziś jest Wigilia.

371

- Wiem. Pomysł wspólnej kolacji z moimi trzema ancymonkami nie jest może zbyt zachęcający, ale pamiętaj, że nasze zasady obejmują również posiłki - przypomniał jej.

- Na przykład zasada numer piętnaście zabraniająca obrzucać się jedzeniem, zgadza się? - Zgadza - odpowiedział z uśmiechem.

- I uwierz mi, naprawdę chcielibyśmy cię gościć u siebie. - Przerwał na chwilę, po czym dodał:

- A najbardziej ja.

Joy podobał się uśmiech Eda. Prawdę mówiąc, podobało jej się w nim wiele rzeczy.

Sposób, w jaki odnosi się do chłopców. Sposób, w jaki troszczy się o pacjentów. Jego

poczucie humoru. Ustanowione zasady dla synów. I była więcej niż pewna, że spodoba jej się wspólna kolacja z Hallami.

- Wyświadczyłaś nam uprzejmość i poświęciłaś nam cały dzień - ciągnął Ed - a ja chciałbym spłacić nasz dług.

- Ach, więc o to chodzi? - Poczowała się rozczarowana. Obejdzie się bez jego wspaniałomyślności. Nie chciała, żeby potraktował zaproszenie jako akt dobroczynności. - Nie, chyba się nie zdecyduje. W końcu to święto rodzinne, a nie czas na spłacanie długów.

- Joy... - zniżył głos Ed. - Nie chodziło mi

tylko o dług wdzięczności. Lubimy twoje towarzystwo i bardzo byśmy chcieli, żebyś do nas dołączyła. A w dodatku... - urwał speszony. - Cóż, chyba wyszedłem z wprawy.

Wprawdzie mam trzech synów, z których jeden czasami umawia się z panienkami, więc mógłbym przejść u niego kurs powtórkowy, ale... - Odchrząknął i zaczął od nowa: - Bardzo bym chciał spędzić z tobą wieczór, i na pewno nie tylko ten jeden, ale nie chciałbym cię, broń Boże, ponaglać, więc zacznijmy może od dzisiejszej kolacji. Chciałbym, żebyś była z nami podczas wigilijnej kolacji. Przysięgam, że nie będę puszczał kolęd ani żadnych świątecznych melodii.

Joy widziała szczerłość w jego oczach. Na pewno nie kłamał, a ta spleta długów tylko mu się wymknęła. Pomyślała o pocałunku pod jemiolą. Coś w tym jest, to pewne. Czują do siebie wzajemny pociąg.

- Właściwie - zaczęła powoli i z uśmiechem - parę kolęd by nie zaszkodziło, pod warunkiem, że nie będą w wersji rapowej.

Uśmiechnął się zadowolony.

- To znaczy, że przyjdiesz?- Tak - pokiwała głową.

Sapnął z ulgą, jakby czekając na jej odpowiedź, wstrzymywał oddech.

- Wspaniale. Strasznie się cieszę. A teraz pora sprawdzić, co robią chłopcy, bo niepokoję się trochę o stan twojej poczekalni.

Joy ruszyła w stronę drzwi, ale zaraz zdała sobie sprawę, że Ed nie poszedł w jej ślady.

Odwróciła się i zobaczyła go stojącego pod jemiolą.

- Istnieje zasada dotycząca jemioli, zapomniałaś? - zapytał żartobliwie strofującym tonem.

- A który ma numer? - podjęła grę Joy. Ed nawet się nie zastanawiał.

- Numer dwadzieścia osiem, oczywiście.

- Dwadzieścia osiem, coś takiego! - udała zdziwienie i wsunęła się w otwarte ramiona Eda. -

Widać jeszcze za słabo znam zasady życiowe rodziny Hallów.

Wspięła się na palce i przywarła ustami do jego warg. I dopiero w tej chwili, pierwszy raz od opuszczenia San Diego, poczuła się jak w domu.

Potem Ed przyciągnął ją bliżej.

- Chciałbym w tej chwili błysnąć jakimś poetyckim, górnolotnym tekstem, ale najlepsze, na co mnie stać, to „o rany!”.

- To zupełnie wystarczy.

- O której zamykasz magazyn?

- O szóstej. Spojrzał na zegarek.

- To już niedługo. Co powiesz na to, gdybyśmy się pokręcili trochę tutaj i poczekali na ciebie? Mogłabyś pojechać za nami.

Chyba powinna zaprotestować i powiedzieć Edowi, że nie muszą na nią czekać, tymczasem,

zamiast tego, po prostu uśmiechnęła się i powiedziała:

- Byłoby mi bardzo miło.

- A więc jesteśmy umówieni - powiedział Ed i wziął ją za rękę. - Chodźmy do chłopców.

Ciekawe, czy posunęli się naprzód z pakowaniem.

Kiedy wrócili i zajrzeli do poczekalni, zawołali jednym głosem:

- O nie!

Pokój wyglądał tak, jakby eksplodował w nim worek Świętego Mikołaja.

- Przepraszam cię, Joy - odezwał się po chwili milczenia Ed. - Skończ swoją pracę, a ja przez ten czas pomogę im i spróbuję zlokalizować meble pod tymi wszystkimi papierami.

- Ed, naprawdę nie ma takiej potrzeby.

- Chyba będziemy musieli dodać do naszej listy kolejną zasadę. Jak się na to zapatrujecie, chłopcy? Jeśli zrobicie gdzieś chlew, musicie go posprzątać.

Nie oczekiwał entuzjastycznej zgody. Kiedy chłopcy się rozejrzeli i zobaczyli spustoszenie, jakiego dokonali, jęknęli boleśnie.

- To oznacza, że się zgadzają i że zaraz posprzątamy... gdybyś miała trudności ze zrozumieniem ich języka - zapewnił Ed. - Zostaw nas i pozałatwiaj swoje sprawy. Im szybciej skończysz, tym szybciej będziemy mogli stąd wyjść.

- Wrócę niedługo.

Joy szybko uwinęła się z tym wszystkim,

czego nie można było odłożyć na po świętach, po czym zadzwoniła do działu z elektroniką i umówiła się, że zapakowaną konsolę do gry przyśle do jej biura.

Nie powinna kupować tak kosztownego prezentu dzieciakom, które dopiero dzisiaj poznała, ale tak bardzo ujął ją gest rezygnacji z konsoli na rzecz prezentu dla matki, że nie była w stanie się oprzeć.

Może powinna namówić Eda, żeby pozwolił im rozpakować konsolę jeszcze dzisiaj wieczorem. Po kolacji mogliby ją nauczyć korzystania z tego urządzenia.

Zbierając swoje rzeczy, Joy przypomniała sobie, w jakim ponurym, zupełnie nieświętecznym nastroju była jeszcze dzisiaj rano. A teraz? Dzięki Hallom z przyjemnością, wręcz z radością myślała o wieczorze.

Szybkim krokiem przemierzyła korytarz i otworzyła drzwi do poczekalni, ciekawa, co tam zastanie... i zatkało ją z wrażenia. Pokój lśnił czystością.

- No, no, widzę, że jak już weźmiecie sobie coś do serca, jesteście naprawdę dobrzy - pochwaliła ich wszystkich.

Chłopcy aż się rozpromienili na taką pochwałę.

- Tata powiedział, że jedziesz z nami na kolację - odezwał się Jake.

- A wy nie macie nic przeciwko temu? - Nie musiała długo czekać na odpowiedź.

- Jasne, że nie! - zawołał T.J. Dostrzegł za

376

pakowane pudełko w jej ręku. - Panno Joy, co to takiego?

- Eee... nic takiego. Taki tam drobiazg dla trzech wyjątkowych facetów, których dzisiaj poznałam.

- A zdobyłaś coś dla taty?

Joy sięgnęła do teczki, do której włożyła ramki.

- Tej jednej nie zapakowałam, ale...

Ed wyjął ją z kartonika i odwrócił w stronę chłopców.

- Moje nowe ulubione zdjęcie.

Chłopcy aż jęknęli, widząc zwariowaną rodzinę w towarzystwie wyjątkowo ponurego świętego Mikołaja.

- Uważam, że to bardzo wierna fotografia

- zapewniła Joy. - Wasz tata powinien ją trzymać na swoim biurku.

- Moi biedni pacjenci - westchnął Ed, potrząsając głową. - No dobra, chłopaki, zbieramy się i zabieramy pannę Joy do domu na kolację.

- Masz szczęście, że tata dzisiaj nie gotuje

- oznajmił Jake. - Bo jak nic, jedlibyśmy hot dogi i makaron z serem.

Gdy wychodzili galerii, w której panowała teraz tak niesamowita cisza, że Joy aż zateśniała za kolędami, chłopcy paplali o ulubionych, choć nie zawsze udanych, popisowych potrawach Eda.

Strażnik w głównym wejściu czekał, aż będzie mógł zamknąć budynek.

377

- Dobranoc i wesołych świąt - powiedziała Joy.

- Nawzajem, panno O'Connell.

- Ona jedzie teraz do nas do domu - pochwalił się T.J. mężczyźnie.

- A niech mnie! Na pewno będziecie mieli wspaniałą Wigilię.

- To pewne, bo dziś tata nie gotuje - poinformował strażnika Jake.

Kiedy wyszli na dwór, powitało ich rześkie i wilgotne powietrze, a na niebie było jeszcze więcej chmur niż wtedy, kiedy zawozili prezenty.

- Czegoś jeszcze nie ustaliliśmy. Jak wiesz, muszę zawieźć chłopców do Raleigh, a podróż w obie strony zajmie sporo czasu i zastanawiam się właśnie, jakie masz plany na jutro - wyrecytował jednym tchem Ed.

- Czyżbym miała spędzić dzień na przejażdżce z pewnym doktorem reumatologiem i jego trzema synami?

- Gdybyś to powtórzyła w formie twierdzącej, wiedziałbym, że się zgadzasz.

Joy roześmiała się i powiedziała to samo bez znaku zapytania.

- Mam spędzić dzień na przejażdżce z pewnym reumatologiem i jego trzema synami.

- Świetnie. A co robisz w Nowy Rok?

- Nie wiem. Więc co robię w Nowy Rok? Ed pochylił się i szepnął jej do ucha:

378

- Może umówimy się na prawdziwą randkę dla dorosłych, bez udziału chłopców?

- Gdybyś to powiedział w formie twierdzącej, byłbyś już umówiony.

Ed objął ją ramieniem i przyciągnął mocno.

- No nie! - zawołali chórem chłopcy. Kiedy szli przez niemal opustoszały parking, zaczął sypać śnieg. Dla Joy niósł on ze sobą coś więcej niż kolędy i prezenty pod choinką. Był zapowiedzią nowych możliwości i szans.

- A co robisz w Święto Niepodległości, doktorze Hall?

W odpowiedzi Ed wziął ją w ramiona i pocałował. W tym pocałunku było coś znacznie więcej niż możliwość i szansa... było w nim uznanie i potwierdzenie tego, że ten mężczyzna... właśnie on jest tym, na którego czekała.

- Obrzydliwość! - zareagowali zgodnie chłopcy i zaczęli się krztusić ze śmiechu.

I właśnie w tej chwili, w objęciach Eda i w otoczeniu trzech zabawnych chłopców, Joy poczuła się bardzo... no właśnie, bardzo radosna.

Jej imię - Joy - tym razem bardzo pasowało do jej nastroju. Joy to nie tylko sama radość! To prawdziwe szczęście! Niespodziewane szczęście!